- Żydzi czekają na przyjście Mesjasza — str. 4
- Kto dziś chodzi do teatru? — str. 5
- O filmie „Oto Ameryka” — str. 9
- Londyn zza szyby malucha — str. 13

Nr indeksu 36762
PL ISSN 0472-5042

Łódź

tygodnik społeczno-kulturalny

# Odgłosy

NUMER 51 (1499) ROK XXIX 20 GRUDNIA 1986 ROKU CENA 20 ZŁ


**Biskup w Düsseldorfie powinien wiedzieć, kto wydał Jerzego Iwanowa-Szajnowicza Agenta nr 1–jego brat Aleksander prowadzi w Polsce firmę „Alexis”**

## Ryzyko – to u nas rodzinne

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

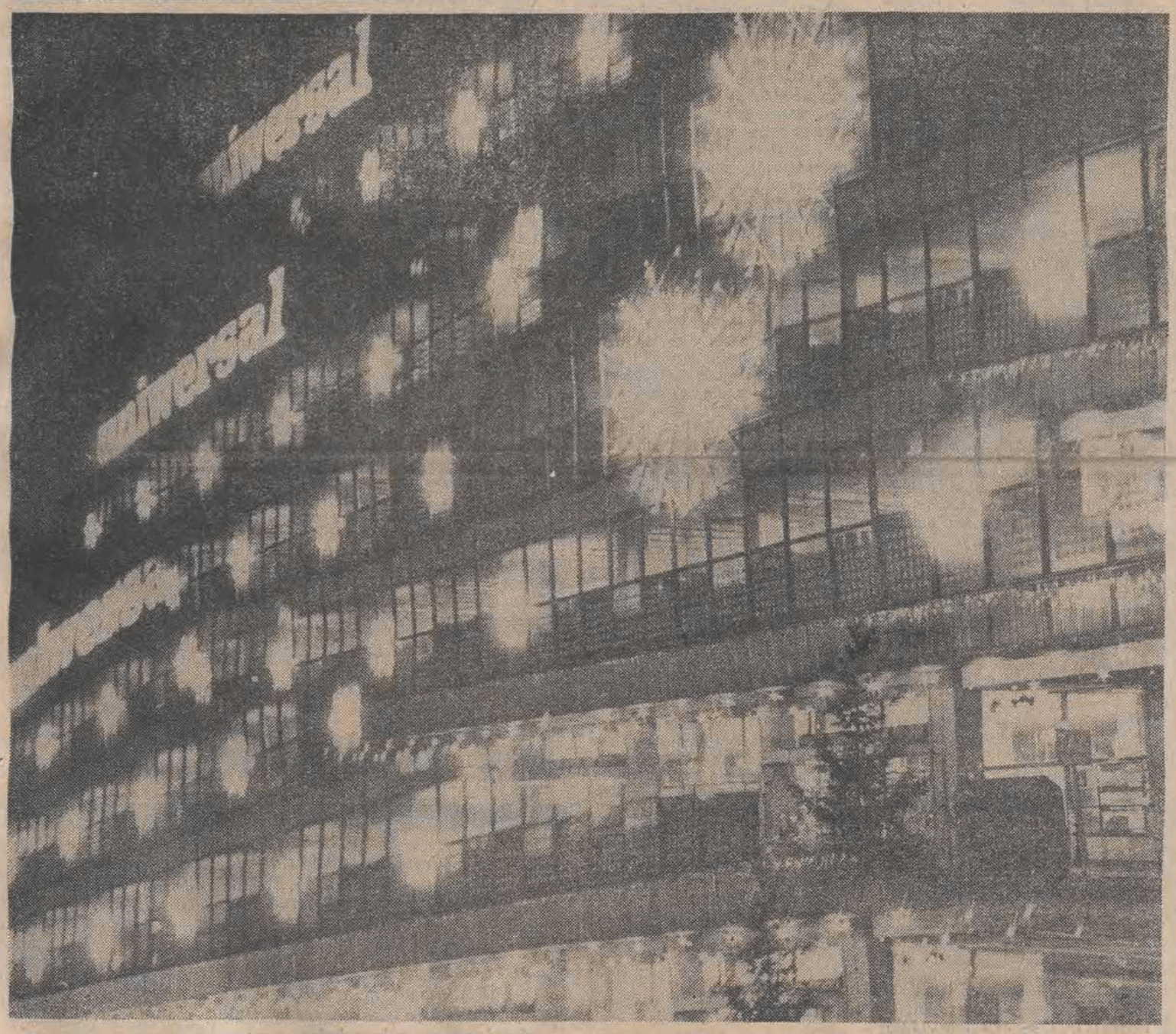

Foto: Grzegorz Galasiński

Na stole — album ze zdjęciami. Jedne stare, lekko przyżółkłe, inne — o kilkadziesiąt lat młodsze, grają pełnią kolorów kodakowskiej taśmy. Na większości z nich powtarza się w różnej scenerii jedna postać: młody, przystojny mężczyzna z krótko przyciętą blond czupryną. Mocno zarysowana szczęka znamionuje silną wolę i tylko w oczach, gdzieś na dnie dostrzec można coś nieuchwytnie smutnego, jakby zapowiedź własnego losu...

Morze w tle, a na pierwszym planie, na niewysokim murku dwie postacie. Blondyn obejmuje w serdecznym geście młodego chłopca, dziesięcio-, może dwunastoletniego. Odnajduję pewne podobieństwo rysów tego brzdąca i siedzącego naprzeciw mnie mężczyzny.

— *Trochę trudno mnie rozpoznać, prawda? Miałem wtedy zaledwie 11 lat. To przed naszym domem, w Salonikach, tak, tak do morza mieliśmy kilkanaście metrów. Pamiętam, że Irek wrócił wówczas z jakiejś dłuższej wyprawy z rybakami...*

„Irek”. Tak mówiła do niego matka, tak zwali go zawsze najbliżsi. Choć na imię miał Jerzy. Jerzy Iwanow-Szajnowicz. Człowiek-legenda. Świetny sportowiec, reprezentant barw warszawskiego AZS, bohater greckiego ruchu oporu, twórca i samotny wykonawca wielu brawurowych akcji dywersyjnych, o którym nawet Niemcy mówili, iż jest więcej wart niż dywizja piechoty. Bo też przeprowadzane przez Szajnowicza operacje odznaczały się nieprawdopodobną wręcz skutecznością. Oto w efekcie jednej z nich przy pomocy miny magnetycznej niszczy hitlerowską łódź podwodną — U-133, później — uszkadza inną. Wysadza w powietrze niemiecki niszczyciel i hiszpański transportowiec z amunicją, podpala kolumny ciężarówek z benzyną, cysterny na lotnisku Tatoi...

Błyskotliwe akcje, poparte sportowym mistrzostwem i graniczącą z lekceważeniem śmierci odwagą trwały niecały rok. Tylko rok, bowiem krok w krok za młodym dywersantem szła zdrada. Dwukrotnie konfidentami gestapo okazali się ludzie z najbliższego otoczenia Szajnowicza. Zginął czwartego stycznia 1943 roku, rozstrzelany przez Niemców w ateńskiej dzielnicy Kesariani. Miał wówczas trzydzieści jeden lat....

Losy „Irka” znane są z książek, on sam był bohaterem filmu, a w jego postać wcielił się Karol Strasburger. Ja zaś mam dziś szczęście rozmawiać z przyrodnim bratem Irka — Aleksandrem Lambrianidisem. Fascynująca to opowieść, a koleje losu tej grecko-polskiej rodziny śmiało służyć mogą za kanwę kilku książek sensacyjnych. Rozmawia nam się zaś lekko i swobodnie, bowiem pan Aleksander doskonale mówi po polsku, człowiekiem jest niezwykle otwartym, szczerym, skorym do wspomnień i wyjawiania najbliższych planów. O tych ostatnich też postanowiłem nadmienić w stosownej chwili, bowiem mój rozmówca od roku jest właścicielem doskonale prosperującego przedsiębiorstwa zagranicznego „Alexis”. Ale rozpoczęliśmy oczywiście od wspomnień o „Irku”.

— **Panie Aleksandrze, wiem że po wojnie udało się dość precyzyjnie odtworzyć konspiracyjną działalność brata. Czy również sprawę tej ostatniej, tragicznej „wpadki”?**

6

## Przeszłość nie umiera

**Wspomnienie 1945 – 1980** (2)

JAN KOPROWSKI

Kiedy po 1953 roku zaczęły pękać lody schematyzmu i odwilż czyniła stopniowe postępy, łódzkie środowisko literackie podjęło starania o wydawanie własnego pisma. Chodziło o zapełnienie tej pustki, jaka powstała po przeniesieniu się redakcji „Kuźnicy” i „Wsi” do Warszawy. Starania nasze zostały po pewnym czasie uwieńczone powodzeniem i w lipcu 1954 roku wydaliśmy

**PIERWSZY NUMER CZASOPISMA „ŁÓDŹ LITERACKA”.**

W zamierzeniu miał to być miesięcznik, w praktyce pismo ukazywało się nieregularnie. W sumie wypuściliśmy na rynek pięć numerów „Łodzi Literackiej”, po czym przemieniła się ona w wydawany regularnie dwutygodnik „Kronika”. Objąłem obowiązki redaktora naczelnego, które pełniłem od początku, najpierw w „Łodzi Literackiej”, a potem w „Kronice”, aż do momentu zamknięcia jej w listopadzie 1957 roku. Kiedy po jakimś czasie powstały „Odgłosy”, także w nich pracowałem jako redaktor naczelny.

Historię obu czasopism („Łodzi Literackiej” i „Kroniki”) opisałem dokładnie w „Pracach Polonistycznych” rocznik 1962, tutaj chciałem jedynie przypomnieć kilka faktów i scharakteryzować atmosferę tamtych lat, a także wyniesione z tej pracy doświadczenia. Z chwila gdy ustabilizował się byt „Kroniki”, poprosiłem dyrektora Dejmka o zwolnienie mnie z zajmowanego stanowiska w Teatrze Nowym, bojąc się, że nie będę mógł w równym stopniu i z jednakową energią zajmować się redagowaniem pisma i pracą teatralną. Ponadto nie chciałem być pomówiony o kumulowanie posad, a o zarzut tego rodzaju jakże łatwo w znanym ze swej drażliwości środowisku artystycznym. (Nawiasem muszę dodać, że nie zabiegałem o objęcie stanowiska redaktora nowego pisma, zostałem nim z woli większości i w porozumieniu z odpowiednimi władzami). Dejmek powiedział wtedy:

— *Jeśli pan od nas odejdzie, i tak na pana miejsce nikogo nie wezmę. Proponuję by pan pozostał, a naszą współpracę jakoś sobie ułożymy.*

Nie taję, że takie postawienie sprawy było dla mnie miłym dowodem zaufania, jakim darzyła mnie dyrekcja Teatru Nowego. Zgodziłem się. Po latach wdzięczny dyrektorowi Dejmkowi za takie rozwiązanie.

Kilka lat pracy redakcyjnej wpłynęło hamująco na moją twórczość literacką. Każdy, kto kiedykolwiek parał się redagowaniem wie, ile wymaga to czasu i jak bardzo człowieka absorbuje. Nie chodziło przecież tylko o technikę redakcyjną, pismo miało ambicję stworzenia wokół siebie aktywnego środowiska, odbywania spotkań dyskusyjnych na palące i ważne tematy kulturalne, literackie i społeczne. Wiele czasu poświęciliśmy na rozmowy z bratnimi związkami twórczymi plastyków, muzyków i dziennikarzy, a już szczególnie leżały nam na sercu kontakty ze środowiskiem naukowo-uniwersyteckim. Nasze starania nie okazały się bezskuteczne. Gdy dziś przeglądam roczniki „Kroniki”, stwierdzam z satysfakcją, że w żadnym innym piśmie o charakterze kulturalno-społecznym w analogicznym okresie nie opublikowano tylu prac i wypowiedzi ludzi nauki, co właśnie na łamach naszego łódzkiego dwutygodnika.

Kiedy redakcja „Po prostu” przystąpiła do ogłaszania własnej biblioteki, w tomikach prac Jana Szczepańskiego, Tadeusza Kotarbińskiego i Henryka Katza najwięcej było tekstów z „Kroniki”. Na co dzień jednak z natury rzeczy, najwięcej miałem do czynienia z zespołem redakcyjnym wraz z kolegami z łódzkiego środowiska pisarskiego, których utwory staraliśmy się drukować przede wszystkim Po kilku latach „posuchy” wszyscy głodni byli druku i nie obeszło się, naturalnie, bez zarzutów, gdyż nie zawsze mogliśmy uwzględnić potrzeby i życzenia kolegów.

Nie zrobię nikomu krzywdy, jeśli powiem, że w zespole redakcyjnym nie było łatwo o harmonijną współpracę. Zalety temperamentu i cechy indywidualności, wzięte z osobna, stanowiły zjawisko bardzo cenne. Ale w zespole te same przymioty stawały się nieraz zarze-

5

# Odgłosy

**Adres redakcji:**
90-113 Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

**Telefony:** redaktor naczelny 36-52-44,

sekretarz redakcji,

fotoreporter: 36-80-99,

publicyści: 36-77-70.

**Redaktor naczelny:** Lucjusz Włodkowski.
**Zastępca redaktora naczelnego:** Edmund Lewandowski.
**Sekretarz redakcji:** Grażyna Olechnowicz.
**Kierownik działu literackiego:** Grzegorz Gazda
**Redaktor techniczny:** Janusz Kozłowski.
**Zespół:** Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski Jolanta Wrońska.
**Grafik:** Janusz Szymański-Glanc.
**Fotoreporter:** Grzegorz Gałasiński.
**Korekta:** Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.
**Stale współpracują:** Tadeusz Błażejewski, Bohdan Gadomski, Jacek Głębski, Witold Kasperkiewicz, Marek Koprowski, Włodzimierz Krzemiński, Marek Mamos, Zenon J. Michalski, Ryszard Nakoneczny, Jerzy Panasewicz, Karol J. Stryjski, Maciej Świerkocki, Witold Werner.

**Wydawca:** Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch" 91-103 Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5.

**DRUK:** Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch", Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

**Warunki prenumeraty:** 1. Dla instytucji i zakładów pracy — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2. Dla indywidualnych prenumeratorów — osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli, osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonuje się używając blankietu „wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch". 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28 00-958 Warszawa konto NBP XV Oddział w Warszawie, nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 3806. B-2.


# Przegląd prasy

Marek Hłasko — jeden z „kaskaderów" naszej literatury — zmarł 14 czerwca 1969 roku w Wiesbaden, stolicy kraju związkowego Hesja w Republice Federalnej Niemiec. Na temat okoliczności jego śmierci pisze w miesięczniku „ODRA" (nr 11) Krzysztof Bodanko. Odwiedził on człowieka, u którego Hłasko spędził ostatnie dni swego życia. Jest nim redaktor Hans-Jürgen Bobermin z TV zachodnioniemieckiej.

Wiosną 1969 roku kręcono w Izraelu zdjęcia do filmu telewizyjnego „Wszyscy byli odwróceni" według opowiadania Marka Hłaski. Autorem scenariusza i odpowiedzialnym za produkcję był H. J. Bobermin. Występowali aktorzy niemieccy oraz izraelscy. Rolę niemieckiej turystki, Urszuli, zagrała żona pisarza — Sonja Ziemann. Odstąpiła zresztą własne prawa do opowiadania pod warunkiem, że weźmie udział w filmie.

Hans-Jürgen Bobermin już w początkach lat sześćdziesiątych zetknął się z twórczością Hłaski. Oglądał też adaptacje telewizyjne „Pętli" i „Cmentarzy". Ale osobiście nie znał polskiego pisarza. Dopiero później

## POZNALI SIĘ W IZRAELU,

w mieście Ejlat, dokąd Hłasko przyleciał ze Stanów Zjednoczonych, aby dopilnować ekranizacji swego dzieła. I wtedy Bobermin zaprosił go do Niemiec. Zaproponował napisanie czegoś specjalnie dla telewizji, na co pisarz chętnie się zgodził.

W owym okresie Hłasko sprawiał wrażenie *„człowieka zmęczonego, trochę zniszczonego, może nawet przegranego..."* W Ameryce nie wiodło mu się. Miał kłopoty finansowe. Przelot do Izraela spłaciła Sonja Ziemann.

Na początku czerwca, po zakończeniu zdjęć do filmu, przybył Hłasko do Wiesbaden i zamieszkał u Bobermina. *„Był u nas — czytamy — ponad tydzień, może dziesięć dni. W czasie tego pobytu był jakby pod wpływem depresji. Niewiele wychodziliśmy razem z domu, pamiętam, trzeba go było zmuszać do wyjścia na przykład na spacer. To, co pisały niektóre gazety po jego śmierci, o naszej nocnej eskapadzie po lokalach Wiesbaden, to wszystko nieprawda. On był zamknięty, jakiś bojaźliwy, tak że w ogóle nie miał ochoty na jakiekolwiek wyjście do lokalu. Przypuszczam, że przybywając do Niemiec zamierzał może ponownie nawiązać bliższy kontakt z Sonją Ziemann* (żyli w separacji — E. L.), *albo po niepowodzeniach w USA znowu coś tutaj zacząć. (...) Sonja Ziemann była wtedy znowu w Berlinie. Telefonowali do siebie codziennie. Ona także pierwsza przybyła po otrzymaniu wiadomości o jego śmierci. Hłasko opowiadał mi, że kiedy mieszkali jeszcze razem w Berlinie, ona urządziła mu w ich willi wspaniały gabinet do pracy, ale on, któremu najlepiej pisało się w spartańskich warunkach, wyniósł się z tego pokoju do piwnicy i tam, zaszyty między rurami, pisał. Sonja po powrocie z Afryki przyozdobiła mu te rury skórami. Wtedy uciekł z domu i pojechał do Hiszpanii, a potem do Izraela. To niekonwencjonalne życie w Izraelu odpowiadało mu o wiele bardziej".*

Marek Hłasko bardzo dobrze mówił po niemiecku i po angielsku. Nie miał więc kłopotów językowych. Na ludzi obcych mu reagował zamknięciem w sobie i nawet pewną wrogością. Dopiero po pewnym czasie stawał się otwarty i przyjazny. *„Ale z drugiej strony* — opowiada H. J. Bobermin — *potrzebował nieustannie kogoś, kto by mu towarzyszył, nie chciał być sam przez dłuższy czas. Było w tym coś chorobliwego".* Wahał się, co dalej robić, kiedy wrócić do Izraela. Bilet powrotny kupił dwa dni przed śmiercią. O życiu w USA mówił niechętnie. Unikał tego tematu. *„Polska* — czytamy dalej — *miała dla niego na pewno duże znaczenie. I myślę, że pobyt za granicą, i ta sprawa z emigracją miała destrukcyjny wpływ na jego osobowość, na jego los ludzki".*

## CO SIĘ WYDARZYŁO

bezpośrednio przed jego śmiercią? Hans-Jürgen Bobermin wspomina: *„Tamten wieczór spędziliśmy podobnie jak poprzednie; siedzieliśmy wspólnie, rozmawialiśmy słuchając muzyki, piliśmy trochę alkoholu. Około dziesiątej chciał nagle posłuchać pieśni rosyjskich w wykonaniu chóru Armii Radzieckiej, mam tę płytę chyba jeszcze dzisiaj, kilka razy słuchał tej płyty, ogarnął go nastrój nostalgiczny, przed północą pożegnałem się z nim, bo musiałem być rano w telewizji. Poszedłem spać. Żona jeszcze mu trochę towarzyszyła, potem został sam i dalej słuchał tej płyty. Przypuszczalnie wtedy wziął te środki nasenne... Spał w pokoju obok nas. Żona, która szykowała rano córkę do szkoły, znalazła go martwego w pokoju, nie reagował na pukanie do drzwi. Lekarz stwierdził, iż śmierć nastąpiła stosunkowo szybko na skutek zapaści spowodowanej przez alkohol w połączeniu ze środkami nasennymi. (...) Sonja Ziemann opowiadała nam potem, że on wcześniej już kilkakrotnie, kiedy znajdował się pod presją sytuacji wyboru, a którego nie potrafił, czy też nie chciał dokonać, wybierał ucieczkę w «chorobę», w pobyt w szpitalu. Zastanawiałam się, czy wówczas również nie przyszła mu do głowy taka myśl".*

Na podstawie budowy fizycznej można by sądzić, że Hłasko odznaczał się odpornością psychiczną. W istocie zaś był w słabej formie. Sporo pił, drżały mu ręce. Ale trudno nazwać to alkoholizmem. Alkohol stanowił po prostu atrybut jego postawy życiowej. Zdaniem Bobermina — *„Hłasko był typem marzyciela, takim trochę dużym dzieckiem".* W Ejlacie, nad zatoką Al-Akaba, godzinami siedział na plaży, patrzył w morze i marzył.

Marek Hłasko przeżył zaledwie 35 lat (urodził się 14 stycznia 1934 roku w Warszawie). Teoretycznie mógłby żyć i tworzyć co najmniej drugie tyle lat. Jego wydawca zachodni, Caspar Witsch, powiedział w końcu lat pięćdziesiątych, że za dziesięć lat Hłasko *„będzie albo geniuszem, albo nie będzie go wśród żywych..."*

O teoretycznych szansach przeżycia jednostki dawniej i dziś pisze Zbigniew Smoliński w miesięczniku „POLITYKA SPOŁECZNA" (nr 11—12). Okazuje się, że w okresie pierwszego pięćsetlecia dziejów Polski

## PRZECIĘTNA DŁUGOŚĆ ŻYCIA

wynosiła tylko 23 lata. A w następnych czterech wiekach rosła w tempie prawie niezauważalnym i w 1900 roku osiągnęła 34,2 lata. Bardzo wysoka bowiem była umieralność niemowląt i dzieci. *„Dopiero po r. 1900* — pisze autor artykułu — *długość życia gwałtownie wzrosła i wynosiła w latach: 1921 — 39,3 roku, 1938 — 52,1 roku, 1948 — 59,1 roku, 1958 — 66,3 roku oraz w 1970 — 70,4 roku. Oznacza to, że w ciągu 70 wymienionych lat przeciętna długość życia w Polsce wzrosła o 36,2 roku, tj. została z górą podwojona, wydłużając się prawie co dwa lata o dalszy rok. Było to tempo do 50 razy wyższe niż w okresie poprzedzającym r. 1900. Mniej więcej od r. 1965 można zauważyć wyczerpywanie się możliwości dalszego spadku umieralności i wydłużania się długości trwania życia. Na przykład w latach 1975—1984 przeciętne trwanie życia mężczyzn spadło z 67,4 roku do 67,2, a kobiet wzrosło z 75,1 roku do 75,4 roku. Należy sądzić, że ten stan względnej stabilizacji utrzyma się przez najbliższych co najmniej kilka, jeśli nie kilkanaście lat".*

Zbigniew Smoliński twierdzi, że świat zbliża się już do dolnej granicy przeludnienia względnego, którą określa na 6 mld mieszkańców. Powyżej tej liczby ludności wystarczy miejsca i środków utrzymania na kuli ziemskiej, ale przekroczona zostanie chłonność demograficzna obszarów nadających się do zamieszkania. Nastąpi także pogorszenie stanu środowiska naturalnego, że zmniejszy się żywotność ludzi. *„Pojawią się nowe, trudniejsze do opanowania choroby (przykładowo: AIDS), bo oparte na degeneracji organizmu. Z tego powodu osiągnięcie przeciętnej długości życia ludzkiego 80 lat będzie, z nielicznymi wyjątkami, wysoce utrudnione".*

Problemy cywilizacyjne dotyczą dziś mniej lub bardziej wszystkich ludzi. Lecz nie stanowi to jeszcze podstawy do solidarnego działania. I trudno się dziwić, skoro my, Polacy, nie możemy się dogadać nawet między sobą. Trzeba zresztą przyznać, że już w odległej przeszłości

## POPEŁNIALIŚMY FATALNE BŁĘDY.

Przypomniał je w wywiadzie dla „TYGODNIKA POLSKIEGO" (nr 50) prof. Jan Szczepański. Na pytanie Jadwigi Radomińskiej — czy można zmobilizować cały naród do zgodnego działania w jednym kierunku? — odpowiedział następująco: *„Łączy się z taką możliwością wielkie nadzieje. Popatrzmy jednak na dzieje Polski. W 1772 roku dokonano pierwszego rozbioru Polski, drugi rozbiór nastąpił w 1793 roku. Wielu ludzi wiedziało przecież wtedy, że upadek Polski jako państwa jest bliski, mówiło się o tym i ostrzegało. A co zrobiono, by uratować państwo? Czy dokonała się jakaś mobilizacja narodu szlacheckiego, jednoczącego siły dla ratowania ojczyzny? Wiemy niestety zbyt dobrze, że nie zwolennicy Konstytucji Trzeciego Maja, ale targowiczanie byli górą. Że nawet drugi rozbiór Polski nie spowodował zjednoczenia sił narodowych. A spójrzmy na okres międzywojenny. Czy w obliczu zagrożenia najazdem hitlerowskim rząd sanacyjny zrobił choć jakiś gest pod adresem stronnictw opozycyjnych? Także nie. A więc nawet na kilka tygodni przed oczywistą inwazją niemiecką naród okazał się niezdolny do porozumienia. Nie wyciągam stąd wniosków dla «dziś». Ale tak sobie zmętnie myślę, że niewiele się zmieniliśmy".*

Czy w tej sytuacji zdołamy zreformować gospodarkę i podnieść jej wydajność? Jan Szczepański podkreśla, że o stanie gospodarki decydują określone mechanizmy, a nie jedność narodu. Hamulcem rozwoju gospodarki uspołecznionej jest odebranie obywatelom „możliwości inicjatywy zapewniającej im zorganizowanie sobie swojego przeżycia". Przez to zatrudnienie jest u nas przede wszystkim „wzięciem obywatela na utrzymanie, gdyż z własnej inicjatywy nie jest on w stanie się utrzymać. A zatem płaca musi w poważnej części być socjalnym zasiłkiem na przeżycie, a tylko częściowo wynagrodzeniem za rzeczywiście wykonaną pracę. W naszej gospodarce utożsamia się pracę z zatrudnieniem, a przecież są to sprawy różne". Gospodarka uspołeczniona — czytamy dalej — „biorąc zatrudnionych na utrzymanie traktuje ich prawie jak osoby niepełnosprawne, nie mogące dbać o siebie o własnych siłach".

W ubiegłą sobotę, 13 grudnia

## MINĘŁO PIĘĆ LAT

od wprowadzenia stanu wojennego. Z tej okazji tygodnik „POLITYKA" (nr 50) zamieścił odpowiednie fragmenty z końca drugiego tomu książki Mieczysława F. Rakowskiego pt. „Czasy nadziei i rozczarowań". Książka ta, jak wiadomo, prawie w całości była drukowana w „ODGŁOSACH" (w numerach od 21 do 43). Niebawem można ją będzie kupić w księgarniach. Jest to niezwykle cenny przyczynek do dziejów Polski w okresie od IX Nadzwyczajnego Zjazdu PZPR do pamiętnej niedzieli grudniowej 1981 roku.

E. L.

## NA WŁASNY RACHUNEK

# Odkrywanie Ameryki

O filmie „Oto Ameryka" (produkcji USA), krążyły w Polsce najrozmaitsze słuchy, a dość długi odstęp czasu pomiędzy zapoznaniem się z filmem pewnych zamkniętych środowisk (m. in. dziennikarskiego) i wyświetleniem go dla ogółu dorosłej publiczności zdawał się uzasadniać podejrzenia, że przedstawiono tam korzystniejszy obraz życia w USA niż można by udostępnić społeczeństwu bez osłabienia jego politycznego morale.

Film jednak wyświetlono, nb. na dwie raty w nocnych programach TV, i choć oczekiwany z powszechnym zaciekawieniem nie rozpętał on jednak, o ile się orientuję, namiętnych dyskusji towarzyskich. Otóż po prostu film (niezależnie od intencji jego autorów) zszokował znaczną część polskich odbiorców, a wielu wprawił w zakłopotanie drastycznością niektórych stron życia, oznakami okrucieństwa i obyczajowej rozwiązłości, a nawet traktowaniem spraw religijnego kultu przez część obywateli USA równie powierzchownie i reklamiarsko, jak wiele innych form publicznej aktywności. Słowem, nasz widz zetknął się z tym, co nieraz Kościół potępia pod mianem „grubego materializmu".

Ten obraz USA, nawet jeśli przerysowany w tym, co wyjątkowe i ekscentryczne, za bardzo jednak odbiega od sielankowej wizji codziennego życia Amerykanina, wesołego wprawdzie i rzekomo nawet beztroskiego, ale w sumie poczciwego i pełnego wysokich cnót moralnych. Trudno się więc powoływać na film w codziennych rozmowach jako na przeciwwagę dla upadku moralnego cechującego (i to na zasadzie rzekomego wyjątku) polską obecną rzeczywistość.

A więc rozpowszechniony i dotychczas niczym niezmącony mit Ameryki jako krainy dla wszystkich szczęśliwej został chwilowo wycofany z rozmów tramwajowo-biurowych i towarzysko-biesiadnych między rodakami, okazał się bowiem przejściowo mniej przydatny, choć wróci zapewne ze wzmożoną siłą, gdy co niemiłe zapadnie w niepamięć, a stanie się to, jak przypuszczam, nadzwyczaj szybko.

Ale już teraz pojawiają się interpretacje biorące bezpośrednio w obronę ów miły sercom stereotyp Ameryki, będący przedłużeniem dawniejszego mitu błyskawicznych karier „z pucybuta milionerem". Otóż zarzuca się naszej TV, a szerzej — polskiej propagandzie, że specjalnie upatrzyła sobie film szkalujący Stany Zjednoczone, twierdzi się przy tym, że cenzura dokonała skrótów znacznie zmieniających wymowę filmu na niekorzyść stosunków i obyczajów panujących w USA.

Co do pierwszej sprawy, to nie sądzę, żeby film ten jednoznacznie „szkalował" USA, nie brak w nim przecież scen pokazujących dynamikę i rozmach życia, fantazję i odwagę obywateli, sprawność organizacyjną i wysoki poziom cywilizacji technicznej, a że niektórzy ludzie u nas nie chcą przyjąć do wiadomości poza blaskami również cieni w życiu USA (a nie pokazano w zasadzie bezrobocia, bezdomności, nierówności rasowej, wpływów gangów na biznes i politykę), to za takie jednostronne widzenie USA przez różowe okulary polska propaganda rządowa z pewnością nie odpowiada, lecz określone ośrodki dezinformacji. Kto im wierzy bezkrytycznie, sam ponosi ryzyko doznania zawodu i jego to sprawa.

Co zaś do skrótów, to rzeczywiście, nasza cenzura usunęła lub skróciła sceny szczególnie drastycznych rozwiązłości obyczajowych, co dotyczy głównie „czarnej mszy" — sekciarskiego obrzędu, związanego z kultem szatana, w którym brutalne sceny seksu przeplatają się z profanacją przedmiotów religijnego, chrześcijańskiego kultu, co dla ludzi wzrosłych w tradycji kultury europejskiej jest czymś wyjątkowo niesmacznym, postanowiono więc, jak sądzę, zaoszczędzić naszym widzom obrazów urażających ich uczucia religijne. W razie pokazania czegoś takiego w TV część widzów zapewne zarzuciłaby władzy, że nie przepuszcza żadnej okazji, by „szkodzić religii i znieważać uczucia wierzących" Jestem też przekonany, że niejeden z tych księży, co nie przebierają w środkach, podtrzymywałby swoich parafian w tym mniemaniu, podjudzając ich do nieodpowiedzialnych zachowań.

Co do mnie, to uważam, że nasze władze niejednokrotnie wykazują w tych sprawach przesadną delikatność wobec środowisk, które tego i tak nie doceniają, a tylko czyhają na potknięcia i niezręczności, aby nadawać im niezdrowy rozgłos.

Ale może lepiej jest dmuchać na zimne, żeby nie przegrzewać atmosfery...

JERZY KWIECIŃSKI

# Już za tydzień...

**ostatnie w tym roku wydanie „Odgłosów". Będzie ono miało charakter specjalny: JUBILEUSZOWY (1500 numer) oraz ŚWIĄTECZNY (Boże Narodzenie). W tygodniku — liczącym 20 stron — znajdą Czytelnicy wiele interesujących materiałów, a między innymi:**

- **pierwszy odcinek pasjonującego reportażu ROMANA KUBIAKA pt. „Na południe od Czernobyla", w którym ukazuje dramatyczną walkę człowieka z niewidzialnym wrogiem jądrowym;**
- **obszerny esej EDMUNDA LEWANDOWSKIEGO pt. „Narodziny i dzieciństwo Jezusa" — oparty na źródłach historycznych, ewangelicznych i apokryficznych;**
- **reportaż JOLANTY WROŃSKIEJ o ludziach, którzy mozolnie uczą się żyć na trzeźwo;**
- **pierwszy fragment nowej powieści JACKA KRAKOWSKIEGO pod intrygującym tytułem „Sodoma", w której dwaj wysłannicy, Laurenty i Sylwester, przeżywają niezwykłe przygody erotyczne. Znany krytyk zestawił tę książkę z utworami Stanisława Ignacego Witkiewicza;**
- **szkice GRZEGORZA GAZDY na temat twórczości Witolda Gombrowicza oraz o dziesięciu najlepszych książkach 1986 roku;**
- **Szopkę Jubileuszowo-Noworoczną WIESŁAWA MACHEJKI z rysunkami STANISŁAWA IBISA-GRATKOWSKIEGO, w której występują znane nie tylko w Łodzi postacie;**
- **rozmowę ANDRZEJA KAROLCZAKA z dwoma działaczami sportowymi o tym, że 30 tysięcy biedaków patrzy jak 22 bogaczy zarabia pieniądze;**
- **ostatni odcinek sensacyjnego reportażu ANDRZEJA MAKOWIECKIEGO z Meksyku;**
- **niezwykłą rozmowę DARIUSZA DOROŻYŃSKIEGO z dwoma mężczyznami, którzy jeszcze trzy lata temu byli kobietami, a potem zdecydowali się zmienić płeć.**

# Co robić? Tworzyć nowe byty ponad potrzebę, czy remontować już istniejące?

# Maskotki demokracji?

TOMASZ SAS

Intensywnie odmieniając przez wszystkie przypadki i zawiłości form gramatycznych antyczne słowo „demokracja" (dosłownie — władza ludu), doszliśmy do takiej wprawy w tej żonglerce, iż tym słowem i jego pochodnymi posługujemy się automatycznie, niemal bezwiednie. Przy tym mało troszcząc się o to, co właściwie ono znaczy w życiu zbiorowym i polityce.

Szczególnie złośliwym nowotworem językowym, powstającym w toku tych nieokiełznanych mutacji, jest słówko-wytrych: „demokratyzacja", występujące na ogół w nierozerwalnej parze z przymiotnikiem „dalsza". Wystarczyło że raz pojawiło się w publicznym wystąpieniu politycznym, by wejść na stałe niemal do wokabularza autorów przemówień, dokumentów, publicystycznych komentarzy, a stąd do zasobu zwrotów kolokwialnych żargonu działaczowsko-urzędniczego. Użyte po raz pierwszy, być może niezbyt zręcznie, miało coś oznaczać, oddawać zamysł i intencje autora. Powtarzane po wielekroć, stało się frazesem — nieznośnym i z każdym nowym zastosowaniem coraz mniej znaczącym.

Piszę to ze smutkiem, bom sam nie bez winy. Ale niech rzuci we mnie kamieniem, kto ani razu frazesu tego nie użył, występując publicznie w kwestiach politycznych doby współczesnej, bądź komu choćby w głowie tylko nie powstała myśl słodka, by się tym zgrabnym i modnym zwrotem podeprzeć...

## SŁOWO „DEMOKRATYZACJA"

pojawia się w dwóch podstawowych znaczeniach. Po pierwsze — jako absolut, czyli proces „udemokratyczniania się" rzeczywistości, a ściślej: ustroju społeczno-politycznego; chodzi tu o zmierzanie konstytuujących ten ustrój instytucji prawa i powszechnego zwyczaju w stronę modelowego ideału demokracji socjalistycznej, która jawi się nam w pismach teoretyków i strategicznych programach.

Ale jeżeli nasz ustrój jest demokracją — a jest nią n i e w ą t p l i w i e, mimo niedoskonałości rozmaitej natury — to czy z czysto logicznego punktu widzenia możliwe jest „demokratyzowanie" demokracji? Nie twórzmy bytów ponad potrzebę!

Drugie znaczenie to „demokratyzacja czegoś", a więc udoskonalanie — z punktu widzenia postulatu pełnej władzy ludu — któregoś z fragmentów systemu wewnętrznej organizacji naszego życia zbiorowego. Może to być np. demokratyzacja prawa wyborczego, demokratyzacja statusu wyższej uczelni, demokratyzacja procesu zarządzania gospodarką, demokratyzacja stosunków międzyludzkich itd.

Nie sposób jednak pogodzić się z chocholim tańcem nieporozumień wokół kwestii najżywiej z demokracją w jej podstawowym rozumieniu powiązanych.

Istota demokracji jako sposobu sprawowania władzy we współczesnych warunkach naszego państwa sprowadzać się winna do rzetelnie funkcjonującego systemu przedstawicielskiego. Zapewne ten realny, konstytucyjny porządek sprawowania władzy w Polsce nie jest doskonały. No cóż, jako struktura oparta o prawo z natury rzeczy „nie nadąża" za przemianami świadomości, za obywatelską gotowością do współudziału w sprawowaniu władzy. (Z drugiej strony nie sposób nie zauważyć, iż rewolucyjno-utopijne wyprzedzanie realnych stosunków społecznych przez ustanawiane na wyrost konstytucyjne urządzenia władzy, przynosi co najmniej tyle samo szkody, co skostnienie struktury państwa...)

Ale dla obywatelskiego samopoczucia stokroć ważniejsze od „dalszej demokratyzacji" jest

## PORZĄDNE FUNKCJONOWANIE STRUKTUR JUŻ ISTNIEJĄCYCH.

Jak z tym jest — wszyscy dobrze wiemy. Wystarczy uważnie czytać gazety. Roi się w nich od zdumiewających przykładów arogancji urzędniczej, tłamszenia samorządności, niepokojącego uwiądu funkcji rad narodowych, wykorzystujących swe ustawowe kompetencje nieśmiało i jakby niechętnie. Z racji swych zawodowych zainteresowań bywam często w Sejmie i wiem, jak trudno posłom przychodzi uzyskać zadowalające, konkretne i rzetelne odpowiedzi od ministrów na pytania i interpelacje; wiem, jakie boje staczają komisje sejmowe z ministerialnymi urzędnikami, gdy trzeba choćby zdobyć potrzebne informacje.

Jest dość dowodów na to, że istniejące struktury naszej demokracji przedstawicielskiej funkcjonują niezadowalająco. Sądzę, że naprawianie tych stosunków mogłoby wiele zmienić — przede wszystkim w sferze wzbudzania zaufania obywateli do wiarygodności władzy, w której powołaniu sami brali udział.

Tymczasem — jak się wydaje — przewagę w kształtowaniu opinii publicznej zdobyli sobie zwolennicy innego sposobu doskonalenia naszego państwa i toczącego się w nim życia publicznego. Mam tu na myśli tych, którzy zafascynowali się prostym rozwiązaniem dylematu, który miał pewien Cygan — w czasach, gdy naród ten prowadził jeszcze wędrowny tryb życia. Przyglądając się gromadce swych przybrudzonych latorośli, bawiących się w pełnym kurzu przydrożnym rowie, Cygan dumał: umyć, czy zrobić nowe? Wybrał oczywiście rozwiązanie przyjemniejsze dla siebie...

Naśladowcy Cygana doszli do wniosku, że jedyną miarą postępu demokracji jest liniowy przyrost instytucji przez nich samych nazwanych demokratycznymi. Wolą robić nowe niż myć stare.

W procederze tym najważniejsza jest nominacja na demokratyczność. Użycie tego słowa bowiem w dzisiejszym, nader skomplikowanym i delikatnym, pejzażu politycznym Polski od razu zamyka usta ewentualnym krytykom. Demokracja jest sacrum — kto w nią powątpiewa, odstępcą jest, dogmatykiem albo zgoła konserwatywnym betonem — jeżeli nie wprost wrogiem ustroju i rzeczywistości, w której on się realizuje. Dlatego tak ważne jest nazwanie a priori nowych, projektowanych instytucji uzupełniających strukturę organizacji państwa — demokratycznymi; zabezpiecza to je przed niepożądanym rozstrząsaniem ich rzeczywistej natury.

Najświeższej daty są dwie propozycje w tej mierze, zachwalane jako wyraz „dalszej demokratyzacji" systemu naszego socjalistycznego państwa. Pierwsza z nich to rzecznik, albo — jak chcą niektórzy — strażnik praw obywatelskich, druga — społeczna rada konsultacyjna przy Przewodniczącym Rady Państwa i ewentualne jej odpowiedniki w województwach.

Nie poważyłbym się zakwestionować powołania obu tych instytucji. Ba, jestem głęboko przekonany, że obie mają sens i mogą stać się ważnym uzupełnieniem wewnętrznej organizacji naszego państwa — każda w ściśle zakreślonych ramach. Apeluję tylko o pomiarkowanie w dyskusji, o nienadużywanie przy okazji słowa „demokracja" i jego pochodnych. Sądzę bowiem, że instytucje rzecznika i społecznej rady w sumie niewiele mają w sobie z demokratyczności.

Pierwsza co najwyżej jest protezą dla źle (lub niepewnie) funkcjonującego systemu demokratycznego sprawowania władzy. Druga zaś w ogóle nie ma z demokracją nic wspólnego.

Rozpocznijmy zatem dowód od niej. Zamysł powołania społecznej rady konsultacyjnej wywodził się z potrzeby rozszerzenia ideowego, a także personalnego, płaszczyzny konsultowania bieżącej — i w pewnym sensie perspektywicznej — działalności władz państwa. Oto Przewodniczący Rady Państwa zaprosił imiennie grono obywateli, rezprezentujących bądź samych siebie, bądź określone środowiska opiniotwórcze, kładąc nacisk na osoby i środowiska dotąd nie uczestniczące, bądź uczestniczące nieznacznie w propaństwowym nurcie życia publicznego. Osoby te, tworzące Radę, będą spełniać

## FUNKCJĘ KONSTRUKTYWNEGO KRYTYKA,

czyli doradzać i odradzać, wypowiadać swoje opinie o projektowanych posunięciach władzy albo o stanie państwa w ogóle; Rada będzie zapewne pierwszym weryfikatorem rozmaitych idei lub koncepcji działania — czyli opinią publiczną w skali laboratoryjnej, o szczególnie wyostrzonej reakcji. Ten ostatni przymiot zapewnił dobór członków Rady wedle specyficznego kryterium autorytetu, posiadanego przez nich dzięki własnej mądrości bądź reprezentowaniu zbiorowej mądrości środowisk czy organizacji, z których się wywodzą.

Jest to zatem advocatus diaboli, opłacany i mobilizowany do roboty, wyposażony w znaczną niezależność — tylko po to, by szukał dziury w całym. Swoisty system wczesnego ostrzegania przed możliwym błędem.

Myślę, że gdy Rada będzie spełniać taką funkcję, to bardzo przysłuży się krajowi. Ale błagam — nie mylmy przydatości z demokratycznością! Rada, choćby ze względu na sposób swego powołania, z natury rzeczy jedynie możliwy, nie ma nic wspólnego z władzą ludu, czyli socjalistycznym systemem przedstawicielskim, wybieranym przez ogół obywateli. Jedyną legitymacją takiej instytucji w naszym ustroju jest przyzwolenie — w nadziei osiągnięcia korzyści dla państwa — uczynione przez dzierżyciela władzy najwyższej, czyli lud pracujący miast i wsi, za pośrednictwem swych obieralnych przedstawicieli.

Istota problemu polega w tym przypadku na stworzeniu pewnej struktury opiniodawczej. Przecież na dobrą sprawę pozyskiwanie opinii konkretnych obywateli w konkretnych sprawach czy wysłuchiwanie ich krytycznych poglądów nie musi odbywać się w sposób sformalizowany. Ręczę że i dotąd Przewodniczący Rady Państwa (a także inne organa władzy) skrupulatnie gromadził wielostronne informacje, obserwacje i opinie — krytyczne w szczególności. Powołanie Rady — wierzę — nie zmieni merytorycznej zawartości tych konsultacji. Czy idzie zatem o wydanie oficjalnych koncesji na uprawianie krytyki czy konstruktywnej opozycji? Nie sądzę... Mniemam, że idzie o wyniesienie patriotycznych motywacji konstruktywnego działania na rzecz Polski nad różnice ideologiczne, o wyższość dialogu nad starciami światopoglądów.

To bardzo dobrze — ale z demokracją ma to tyle wspólnego, że — powtarzam z uporem — dzieje się na mocy przyzwolenia demokratycznie ustanowionej władzy.

Powołanie Rady jest z pewnością objawem uspołecznienia procesu podejmowania decyzji, ale nie jedynym i ze wszystkich możliwych — najmniej demokratycznym, aczkolwiek gwarantującym wysoką jakość i użyteczność. Trzymajmy się tego punktu widzenia i unikajmy wielkich słów...

Kwestia powołania rzecznika praw obywatelskich nieco inaczej się przedstawia ze względu na pryncypia demokracji. Urząd rzecznika, czyli obrońcy lub strażnika (to określenie podoba mi się najbardziej, ale dlaczego — w dalszej części wywodu) praw obywatelskich może być potraktowany jako objaw defensywnej koncepcji obywatelskiej podmiotowości w państwie. Oto bowiem demokracja, czyli

## WŁADZA LUDU USTANAWIA OBROŃCĘ PRAW

podmiotów na tenże lud składających się. Przed kim? Przed czym? 99 na 100 zapytanych obywateli odpowie bez zastanowienia: przed władzą. Aha — przed władzą, czyli przed sobą samą. Ale to przecież my, obywatele naszego państwa, jesteśmy w nim władzą...

No, to jak to właściwie jest? Jeden z tej setki odpowie, że przecież nie chodzi o obronę przed władzą w ogóle, tylko przed patologicznym produktem ubocznym procesu sprawowania władzy. Struktury obieralnych władz przedstawicielskich nie są bowiem w stanie same administrować państwem, przeto wyznaczają funkcjonariuszy, najmują urzędników, powołują instytucje profesjonalnie nadzorujące i obsługujące wyspecjalizowane dziedziny działania nowoczesnego państwa. Rozmiary tej machiny w państwie średniej wielkości są wystarczające, aby pojawiło się zjawisko pewnej stałej ilości patologicznych odchyleń wśród ludzi i czynności machiny. To znaczy, że jest to zjawisko obiektywne, niezależne od pryncypiów ideowych ani ustroju czy światopoglądu. Ani od intencji samej władzy.

Każda administracja — z różnych powodów — pewien procent swych czynności ma dotknięty wadami, w tym także naruszającymi prawa obywateli. Każda zatrudnia pewien procent funkcjonariuszy, którzy stale działają wadliwie, krzywdząc tym samym obywateli. Nadmiarem szkodliwego idealizmu byłoby niedostrzeganie tego obiektywnego zjawiska, ani niezabezpieczenie się przed jego skutkami, czy poniechanie wszystkich możliwości obrony.

Toteż nie ma chyba współcześnie takiej władzy ani takiego państwa, które zaniechałoby w swych ustawach najwyższego rzędu powołania instytucji obronnych, powściągających rozmaite elementy struktury władzy i administracji przed naruszaniem praw obywatelskich. Polska jest krajem, gdzie na straży praw tych ustanowiono sporo — równolegle działających — aparatów kontrolujących, rewidujących, broniących, przyjmujących i załatwiających skargi, występujących po stronie i na rzecz obywateli. Działalność ta jest również domeną wielu organizacji politycznych i społecznych, związków i stowarzyszeń. A główne chyba, bo wyznaczone przez Konstytucję, miejsce w tym systemie zajmuje urząd prokuratora — z mocy ustawy zobowiązany do stania na straży prawa i ścigania jego naruszeń.

I oto w całym tym rozległym systemie pojawia się powszechnie oczekiwana i gorąco wspierana potrzeba ustanowienia jeszcze jednego, specjalnego urzędu — rzecznika praw obywatelskich. Dlaczego?

Racjonalnie można to wyjaśnić w taki sposób: albo do tego stopnia rośnie ilość faktów, ocenianych jednoznacznie jako naruszenia praw obywatelskich, że niezbędna jest jeszcze jedna instytucja obronna; albo — wprawdzie ilość tych naruszeń wcale drastycznie nie rośnie, tylko dotychczas istniejące systemy obrony radzą sobie z nimi coraz gorzej lub zgoła źle.

Jest jeszcze trzecie wyjaśnienie. Nieracjonalne. Instytucja rzecznika praw obywatelskich ma znaczenie pozamerytoryczne, nakierowane ku uwiarygodnieniu procesu zmian ustrojowych, ku „dalszej demokratyzacji", ku budowaniu barier zabezpieczających przed powtórzeniem się zjawisk kryzysu politycznego i moralnego. Ale nie wierzę, by tak było... Jest jeszcze jedno wyjaśnienie, zgoła fantastyczne, bo czysto psychologiczne. Ale cóż poradzić — pojawiło się i zostało publicznie rozpowszechnione, więc godzi się i o nim wspomnieć. Mam tu na myśli fragment wypowiedzi wiceprzewodniczącego Rady Krajowej PRON Andrzeja Elbanowskiego dla PAP z 10 listopada 1986 r. Powiedział on, że *„celem wysiłków rzecznika powinno być osłabienie swoistego poczucia „bezbronności", lub zagubienia obywatela wobec rozbudowanego systemu organów i instytucji, których działanie nie dla każdego jest zrozumiałe"*. Innymi słowy: rzecznik ma psychicznie wspierać obywatela w jego codziennej konfrontacji z ogromem państwa. A skąd pewność, że obywatel sobie prędziutko nie utożsami samego rzecznika z „rozbudowanym systemem". Rzecznik przecież nie pojawi się jak deus ex machina w próżni społecznej. I o tym winni pamiętać reformatorzy...

Nie są to wszystkie możliwe wyjaśnienia. Ale gdybym miał skłonić się ku któremuś z nich, wybrałbym pogląd, że już funkcjonujące systemy słabo — w stosunku do społecznych oczekiwań — radzą sobie z obroną konstytucyjnych praw obywatelskich. No cóż, podstawowe z tych ogniw —

## URZĄD PROKURATORA

— nie cieszy się szczególnie wysokim zaufaniem społecznym, jak wynika z opublikowanych niedawno badań opinii, dokonanych przez CBOS. Obywatele, jak się wydaje, nie są szczególnie skłonni do powierzania swych trosk prokuratorom (z wyjątkiem trosk skierowanych przeciwko innym obywatelom). A i wystąpienia prokuratorskie z własnej inicjatywy, choć nie można odmówić im ciężaru gatunkowego, są marginesem wobec całego obszaru aktywności tego urzędu.

Rozpowszechniona w naszym kraju jest instytucja skarg i zażaleń, choć w jej dostateczną skuteczność można powątpiewać. Wyjąwszy może skargi kierowane do najwyższych instancji mogących coś załatwić — Rady Państwa, Sejmu, Komitetu Centralnego PZPR. W tym ostatnim szczególnie wysokim zaufaniem obywateli cieszyło się do niedawna „biuro Siwaka"; właśnie swą polityczną i społeczną działalnością Albin Siwak szczególnie dobrze zasłużył się ojczyźnie... Ale cóż, być może nadszedł czas, by Don Kichotów zastąpił wreszcie profesjonalny urzędnik, skutecznie realizujący najwyższy rygor moralny socjalistycznego państwa — obronę praw ludzi państwo to tworzących.

Teraz, gdy już ogłoszono do konsultacji projekt konkretnych rozwiązań natury ustawowej, nadszedł czas najwyższy na spokojny i długotrwały namysł. Tymczasem obserwując zapobiegliwą krzątaninę wielu działaczy wokół kwestii powołania rzeczników, nie mogę uwolnić się od porównań z zaprezentowanym tu już „dylematem Cygana", rozstrzygniętego na rzecz „zrobienia nowego". Nie twierdzę, że nie jest to potrzebne, ale przecież tyle zostało do „umycia"...

Doskonalenie, uporczywe i pełne przeszkód, istniejącego już aparatu obrony praw, wydaje mi się równie ważne, jak tworzenie nowych instytucji. Warto przy okazji pamiętać, uzasadniając potrzebę tego tworzenia powoływanie się na tradycje i osiągnięcia szwedzkiego ombudsmana i jego pochodnych w różnych krajach, że w tamtych systemach jest jednym z nielicznych (jeżeli nie wręcz jedynym) elementów obywatelskiej kontroli nad administracją państwa. I to takim, którego skuteczność jest ostatnio np. w Szwecji mocno i krytycznie dyskutowana wobec zawstydzających faktów samowoli policji i tamtejszych „służb socjalnych", przed którymi obywatele żadnej ochrony nie mają...

A u nas naprawdę jest co doskonalić, zanim przystąpi się do budowy nowego. Nie jestem — podnosząc tę okoliczność — przeciw rzecznikowi. Ale jestem za głębokim namysłem w tej sprawie, za rozważeniem wszystkich okoliczności. Przy okazji zaś wolałbym, aby był to „strażnik", nie „rzecznik". To ostatnie słowo jest nijakie emocjonalnie, nie budzi jednoznacznie pozytywnych skojarzeń. Strażnik natomiast byłby bliższy duchowi języka, w którym tę ideę wyrażamy, choć może brzmi nadto pompatycznie. Ale wolę już tak, niż byle jak...

Powtarzałem to już wielokrotnie — centralnymi punktami naszej demokracji socjalistycznej są: parlament, rada narodowa i samorząd pracowniczy. Sądzę, że dla umocnienia demokratycznej świadomości obywateli, dla potęgowania ich publicznej aktywności największe znaczenie ma rada narodowa. W niej bowiem władza ludu może się realizować w sposób namacalnie najbliższy dla większości obywateli. Rada narodowa jest jednym z ważniejszych nośników wiarygodności ustroju. Toteż wszystkie siły polityczne winny całą swą uwagę skupić na wywalczeniu dla niej niewzruszalnej pozycji w strukturze rządzenia państwem.

A tymczasem spróbujcie zapytać przeciętnego urzędnika terenowej administracji — kto jest dla niego źródłem władzy? Odpowie z całą pewnością, że przełożony. Dopiero na najwyższych szczeblach powiedzą, że organ przedstawicielski. Ale kto zważy, ile w tej deklaracji jest kurtuazji, ile oportunizmu, a ile szczerego przekonania, że tak jest w istocie?

Słabość organów przedstawicielskich i samorządów nie da się zrównoważyć tworzeniem nowych instytucji gwarantujących poszanowanie praw czy kolektywizujących proces podejmowania decyzji. Bez silnej Rady będą one tylko maskotkami demokracji, a co najwyżej wąsko wyspecjalizowanymi instrumentami korygowania procesu rządzenia, ale bez możliwości dobierania się do rzeczywistych barier utrudniających skuteczne działanie organów ludowładztwa.

Sekretarz generalny PRON Jerzy Jaskiernia powiedział niedawno publicznie — sumując z niejaką dumą ilość rozmaitych instytucji „demokratyzujących" — że w ten sposób Polska znalazła się wśród prekursorów nowatorskich rozwiązań ustrojowych („Życie Warszawy" 86.11.15). Tak, tylko, że owo „prekursorstwo" aż nadto wyraziście przypomina rozpędzony pociąg, od którego odczepiają się wagony, a mimo to kolejarze wciąż z bocznic podtaczają nowe wagony i usiłują je jakoś podłączyć do lokomotywy...

Jestem cały za rzecznikiem praw obywatelskich, ale jakoś mogę sobie wyobrazić demokrację socjalistyczną bez niego. Za to bez silnej władzy organów przedstawicielskich — nie.

EDMUND LEWANDOWSKI

# Żydzi czekają na Mesjasza

Twórca religii chrześcijańskiej, Jezus z Nazaretu, żył i działał w tzw. Ziemi Świętej — ojczyźnie Żydów. Urodziła go kobieta żydowska. Wierzył w Boga Żydów — Jahwe, uznawał żydowskie Księgi Święte (Stary Testament). W specjalnej deklaracji Soboru Watykańskiego II o stosunku Kościoła do religii niechrześcijańskich czytamy: *„Zgłębiając tajemnicę Kościoła, święty Sobór obecny pamięta o więzi, którą lud Nowego Testamentu zespolony jest duchowo z plemieniem Abrahama. Kościół bowiem Chrystusowy uznaje, iż początki jego wiary i wybrania znajdują się według Bożej tajemnicy zbawienia już u Patriarchów, Mojżesza i Proroków. (...) Pamięta także, iż z narodu żydowskiego pochodzili Apostołowie, będący fundamentami i kolumnami Kościoła, oraz bardzo wielu spośród owych pierwszych uczniów, którzy ogłosili światu Ewangelię Chrystusową"*. (Nostra Aetate, 4).

Naród żydowski — podobnie jak starożytni Akadowie, Amoryci, Asyryjczycy, Kanaanejczycy, Aramejczycy, Fenicjanie i Kartagińczycy oraz współcześni Arabowie — należy do grupy ludów semickich, których praojczyznę lokuje się na Półwyspie Arabskim. Prawdopodobnie już w IV tysiącleciu pierwsze grupy semickie zaczynały osiedlać się w Mezopotamii. Lecz wyraźne ślady pochodzą z XXVI wieku. W archiwach miast sumeryjskich natrafiono na liczne imiona semickie.

W XXIV stuleciu p.n.e. państewka sumeryjskie zostały podbite przez semickich Akadów, pod wodzą Sargona, który stworzył w tym regionie pierwszą wielką monarchię i dał początek cywilizacji sumero-akadyjskiej. Później Sumerowie stopniowo rozpłynęli się wśród napływających do Mezopotamii fal ludów semickich, ale wspaniały dorobek ich kultury został przyjęty przez Babilończyków, Asyryjczyków, Hebrajczyków i innych.

Należy podkreślić, że zwycięscy Semici byli mniej cywilizowani od zwyciężonych Sumerów. W kodeksach Babilończyków, Asyryjczyków i Hebrajczyków stosowane było twarde prawo odwetu (lex talionis) — czyli „oko za oko, ząb za ząb" — którego nie znały zwyczaje sumeryjskie.

Być może praprzodkowie Żydów z okresu Abrahama, Izaaka i Jakuba (1850—1700 r.p.n.e.) należeli do tzw. ludzi „Habiru". Nazwą tą określono luźne, wędrujące grupy półkoczowników, które nie miały określonego obywatelstwa i poszukiwały w różnych krajach środków do życia. Kategoria społeczna „Habiru" pojawiła się na początku II tysiąclecia w Mezopotamii, a stamtąd właśnie miał wyruszyć ojciec Abrahama. Biblia podaje, że Ur Chaldejskie (dziś Tall-al-Mukajjar w południowym Iraku) to ziemia ojczysta Abrahama, skąd udał się z ojcem najpierw na północny zachód do miasta Harran, a następnie na południe do Ziemi Kanaan.

## WIELU HISTORYKÓW KWESTIONUJE

wywodzenie Żydów od ludzi „Habiru". Ale przemawiają za tym dwa fakty. Po pierwsze — w opowieściach biblijnych z najstarszego okresu cudzoziemcy nazywali Żydów „Hebrajczykami" (ibri). I po drugie — w biblijnej księdze Powtórzonego Prawa o przodku Żydów, Abrahamie, czytamy: *„Ojciec mój, Aramejczyk błądzący* (podkr. E.L.), *zstąpił do Egiptu, przybył tam w niewielkiej liczbie ludzi i tam się rozrósł w naród ogromny, silny i liczny"*. (Pwt 26, 5).

Skąd Żydzi wzięli się w Egipcie? Otóż najprawdopodobniej przybyli tam w latach 1700 — 1560 p.n.e., kiedy panowali Hyksosi, czyli *„władcy obcych krajów"*. Byli to książęta semiccy z Kanaanu, którzy podbili Egipt i rządzili nim przez blisko półtora wieku.

W rzeczywistości naród żydowski ukształtował się w pierwszym tysiącleciu p.n.e. w Ziemi Kanaan — leżącej między wschodnim wybrzeżem Morza Śródziemnego a doliną rzeki Jordan oraz pomiędzy Egiptem a Mezopotamią — którą później zwano Judeą, a następnie Palestyną. Ta ostatnia i do dziś stosowana nazwa pochodzi od niesemickiego ludu Filistynów (stąd „Philistia" i „Palestina"), który przybył do tej krainy prawie jednocześnie z Żydami i osiedlił się na wybrzeżu w południowej części Kanaan (dziś terytorium Gazy). Filistyni należeli do tzw. ludów morza. Przyszły one z rejonu egejsko-kreteńskiego, zburzyły imperium Hetytów i dokonały nieudanej inwazji na Egipt. W pewnej inskrypcji Ramzesa III czytamy:

*„Wojownicy szli na Egipt i fala ognia szła przed nimi. Byli wśród nich Peleset, Zikar, Szekelesz, Danuna i Waszacz"*.

Filistyni od samego początku walczyli z plemionami hebrajskimi, usiłując je wyprzeć lub podporządkować sobie. Po jednej ze zwycięskich bitew około 1050 r.p.n.e. zabrali nawet Arkę Przymierza z Szilo. Filistynem był biblijny Goliat, którego pokonał za pomocą procy Dawid.

Żydzi wierzą, iż Palestyna jest ziemią obiecaną i daną im przez samego Boga Jahwe. W Piśmie Świętym Bóg mówi następująco:

*„Ustanowię granice twego kraju od Morza Czerwonego do morza filistyńskiego* (tzn. Śródziemnego), *od pustyni aż do Rzeki* (tzn. Eufratu). *Oddam w ręce wasze mieszkańców tego kraju, a ty ich przepędzisz spośród was. Nie będziesz zawierał przymierza z nimi ani z ich bogami. Nie mogą mieszkać w twoim kraju, gdyż przywiedliby cię do grzechu przeciw mnie. Mógłbyś oddawać cześć ich bogom, co byłoby dla ciebie zgubą"*. (Wj. 23, 31—33).

Podbój Kanaan przez plemiona izraelskie odbywał się stopniowo i trwał przez ponad 200 lat. Pierwsze hordy koczowniczych najeźdźców nadciągnęły od strony pustyni w drugiej połowie XIII wieku p.n.e. i uderzyły na osiadłych rolników i hodowców. Tłumiąc w tym rejonie około 1229 r. powstanie antyegipskie faraon Merenptah (1236—1223 p.n.e.) zniszczył też — jak informuje — „obcy" lud Izrael. Stela jego stanowi najstarsze źródło historyczne potwierdzające obecność Żydów w Palestynie.

## ZIEMIA OBIECANA NIE PRZYNIOSŁA JEDNAK ŻYDOM SZCZĘŚCIA.

Najpierw za sprawą Asyryjczyków (druga połowa VIII w.p.n.e.), potem Babilończyków (pierwsza połowa VI w.p.n.e.) i wreszcie Rzymian (druga połowa I oraz pierwsza połowa II wieku) znaleźli się w absolutnej diasporze, czyli w rozproszeniu po różnych krajach świata. W czasach Jezusa — jak podaje Pierre Pierrad — w Palestynie mieszkało około 1 mln Żydów, a w diasporze (głównie Mezopotamii, Syrii i Egipcie) od 6 do 7 milionów. Lecz są to chyba dane znacznie zawyżone. Według Wilfrida J. Harringtona w I wieku we wszystkich państwach śródziemnomorskich było około 4 mln Żydów.

Jak wynika z Pisma Świętego, Bóg zawarł przymierze z Żydami. Była to dwustronna umowa, na mocy której zobowiązał się do sprzyjania dążeniom narodu żydowskiego, a ten miał być wierny, ściśle wypełniać przykazania i oddawać cześć. Na znak przynależności do przymierza wszystkie niemowlęta płci męskiej winny być w ósmym dniu życia obrzezane. W Księdze Rodzaju Bóg powiada:

*„Nieobrzezany, czyli mężczyzna, któremu nie obrzezano ciała jego napletka, taki człowiek niechaj będzie usunięty ze społeczności twojej: zerwał on bowiem przymierze ze Mną"*. (Rdz. 17, 14).

Historycy łatwo potrafią wskazać w Piśmie Świętym liczne zapożyczenia z utworów znacznie wcześniejszych i znanych ludom Bliskiego Wschodu. Niemniej jednak w myśli żydowskiej jest wiele zupełnie nowych istotnych koncepcji. Na przykład na uwagę zasługuje to, że Bóg jest przed i ponad światem. Takiej idei Boga stworzyciela nie znajdziemy w religiach Chin, Indii, a także Sumerów. Przyjmowano tam, że świat istnieje sam przez się, a bogowie pojawili się później i podlegają jego prawom. Mają oni co najwyżej swój udział w kształtowaniu świata, lecz nie w powoływaniu go do istnienia. Chińczycy i Hindusi uznają wprawdzie za bóstwo odwieczny ład (Tien, Rta, Brahman), od którego wszystko pochodzi, lecz jest to bezosobowy porządek, nie podpadający w naszym kręgu kulturowym pod nazwę boga. Natomiast Bóg Żydów jest osobą, ale nigdy nie przybierającą ludzkiej ani zwierzęcej postaci. Podczas wędrówki przez pustynię objawiał się w postaci ognia lub obłoku. Mojżeszowi powiedział, że żaden człowiek nie może oglądać jego oblicza i zostać żywym.

W judaizmie dość oryginalna jest idea człowieka jako pana wszelkiego stworzenia, mającego podporządkowywać sobie przyrodę, lecz jednocześnie skazanego na mozolną pracę. W porównaniu z innymi, religia żydowska wyróżnia się też olbrzymim znaczeniem proroków. Gdzie indziej profetyzm był kontrolowany i ograniczony politycznie, a poza tym oparty na wierze w ślepy los, wróżbach i zabiegach magicznych. Według Żydów zaś światem rządzi rozumna wola Jahwe, a nie przeznaczenie spełniające się w sposób nieuchronny. Przy czym Bóg kreuje wydarzenia również w zależności od postępowania ludzi.

Żydzi wierzyli i nadal wierzą, iż są narodem wybranym, który ma do spełnienia w świecie misję nawrócenia moralnego i zjednoczenia ludzkości. W biblijnej Księdze Powtórzonego Prawa znajduje się następująca obietnica:

*„Jeśli pilnie strzec będziecie wszystkich tych poleceń, które ja wam dziś nakazuję pełnić, miłując waszego Boga, Jahwe, postępując według wszystkich Jego dróg i Jego się trzymając — wypędzi Jahwe wszystkie te narody przed wami i usuniecie narody większe i mocniejsze od was. Każde miejsce, po którym będzie chodzić stopa waszej nogi, będzie wasze. Granice wasze sięgać będą od pustyni aż do Libanu, od rzeki Eufrat do Morza Zachodniego. Nikt przed wami się nie ostoi, strach przed wami i przerażenie będzie siał wasz Bóg, Jahwe, po całej ziemi, po której będziecie chodzić, jak wam zapowiedział"*. (Pwt. 11, 22—25).

Nawet w islamskim Koranie Allah mówi, że wyróżnił synów Izraela wśród mieszkańców Ziemi.

Wilfrid J. Harrington twierdzi, że już w historycznych początkach narodu żydowskiego tkwi korzeniami oczekiwanie mesjanistyczne.

## CAŁE POKOLENIA CZEKAŁY

i wciąż jeszcze czekają na rajskie królestwo ziemskie, bądź niebieskie, które założy wysłany przez Boga Mesjasz.

Hebrajski rzeczownik „masziah" lub aramejski „meszliha" oznacza kogoś pomazanego, namaszczonego (olejem). W języku greckim przełożono to jako „Christos", a w łacińskim — „Unctus" (balsamowany, namaszczony, bogaty). Początkowo Mesjaszami nazywano władców oraz arcykapłanów, czyli politycznych bądź religijnych przywódców narodu żydowskiego. Lecz prorok Deutero-Izajasz wyjątkowo uznał władcę perskiego Cyrusa za pomazańca Jahwe (Iz. 45, 1). A później mesjaszami okrzyknięto wodzów powstań antyrzymskich.

W drugiej połowie VIII wieku p.n.e. Proto-Izajasz miał takie oto „widzenie" dotyczące Judy i Jerozolimy:

*„Stanie się na końcu czasów,*
*że góra świątyni Jahwe*
*stanie mocno na wierzchu gór*
*i wystrzeli ponad pagórki.*
*Wszystkie narody do niej popłyną,*
*mnogie ludy pójdą i rzekną:*
*»Chodźcie, wstąpmy na Górę Jahwe*
*do świątyni Boga Jakuba!*
*Niech nas nauczy dróg swoich,*
*byśmy kroczyli Jego ścieżkami.*
*Bo Prawo wyjdzie z Syjonu*
*i słowo Jahwe z Jeruzalem«.*
*On będzie rozjemcą pomiędzy ludami*
*i wyda wyroki dla licznych narodów.*
*Wtedy swe miecze przekują na lemiesze,*
*a swoje włócznie na sierpy.*
*Naród przeciw narodowi nie podniesie miecza,*
*nie będą się więcej zaprawiać do wojny"*.
(Iz. 2, 2—4).

Z kolei prorok Daniel wskazywał, że kolejno upadają wszystkie królestwa pogańskie: babilońskie (uskrzydlony lew), medyjskie (niedźwiedź), perskie (skrzydlata pantera), hellenistyczne (przerażająca bestia z dziesięcioma rogami). Zbliża się czas, kiedy władza nad światem zostanie przekazana przez Przedwiecznego (dosłownie Starca Dni) Synowi Człowieczemu. Szczególne znaczenie ma następujący fragment proroctwa Daniela:

*„Patrzałem w nocnych widzeniach,*
*a oto na obłokach nieba przybywa*
*jakby Syn Człowieczy.*
*Podchodzi do Przedwiecznego*
*i wprowadzają Go przed Niego.*
*Powierzono Mu panowanie,*
*chwałę i władzę królewską,*
*i służyły Mu wszystkie narody, ludy i języki.*
*Panowanie Jego jest wiecznym panowaniem,*
*które nie przeminie,*
*a jego królestwo nie ulegnie zagładzie"*.
(Dn. 7, 13—14).

Wyrażenie „Syn Człowieczy" lub „Syn Człowieka" (po aramejsku „bar enasz" = człowiek) ma w Biblii dwojaki sens. Oznacza bowiem jakąś wybitną jednostkę z narodu żydowskiego (Mesjasza), bądź cały mesjański naród żydowski (*„lud świętych Najwyższego"*). Spotykamy się tu z dobrze znanym etnografom i socjologom zjawiskiem, kiedy członkowie danego narodu nazywają tylko siebie ludźmi, a innych traktują jako coś gorszego.

Żydzi nazywali siebie również *„synami Bożymi"*. Toteż kiedy chcieli ukamienować Jezusa pod zarzutem, że będąc człowiekiem uważa siebie za Boga, odparł on — *„Czyż nie napisano w waszym Prawie: Ja rzekłem: Bogami jesteście?"* (J 10, 34). Jezus nie widział nic złego w tym, iż powiedział, że jest synem Bożym, ponieważ wszyscy Żydzi mogli tak się określać. Na jakiej podstawie? Otóż Jezus powołał się na następujący fragment *Księgi Psalmów*:

*„Ja rzekłem: »Jesteście bogami*
*i wszyscy — synami Najwyższego«"*. (Ps 82, 6).

Podobnie też w Księdze Powtórzonego Prawa napisano:

*„Wy jesteście dziećmi Boga waszego Jahwe"*. (Pwt 14, 1).

Na zasadnicze pytanie arcykapłana Kajfasza — czy jest Mesjaszem, synem Bożym? — Jezus odrzekł:

*„Tyś powiedział. A tylko ja wam mówię: od tej chwili zobaczycie Syna człowieka siedzącego po prawej stronie Potęgi i przychodzącego na obłokach nieba"* (Mt 26, 64).

Filozof i psycholog Władysław Witwicki tak pisze o Jezusie:

*„Jego istotnym rysem było to przekonanie, że jest synem Boga i namaszczonym, choć utajonym królem nowej epoki, o którym jest mowa u proroków i w psalmach"*.

Trzeba jednak pamiętać, że w ewangeliach Jezus nigdzie nie stwierdza stanowczo, że jest synem Bożym. Nie nazywa też nigdy siebie wprost Mesjaszem. W niektórych przekładach katolickich wygląda to inaczej, ale nie oddają one wiernie oryginału. Nadgorliwi tłumacze — jak pisał na początku tego wieku niemiecki teolog i historyk wczesnego chrześcijaństwa Adolf Harnack — dodają coś i wstawiają do ewangelii. Inna rzecz, że Jezus chętnie przyjmował oświadczenia innych mówiące, iż jest Mesjaszem i synem Bożym.

Na temat religijnego statusu Jezusa ciekawe stanowisko zajmuje doktryna islamska. Uważa się, iż był on (po arabsku Isa) jednym z proroków, synem dziewicy Marii, powiernikiem Najwyższego, poprzednikiem Muhammada. W Koranie czytamy:

*„Jezus jest synem Marii, posłańcem Boga, wierzcie słowom jego. Wierzcie w Boga i Jego Apostołów, lecz nie mówcie: iż w Bogu jest Trójca. On jest jeden; taka wiara będzie wam pożyteczniejszą. Zamiast, coby miał mieć syna, On sam rządzi niebem i ziemią"*. (IV, 168).

Z kolei w judaizmie współczesnym zakłada się, iż

## JEZUS BYŁ DOBRYM ŻYDEM,

synem cieśli izraelskiego, który wcale nie uważał się za Boga. Słynny teolog i filozof żydowski Joshua Heschel pisze o nim, że *„ogłosił poganskiemu światu dobrą nowinę miłości i przez to przygotował drogę na dzień Mesjasza"*. Jezusa z Nazaretu uznaje za Mesjasza tylko niewielka część Żydów należąca do tzw. wspólnot Mesjanistycznych funkcjonujących poza Kościołami chrześcijańskimi. Najwięcej tego rodzaju wyznawców (około 35 tys.) jest w USA, lecz znajdują się również w Anglii, Francji, Kanadzie, Izraelu, Australii i w niektórych krajach Ameryki Łacińskiej.

W długiej historii narodu żydowskiego wielu było samozwańczych Mesjaszy. Jeszcze w XVII stuleciu dość powszechnie wierzono, że prawdziwym Mesjaszem jest Szabbataj Cwi (1626 — 1676) ze Smyrny. Spodziewano się, iż odzyska Ziemię Świętą od Turków i odnajdzie zaginione pokolenia Izraela. Sprawił on jednak szokujący zawód swym wyznawcom. Uwięziony przez sułtana, pod groźbą śmierci... nawrócił się dla wolności.

Żydzi więc nadal czekają na Mesjasza Wierzą, że w każdej chwili może pojawić się i zasadniczo odmienić ich los. Lecz głównie wiążą z nim doczesne i polityczne nadzieje — i tak było zawsze we wszystkich pokoleniach. Zresztą nawet uczniowie Jezusa oczekiwali królestwa Bożego na ziemi. Wskazują na to dobitnie następujące słowa:

*„A myśmy się spodziewali, że On właśnie miał wyzwolić Izraela"* (Łk 24, 21).

Logicznie rzecz biorąc, po licznych i wprost monstrualnych nieszczęściach (pogromach, zagładach, wypędzeniach) Żydzi powinni odwrócić się od swego Boga, Jahwe, porzucić wiarę w przymierze z nim i zrezygnować z życia religijnego. Wydaje się przecież, że nie może być już bardziej przekonywającego dowodu niewywiązywania się Boga z danej obietnicy niż ich własny los. Dlatego musi budzić zdziwienie i skłaniać do głębokiej zadumy fakt, że wszystkie klęski spadające na ten naród nie tylko nie osłabiały, lecz przeciwnie — umacniały w nim wiarę. Upór, z jakim trwają przy judaizmie można wytłumaczyć — zdaniem Artura Sandauera — tylko właściwym im *„poczuciem wybraństwa, przekonaniem, że znajdują się w posiadaniu prawdy zasadniczej, której za nic nie wolno im utracić, a którą, przeciwnie, powinni się podzielić z innymi"*. Notabene ta pewność i niezłomność irytowała zawsze otoczenie. Nie ufano im, bo byli wyraźnie inni od wszystkich i zamknięci w swych gminach. Budzili niechęć jako potomkowie tych, którzy odrzucili i ukrzyżowali Zbawiciela. A poza tym obserwowano z zazdrością ich mądrość, zaradność, błyskotliwe kariery. Nie potrafiono ścierpieć tego, że są bogaci, że dorabiają się na pogardzanym handlu i zabronionej lichwie. Byli groźnymi konkurentami w gospodarce, polityce, nauce, sztuce. W kontaktach ich dostrzegano przejawy mafijności.

Wszystko to rodziło nienawiść oraz popychało najróżnorodniejsze narody do aktów dyskryminacji, gwałtu i mordu. W słynnej powieści Jamesa Joyce'a „Ulisses" Garret Deasy mówi rzecz znamienną: *„Irlandia, powiadają, ma zaszczyt być jedynym krajem, który nigdy nie prześladował Żydów. Czy wie pan o tym? Nie. A czy wie pan dlaczego?.... Dlatego, że nigdy ich nie wpuściła..."*. A oto inny symptomatyczny przykład. W biblijnej Księdze Estery — powstałej prawdopodobnie ok. 150 roku p.n.e. — wielki wezyr perski mówi do króla:

*„Jest pewien naród rozproszony i odłączony od narodów we wszystkich państwach królestwa twego, a prawa jego są inne niż każdego innego narodu. Praw króla oni nie wykonują i w interesie króla leży, aby ich nie zostawić w spokoju. Jeśli król uzna za słuszne, niech wyda dekret, aby ich wytracić..."*. (Est 3, 8—9).

A dalej czytamy:

*„Potem wysłano listy przez gońców do wszystkich państw króla, aby wygubić i wybić, i wyniszczyć wszystkich Żydów od chłopca do starca, dzieci i kobiety w tym samym dniu, to jest w dniu trzynastym miesiąca dwunastego, to jest miesiąca Adar, a majątek ich skonfiskować"*. (Est. 3, 13).

I podobny dramat rozgrywał się później na scenach wielu krajów europejskich.

Socjolog niemiecki Ralf Dahrendorf powiada, że

## ANTYSEMITYZM MA DŁUGĄ TRADYCJĘ

i nie brak go niemal w żadnym państwie, w którym są Żydzi. Ale tylko w Niemczech hitlerowskich traktowano Żydów jako istoty pozbawione właściwie praw ludzkich i człowieczeństwa. Przy takim barbarzyńskim założeniu wymordowano, jak wiadomo, około 6 mln Żydów.

Niektórzy niemieccy historycy protestanccy próbowali dowodzić, że Jezus wcale nie był Żydem, lecz aryjczykiem, ponieważ pochodził z różnoetnicznej Galilei. Teza ta jednak nie przyjęła się nigdzie. A w Kościele katolickim wyraźnie podkreśla się przynależność Jezusa do narodu żydowskiego i mówi się o żydowskich korzeniach chrześcijaństwa. W specjalnych wskazówkach Papieskiej Komisji do Spraw Stosunków Religijnych z Judaizmem stwierdza się:

*„Jezus jest Żydem, jest nim na zawsze; Jego posługa świadomie ograniczała się do »owiec«, które poginęły z domu Izraela* (Mt 15, 24) *Jezus jest w pełni człowiekiem swoich czasów i swego środowiska żydowsko-palestyńskiego z I wieku, dzielił jego radości i nadzieje"*.

Z różnych względów Żydzi nie mogli i nie mogą uznać Jezusa z Nazaretu za Mesjasza. Wierzą oni bowiem niezbicie, że będzie to człowiek o wybitnych zdolnościach przywódczych, który uczyni Izrael potęgą światową i zaprowadzi nowy ład na ziemi. Mesjasza tego spłodzić ma Żyd pochodzący z królewskiego rodu Dawida. *„Ponieważ już od bardzo dawna nie wiadomo, którzy Żydzi pochodzą z rodu Dawida* — pisze Tadeusz J. Michalski — *każda Żydówka oddająca się Żydowi marzy podświadomie o urodzeniu Mesjasza"*.

Obecnie na całym świecie żyje ponad 13 mln Żydów. Najwięcej mieszka ich w Stanach Zjednoczonych — prawie 6 mln. Natomiast w Izraelu znajduje się 3,4 mln, czyli 26 proc. wszystkich Żydów. Duże skupiska ludności żydowskiej są również w następujących państwach: Związku Radzieckim — 1,8 mln, Francji — 535 tys., Wielkiej Brytanii — 390 tys., Kanadzie — 380 tys., Argentynie — 242 tys., Brazylii — 110 tys., Południowej Afryce — 108 tysięcy. Najludniejszym miastem „żydowskim" jest Nowy Jork, gdzie zamieszkuje aż 2 mln Żydów. A na dalszych miejscach są: Los Angeles — 503 tys., Tel Awiw — Jaffa — 394 tys., Paryż — 300 tys., Jerozolima — 290 tys., Moskwa — 283 tys. i Londyn 260 tys. Zdecydowana większość Żydów znajduje się więc poza Palestyną i w ogromnym rozproszeniu oczekuje na przyjście Mesjasza.

ze str. 1

wiem sporów i nieporozumień, utrudniających sprawne i skuteczne działanie. Wtedy też, w codziennej pracy, poznaliśmy się wszyscy lepiej niż w ciągu paru lat poprzednich. Jednej rzeczy nauczyła mnie praktyka redakcyjna: umiejętności stosowania kompromisu. Pisarze powodowani nadwrażliwością wzniecali istne piekło o rzecz drobną, o szczegół: o pominięcie w jakimś podsumowaniu ich nazwiska, ba! o wydrukowanie nazwiska zbyt małą czcionką albo o zamieszczenie utworu w nieefektownym miejscu. Były i takie przypadki, że X nie życzył sobie, by jego pracę drukować na tej samej stronie co artykuł N.

Dewiza, którą się kierowałem, brzmiała: tylko spokój może nas uratować. Ten spokój kosztował niekiedy bardzo wiele. Ileż to razy trzeba było połknąć gorzką pigułkę. Myślę, że w redakcji nie powinni zasiadać sami ludzie piszący, co jest zresztą grzechem wszystkich literackich pism w Polsce, istnieje bowiem wówczas niebezpieczeństwo upychania numerów własnymi pracami. Nawet kiedy się ma najlepszą wolę i najusilniej dąży do obiektywizmu i sprawiedliwości. Podobno jednym z najlepszych redaktorów w Polsce był Mieczysław Grydzewski — redaktor „Wiadomości Literackich", człowiek, który sam nie pisał i dlatego miał czas na myślenie o numerze i zajmowanie się koncepcją i organizacją materiału.

Cisną się tu na pamięć słowa Cata-Mackiewicza z jego książki „Lata nadziei". Mackiewicz pisze m.in.:

*„Dobry redaktor nie zawsze jest dobrym pisarzem, tak samo jak genialny reżyser może być kiepskim aktorem lub wcale nie być aktorem; a nawet lepiej jest, aby redaktor nie był pisarzem, a reżyser — aktorem, mają wtedy więcej autorytetu u tych, których musztrują".*

Po stokroć słuszne słowa, choć sam Cat jest tu akurat przykładem nietypowym: jako redaktor „Słowa" pisywał w nim codziennie artykuł wstępny. Dziś jest to rzecz nagminna, że członkowie redakcji sami swoimi pracami zapełniają redagowane przez siebie pisma. Kto nie wierzy, niech zajrzy do numerów „Życia Literackiego", „Tu i Teraz", „Przeglądu Tygodniowego", „Polityki" czy „Argumentów".

Przez pewien czas zmorą „Kroniki", przyprawiającą mnie o bezsenność, była niechlujność korekty. Mało pocieszający jest fakt, że korekta w obecnie wydawanych pismach jest pod psem. Ocalał mi gruby kajet, w którym prowadziłem dokładny rejestr prac redakcyjnych. Są w nim również odnotowane kwiatki z łączki korektorskiej. W artykule wstępnym Edwarda Szustra pt. „Zmierzch tubylca" autor wspomina o Murzynach z plemienia Niau-Niau. W druku, nie wiedzieć dlaczego, wyszło Miau-Miau. W jednym z felietonów filmowych zamiast nazwiska Eisenstein, znaleźliśmy nazwisko Einsteina. Gdzie indziej słowo „teleologiczny" zmieniono na „teologiczny" itd., itd. Dużo krwi mnie i moim kolegom napsuła ta niedbałość korektorska, dająca o sobie znać nawet w najlepiej zredagowanych numerach, niszcząc w ten sposób nasze zadowolenie i radość z niepróżnego wysiłku.

Nie udało nam się zrealizować zasady, którą w sztuce Sartre'a Niekrasow głosi jej tytułowy bohater: *„Gazety się nie redaguje, gazetę się tańczy".* Znajdowały się w naszej „Kronice" artykuły kobylaste, pisane — jak zwykł był mawiać Stanisław Brucz — sukiennym językiem. Lekkość w podawaniu materiału cechowała tylko niektórych naszych współpracowników. Zresztą w piśmie wychodzącym raz na dwa tygodnie, zbyt wiele chcieliśmy poruszyć problemów i zagadnień, co bywało ze szkodą dla staranności i komunikatywności „Kroniki". Różnie nasze pismo oceniano, ale gdy upadło, wszyscy go żałowali, a im więcej lat dzieli nas od jego zamknięcia, tym częściej daje mi się słyszeć głosy, że było to pismo ambitne, na dobrym poziomie, nie schlebiające gustom i nie idące na łatwiznę. To wiele jak na pismo, które żyło niepełne trzy lata. W materiałach redakcyjnych zachował się mi żartobliwy wierszyk pt. „Do kolegów w redakcji", charakterystyczny dla naszych wewnętrznych stosunków. Napisałem go sobie a muzom, lecz myślę, że mogę w tych osobistych wspomnieniach przytoczyć zwrotki owego na poły satyrycznego wierszyka:

*Jeśli się kiedyś tak zdarzy,*
*że umrę nagle wieczorem,*
*proszę was — młodzi i starzy —*
*napiszcie o mnie z humorem.*

*Nie wspominajcie, czym byłem.*
*Wprzód pójdźcie — w lata odległe,*
*Ja jeszcze wody nie piłem*
*z tej studni, do której biegłem.*

*Będę się cieszył, jeżeli*
*powiecie: „Byliśmy różni".*
*A jeśli Brucz się ośmieli*
*pisać — odradźcie — się spóźni.*

*Jaźdżyński powie: „Faktycznie,*
*me prace on chwalił, nie czyje".*
*A Szuster doda lirycznie:*
*„Cóż, prawdę mówiąc, nie żyje".*

*Papier graficzną ramką*
*istnienie moje chroni*
*i rzuci nieśmiało zdanko:*
*„Ja zawsze myślałem o nim".*

*Budrecki otworzy oczy*
*zdziwiony jak młoda sarna:*
*„Tak — rzecze — towarzysz dobry,*
*ale poezja koszmarna".*

*Waleńczyk, jak zwykle, z ostrożna*
*westchnie: „Człowieka nie ma,*
*który przed śmiercią nie poznał*
*Pounda i Audena".*

*Na Huszczy sierść się zjeży,*
*jak grom go smutek porazi:*
*„Być może, człowiek był niezły,*
*ale mnie dwakroć obraził".*

*A co mi Staszek napisze?*
*(Wszystkiego unikał on wszędzie).*
*Niczego Staś nie napisze,*
*Bo Staś w Warszawie już będzie.*

Po dłuższych lub krótszych podróżach

## WRACAŁEM Z PRZYJEMNOŚCIĄ DO ŁODZI.

Nie tylko dlatego, że żyły tam drogie i najbliższe mi osoby. W tych powrotach zawierała się wiara w to, że coraz bardziej doganiamy Europę i że Łódź, chociaż z pewnością nie jest miastem najpiękniejszym, to przecież nie należy do najgorszych. Z ochotą wracałem do przyjaciół, do pracy, do badań nad przeszłością miasta. Tak. Od momentu gdy zacząłem w „Dzienniku Łódzkim" ogłaszać felietony tygodniowe (za namową jego redaktora, nieodżałowanej pamięci Stanisława Mojkowskiego) coraz bardziej wiązałem się z Łodzią współczesną, ale także z Łodzią dnia wczorajszego.

W Łodzi zawarł się kawał mojego życia. Jedenaście lat pracy w Teatrze, redagowanie trzech czasopism, działalność w Związku Literatów, pięć lat publikowania felietonów tygodniowych w „Dzienniku", napisane książki, których z roku na rok przybywało. W Łodzi leżą również pogrzebane i nie zrealizowane plany i nadzieje. Bo i one nie mogą wypaść z rachunku. I one muszą być policzone. W Łodzi pozostali moi czytelnicy, przyjaciele i wrogowie.

## PRZEPROWADZKA

Kiedy na przełomie lat 1970—71 zaczął się formować zespół nowego miesięcznika — „Literatury na Świecie", redaktor naczelny Wacław Kubacki i jego zastępca Leopold Lewin zaproponowali mi w nim stanowisko kierownika działu literatury niemieckojęzycznej. Zgodziłem się chętnie, gdyż od dawna interesuję się piśmiennictwem obcym, a osobliwie — literaturą Austrii, NRD, RFN i niemieckiej Szwajcarii. Nie rezygnując z pracy w „Odgłosach", których byłem redaktorem, ułożyłem się z nową redakcją tak, że na dzień lub dwa w każdym tygodniu będę przyjeżdżać z Łodzi do Warszawy, aby przeczytać napływający materiał, skontaktować się z ludźmi, których zaprosiliśmy do współpracy lub którzy sami garnęli się do nas, aby wziąć udział w kolegium redakcyjnym.

Chcieliśmy robić dobry miesięcznik i wydawało nam się, zwłaszcza w początkowym okresie istnienia pisma, że gruntowne przedyskutowanie i opracowanie jego programu stanowi rzecz zasadniczą. Kubacki, przy wszystkich zaletach jakie posiadał, miał w sobie coś z Zosi-samosi. Wszakże muszę przyznać, że nie krępował nas, redaktorów, w wyborze i propozycjach materiałowych. Pisaliśmy też sporo sami w tej pierwszej rozruchowej fazie egzystencji „Literatury na Świecie".

Gdy przeglądam dziś stare roczniki tego miesięcznika, widzę, że prawie w każdym numerze miałem jakiś swój tekst, a nierzadko i dwa. Ogłosiłem m.in., sporą porcję aforyzmów Karla Krausa i fragmenty z Parerga und Paralipomena Artura Schopenhauera. Po ukazaniu się czterech tomów „Człowieka bez właściwości" Roberta Musila byłem jednym z pierwszych, którzy temu wybitnemu dziełu powieściowemu poświęcił uwagę, skupiając się głównie na ocenie zalet i uchybień polskiego przekładu. Recenzowałem także utwory pisarzy polskich, ukazujące się w kraju niemieckiego języka, na przykład „Pasierbów" Putramenta i „Smutną Wenecję" Kubackiego.

Pierwszy numer „Literatury na Świecie" ukazał się w maju 1971 roku. Miał inny format niż obecnie i kiedy z perspektywy lat patrzę na jego zawartość i treść numerów następnych, nie wydają mi się one niewypałami. Było w nich dużo poezji i prozy, esejów, recenzji i sprawozdań z tego, co dzieje się w literackim świecie. Za pozycję szczególnie cenną uważam wyznania „Z warsztatu tłumacza", w którym wypowiadali się nasi znani i cenieni przekładowcy. A jednak okazało się, że pismo nie ma takiego wzięcia u czytelników na jakie liczyliśmy. Nakład pierwszych numerów, wynoszący 15 tysięcy egzemplarzy, zmalał niebawem do 10 tysięcy przy sporych zwrotach.

Po paru latach Kubacki poszedł na emeryturę, a zastąpił go Wacław Sadkowski, który dokonał zasadniczych zmian w zespole i programie pisma, dzięki czemu „Literatura na Świecie" stała się pismem czytanym i pożądanym, szybko znikającym z kiosków.

JAN KOPROWSKI

(Fragment książki, która ukaże się niebawem (nakładem „Czytelnika")

# Przeszłość nie umiera

## Wspomnienie 1945 — 1980 (2)

# Upowszechniać teatr, sprzedawać mydło

## Co wynika z badań socjologicznych prowadzonych wśród widzów teatralnych

Teatr w Łodzi i teatr w świecie mówiąc najogólniej realizuje dwie funkcje, jest wyrazem twórczych aspiracji artysty (dramaturga, inscenizatora, aktora), ale też zaspokaja estetyczne potrzeby publiczności. Wydawać mogłoby się, iż dwie owe funkcje są naturalnymi stronami tego samego zjawiska; nie ma teatru bez prawdziwych artystów, nie ma teatru bez publiczności. Jeśli jednak z poziomu ogólnej refleksji zejść na poziom obserwacji społecznej rzecz komplikuje się. W praktyce pojawia się nie tyle rozbieżność interesów, co raczej niepełne, niewyraźne dostrzeganie związków między inscenizatorem teatralnym a publicznością. Między teatrem a publicznością rysuje się mgła, w której po omacku porusza się kolporter z walizką pełną biletów.

Nie ma aktualnych i bardziej fundamentalnych badań nad kulturą teatralną Polaków, ze szczątkowych danych można oszacować, że w wielkim mieście, w którym jest dziewięć scen, najwyżej 9—12 proc. ludzi dorosłych kiedykolwiek bywa w teatrze. Równocześnie dla ponad połowy zapytanych mieszkańców miasta teatr jest instytucją kultury wysokiej, wartą szacunku i finansowania. Skąd bierze się ta rozbieżność między ocenami, deklaracjami a faktycznym uczestnictwem?

## DWIE BARIERY

Najogólniej mówiąc publiczność dzisiejszą oddzielają od teatru dwie bariery, bariera towarzysko-obyczajowa i bariera możliwości odbiorczych. Teatr dziedziczy nie tylko rozległą własną tradycję, ale także tradycję dziewiętnastowiecznego salonu, nie każdy uważa, że jest to miejsce dla niego odpowiednie. Inteligent idzie do teatru w zwykły dzień tygodnia ubrany w sweter, kupując bilety w kasie, ale prządka kupi bilet w fabryce wyłącznie na sobotę i niedzielę, przedtem musi się wybrać do fryzjera i znaleźć do towarzystwa córkę lub znajomą.

Druga bariera, nazwana przez nas odbiorczą, pojawi się gdy tej właśnie prządce sprzeda się bilet na Witkacego, Mrożka lub Różewicza, na Sartre'a lub na „teatr absurdu". Pedagog i działacz St. Szuman uważał, że kulturę należy zarówno organizacyjnie „udostępniać", jak i psychologicznie „uprzystępniać". Tymczasem w naszych działaniach upowszechniających teatr poprzestajemy na pierwszym z wymienionych celów, obniżamy ceny biletów, trafiamy z biletami do zakładu pracy, likwidujemy bariery towarzysko-obyczajowe. Ale kiedy już zdołaliśmy wysłać robotnika do teatru zostaje on zdany bez reszty na własną inteligencję, wrażliwość i znikomą erudycję. Znam prządkę, której pierwsza wizyta w teatrze przypadła na „Indyka" Mrożka. Potem przez lata odpowiadała kolporterowi niezmiennie: „ja już byłam w teatrze".

## BADANIE PUBLICZNOŚCI

Przez cały miniony sezon Agnieszka Braczewska i Mariola Żabicka robiły statystyczne obserwacje publiczności jednego z łódzkich teatrów. Zmieniając kolejno dni tygodnia ankietowały co czwartego widza. Kiedy porównać proporcje publiczności teatralnej ze składem socjalnym mieszkańców miasta, staje się jeszcze bardziej oczywiste to, co podejrzewaliśmy bywając w teatrze, przychodzą tu najczęściej kobiety (65 proc.). Dziewiętnastowieczny salon też rządzony był przez kobiety. W olbrzymim stopniu „nadreprezentowana" jest w teatrze młodzież do lat dwudziestu, w teatrze jest to grubo ponad połowa widowni, podczas gdy pośród mieszkańców Łodzi to 11 proc. populacji. Znaczy to, że do teatru rzadziej przychodzą ludzie dojrzali i co dziwniejsze zupełnie nie ma tu ludzi starszych.

Chwalebny jest fakt, że potrafimy przyciągnąć do teatru młodzież, rzecz jednak w tym, że teatry nie są pełne, znalazłoby się tam miejsce i dla ludzi starszych. Widoczne są mechanizmy kolportażu. Bilety rozprowadza się tam, gdzie jest to łatwiejsze, w szkołach, biurach, tylko w wojsku pewnie nie było jeszcze rozkazu. Trudniej dotrzeć do zakładu produkcyjnego, a najtrudniej do emerytów. Mieszkańcy Łodzi powyżej 45 lat stanowią trzecią część, ale pośród publiczności teatralnej nieledwie 6 procent.

## GUSTA PUBLICZNOŚCI?

Mimo uszczypliwości czynionych tutaj pod adresem kolporterów, zauważyć trzeba, że są oni koniecznym trybem teatralnej machiny, może nawet jej napędem. Okazało się, iż trzy czwarte widzów kupiło bilety poza teatrem, połowa w szkole, jedna czwarta w fabryce bądź w biurze. Tylko co piąty widz teatralny pofatygował się do kasy.

Kolporterzy wypracowali sobie stałe kanały sprzedaży biletów i zdołali zgromadzić wokół siebie grupę teatromanów. Okazało się, że prawie połowa widzów konkretnego spektaklu to ludzie bywający tutaj często. W wielkim mieście teatry nie gromadzą wielkiej publiczności, a w dodatku bywają tu wciąż ci sami ludzie. Wielkie są więc możliwości popularyzacji teatru.

Czy istnieje jakaś zależność między odbiorczą przystępnością spektaklu a składem publiczności, czy publiczność różni się w zależności od stopnia złożoności widowiska? Z grubsza możemy uznać, że są spektakle trudniejsze (groteska, metafora), żądające od widza przygotowania i spektakle łatwiejsze (komedie, dramat psychologiczny, realizm). Statystyka wykazała raczej słaby związek między gatunkiem spektaklu a składem społecznym faktycznej publiczności. Zatem w tym mieście jest nieliczna grupa ludzi chodzących za to do teatru regularnie, ale jak gdyby nie ujawniająca własnego gustu, nie wybierająca sztuk, chodząca „do teatru", nie na „sztukę".

## NASZE SUGESTIE

Popularyzując teatr należałoby wykorzystać to ostatnie spostrzeżenie. Należy przezwyciężyć zjawisko ujednolicenia, zhomogenizowania publiczności. Socjolog sztuki nie wierzy w tezę pięknoduchów, iż gust jest sprawą całkowicie indywidualną. Niestety gusta ludzi różnych środowisk bardzo silnie wiążą się z poziomem wykształcenia, co innego rozumie i lubi w teatrze inteligent, co innego robotnik. Jeżeli prawidłowości tej nie widzimy na widowni łódzkiego teatru, to znaczy, że kolportaż lekceważy sprawę możliwości odbiorczych. Kolporter biletów zachowuje się jak komiwojażer, jeździ wciąż tą samą marszrutą i sprzedaje tam cały towar wyprodukowany przez jego firmę. A przecież w tej firmie działają różni producenci inscenizatorzy. W tym samym teatrze jeden inscenizator wybiera i robi sztuki pod gust popularny, inny zgodnie ze swym temperamentem pod gust wyrafinowany i zintelektualizowany. Reżyser zdaje się za każdym razem wiedzieć dla jakiego widza pracuje, ale chyba nigdy nie mówi tego kolporterom.

W Łodzi od czasów Jadwigi Chojnackiej i Kazimierza Dejmka trwała jakaś tradycja programowej, repertuarowej specjalizacji teatrów. Teatr Powszechny był sceną o ambicjach bardziej populistycznych, Teatr Nowy był teatrem bardziej ezoterycznym. Była to sytuacja szczęśliwa z punktu widzenia możliwości popularyzacji teatru. Jednakże obecnie owa repertuarowa specjalizacja jakoś zaciera się. A co ważniejsze, nawet w tamtych klarownych czasach, kolporterzy nie robili użytku z profilu teatru, widownie teatru popularnego i tego trudniejszego niewiele się różniły. I tylko scena rozrywki 7.15 ma własną, odrębną publiczność.

Należy sądzić, iż warunkiem upowszechnienia teatru jest rozwarstwienie publiczności, nie traktowanie widza in abstracto. Gdyby kolporter miał różnić się od zwykłego komiwojażera, wówczas oczekiwalibyśmy od niego wiele. Musiałby on posługiwać się nie jedną uniwersalną, ale kilkoma zmiennymi ścieżkami kolportażu, musiałby ludzi konkretnych środowisk prowadzić drogą awansu w kulturze teatralnej wybraną specjalnie dla nich. Musiałby stosować jakieś zabiegi „uprzystępniania" teatru, musiałby ryzykować własne interpretacje spektakli, musiałby dyskutować te interpretacje z widzami. Musiałby rozmawiać z kierownikiem artystycznym teatru o gustach „swoich" widzów. Najlepiej gdyby miał przygotowanie teatrologiczne.

A jest w Łodzi rzesza bezrobotnych teatrologów, czasem też upowszechniają teatrologowie teatr pracując na etacie w klubach i domach kultury. Ale to nie oni rozprowadzają bilety w tym mieście. Zważmy jak nienaturalnie rozdzieliliśmy organizacyjne „udostępnianie" teatru od percepcyjnego „uprzystępniania"; kto inny zarabia na pierwszym, kto inny zaś zajmuje się drugim. Gdyby udało się połączyć obie funkcje, gdyby teatrolog w domu kultury, w klubie fabrycznym mógł zarabiać na sprzedaży biletów, być może sprzedawanie teatru częściej różniłoby się od sprzedawania mydła.

BOGUSŁAW SUŁKOWSKI

ze str. 1

— *Nie, choć są świadkowie zdarzeń z 8 września 1942 roku. I oni widzieli w samochodzie policji osobę przykrytą kocem. Był to zapewne konfident, który wydał Irka. Bo sprawca pierwszego aresztowania był znany, to Tinos Pandos — kolega Irka, bywał u nas w domu. Ale wtedy udało się bratu uciec.*

— To wówczas ukazały się pierwsze listy gończe z dziwnie określoną nagrodą za zdradę: pół miliona drachm lub wagon żywności...

— *Niemcy wiedzieli jak uderzyć, to była cena życia. Głód, zwłaszcza w miastach, był tak straszny, że za dużą bańkę oliwy można było wówczas kupić dom. Mam jeszcze takie zdjęcie: na ścianie list gończy ze zdjęciem Irka, a niżej, pod murem umierający z głodu dzieciak...*

Panu Aleksandrowi łamie się głos, przerywa swą opowieść — bolesne to wspomnienia. Po chwili sam wraca do przerwanego wątku.

— *Ale jest pewna szansa, iż wyjaśnię sprawę ostatniego aresztowania brata. Zupełnie niedawno dowiedziałem się, iż szef gestapo z Aten obecnie jest wysokim kościelnym dostojnikiem bodajże biskupem w Düsseldorfie. Chcę się z nim zobaczyć, on przecież musi znać wszystkie szczegóły.*

— Dziwna też wydaje się pewna oschłość w traktowaniu sprawy brata przez Anglików. Nie uhonorowali go żadnym odznaczeniem wojskowym, choć bodaj generał Aleksander, dowódca sił alianckich na Bliskim Wschodzie przyznał kiedyś, iż ich agent w Grecji bezpośrednio przyczynił się do klęski Niemców w Afryce. Kontrowersyjnym posunięciem było w ogóle wysłanie go do Grecji, gdzie mieszkała cała jego rodzina...

— *To prawda. Irek rwał się strasznie do walki, on dosłownie szalał, jakby sam chciał wziąć rewanż za wrześniową klęskę ojczyzny, której nie mógł osobiście bronić. Ale wysłano go do Grecji, choć wiadomo było, że Niemcy mogą aresztować całą jego rodzinę.*

— Przypomnijmy może wcześniejsze dzieje tej wspaniałej grecko-polskiej rodziny, w której pana i pańskiego brata dzieci mówią po polsku równie biegle jak ich rówieśnicy w kraju nad Wisłą.

— *Ale tego nie da się opowiedzieć w dwóch słowach...*

— Ależ ja tego wcale nie pragnę, wręcz przeciwnie...

— *To wszystko zasługa mamy. Wiele o niej było już w książce państwa Przymanowskich „Leonarda i jej synowie". Ale opowieść o losach i życiowych perypetiach tylko moich rodziców wystarczyłaby na dwie albo trzy. Ojciec poznał mamę w Rosji, Irek był wtedy małym brzdącem, a mnie nie było jeszcze na świecie... W czasie rewolucji ojciec wynajął duży szkuner i postanowił przeprawić się przez Morze Czarne, dostać do Grecji. Gdzieś chyba pod Sewastopolem szkuner osiadł na skałach, a oni w czwórkę, aha, bo obok Irka był już na świecie mój starszy brat — Antoni, przedostali się w okolice Mińska podróżując przez sześćdziesiąt cztery dni różnymi środkami lokomocji, między innymi na dachach wagonów. Mama z chłopakami dotarła w końcu do Warszawy, ale ojciec musiał zostać na rosyjskiej granicy, nie wpuszczano go do Polski. Był bez grosza przy duszy, wszystko poszło na drogę i ten szkuner. Ale zaraz rozkręcił jakiś mały handel, zebrał kapitał...*

— To się dziś tak lekko opowiada: zebrał kapitał.

— *Ja panu powiem na czym, bo mi wiele razy wspominał. On te pieniądze zarobił na trzcinie, a dokładnie na pędzlach do golenia, które z niej wyrabiał. Ten kapitał nie był mały, bo mama kupiła dom w centrum, już nie pamiętam ulicy, ale teraz stoi w tym miejscu Pałac Kultury, a tata, jak przyjechał w końcu do Warszawy bodaj w 1921 roku — to kupuje jeszcze młyn zbożowy. Do Grecji wyjechali z Antonim w 1924 roku, bo bracia ojca namówili go na biznes, a dokładnie na budowanie domów dla uchodźców w północnych rejonach naszego kraju.*

— Irek nie pojechał?

— *Został w Warszawie, uczył się, a do Salonik przyjechał dwa lata później, by kontynuować naukę w tamtejszym francuskim liceum. Co potem? No, potem to ja się urodziłem, już się przyznam w 1929 roku, krótko potem ojciec zbankrutował...*

— To budownictwo to był zły interes?

— *Nie, nie, byliśmy naprawdę bogatą rodziną, dość powiedzieć, że jako nieliczni w Salonikach mieliśmy na przykład samochód. Ale bracia namówili tatę z kolei na kupno kopalni, zaraz, zaraz, jak się to nazywa? Już wiem — kaolinu. No i nie wyszło, ojciec znów musiał od zera startować, ale nie przejmował się, zawsze mi mówił, że cztery razy miał zupełną plajtę i tyle samo razy się z biedy wyciągał.*

— Znów wymyślił jakieś pędzle?...

— *Nie, nie. Tym razem były to... kamienie młyńskie. Pojechał do Polski i kilka miesięcy pracował jako zwykły robotnik w fabryce takich kamieni. Po powrocie sam wykonał formy i w piwnicy naszego domu pierwsze egzemplarze wyprodukował. Były dobre, wziął zaliczki na następne i już. Miał pierwszą firmę produkującą kamienie młyńskie na całe Bałkany. Irek wtedy wyjechał do Belgii.*

— Do Louvain?

— *Tak, otrzymał stypendium tamtejszego uniwersytetu, a zaciekawi na pewno pana fakt, iż część zajęć miał w... Kongo. Chciał tam w przyszłości pracować, fascynowały go obyczaje różnych plemion, dialekty, mam nawet jego zeszyt z notatkami z tych lat. Na wakacje przyjeżdżał do domu, ale wie pan, zawsze jechał przez Polskę, przez Warszawę i tak planował, by chociaż miesiąc tam pobyć.*

*Jerzy Iwanow-Szajnowicz — Agent nr 1 z młodszym, przyrodnim bratem Aleksandrem Lambrianidisem.*

*Jerzy Iwanow-Szajnowicz.*

# Ryzyko — to u nas rodzinne

— Fascynował go też sport...

— *Tata mówił, że Irek jest jak gąbka, tak był chłonny wiedzy i sportowych sukcesów. Pamięć miał świetną, nazwy jakichś malenkich wysepek na oceanach wymieniał całymi seriami. Nigdy też nie miał przy sobie, już w czasie okupacji, żadnych notatek, adresów, telefonów. Wszystko miał w głowie. A sport? Bawił się i w piłkę nożną, i w koszykówkę. Ale tak naprawdę to pochłonęło go pływanie, które opanował do perfekcji i waterpolo...*

— *Bardzo przepraszam, ale muszę pana na sekundę przeprosić* — w drzwiach pojawia się zafrasowana twarz dyrektora generalnego firmy — Wojciecha Młotkowskiego. Przyrzekł mi, że znajdzie kwadrans, by opowiedzieć mi o przedsiębiorstwie a nawet pokazać je z bliska, ale teraz w gabinecie obok musi zapaść jakaś decyzja na tyle istotna, że obecność pana Lambrianidisa jest nieodzowna. Zostaję sam, przeglądam raz jeszcze zdjęcia, które są legendą, są historią. Po chwili zjawia się pan Aleksander, a widząc mnie pochylonego nad zdjęciami, dodaje szybko:

— *W styczniu 1987 roku, w „empiku" na Nowym Świecie w Warszawie będzie wystawa dotycząca Irka. Ściągnę tam wszystkie pamiątki: paszporty, listy gończe, legitymacje, zdjęcia. Wiem, że planuje się później przenieść tę wystawę do kilku dużych miast wojewódzkich i wierzę, że choć na kilka dni zawita ona i do Łodzi. Ale o czym to mówiliśmy?*

—.Pływanie, waterpolo, no i mamy już lata trzydzieste...

— *Aha, no więc w trzydziestym ósmym brat, po skończeniu tamtej szkoły, zdał jeszcze egzamin na dwuletnie kursy w instytucie agronomii w Paryżu. Skończył je, wraca do Salonik i zaraz wybucha wojna w Polsce. Chce natychmiast jechać do Warszawy, pisze do władz o wizę. Zanim dostał odpowiedź — już było po Polsce. Potem Grecy walczą z Włochami w Albanii, a Irek ma pierwsze kontakty z angielską Intelligence Service. W październiku 1940 Hitler atakuje Grecję. Irek wtedy jest w Atenach, nawet nie zdążył się pożegnać, statkiem „Warszawa" odpływa do Afryki.*

— Tam trafia do Brygady Karpackiej, ale że Anglicy znali go z Salonik, więc po sześciomiesięcznym przeszkoleniu...

— *...13 października 1941 roku okręt podwodny „Thunderbolt" (Piorun) wysadza go pod Maratonem. Ale kontrwywiad niemiecki wiedział, że ktoś tu przybędzie, a po pierwszej wpadce, choć Irkowi udało się wyskoczyć przez okno z budynku, gdzie był przesłuchiwany, wiedzieli już precyzyjnie, kto jest tym agentem. Toteż nasz dom był pod stałą obserwacją.*

— Później następuje seria błyskotliwych akcji dywersyjnych w wykonaniu Irka, sabotaż w fabryce silników lotniczych, z których bodaj 400 odmówiło później posłuszeństwa w czasie lotu. Płoną składy amunicji i paliwa, cały czas płyną do Anglii informacje o ruchach wojsk niemieckich, rośnie też cena za jego głowę...

— *Tragiczny finał też jest znany: znów zdrada, proces w Atenach, Wigilia 1942 spędzona w więzieniu, wreszcie egzekucja 4 stycznia 1943 roku w Kesariani, wraz z kilkoma innymi oficerami greckiego ruchu oporu.*

— Kiedy pan widział się z bratem po raz ostatni?

— *W kwietniu 1940 roku, z tego czasu pochodzi też to zdjęcie. Irek wiedział, gdzie będą go szukać i przez cały czas swej dywersyjnej działalności z domem się prawie nie kontaktował. Wiadomość o jego śmierci dotarła do nas z opóźnieniem, a mamie nie mówiliśmy nic aż do wyzwolenia. Sami też mieliśmy cień nadziei, że to może pomyłka, tyle ludzi ginęło z fałszywymi nazwiskami, cudzymi dokumentami. Nawet gdy Niemcy przysłali nam paczkę z jego osobistymi drobiazgami — był tam zegarek, grzebień, skrwawiona chusteczka do nosa. Łudziliśmy się, że może jednak...*

— Opowiadał mi pan wcześniej o jakimś specjalnym grzebieniu...

— *O jego podwójnym zastosowaniu dowiedzieliśmy się dopiero w dniu wyzwolenia Salonik, gdy do miasta wkroczyli partyzanci i angielscy spadochroniarze. Zjawił się wówczas w naszym domu młody oficer, Polak, z depozytem brata. Było to kilka drobiazgów, trochę listów z czasów, gdy szkolił się w Afryce. Ale ten Polak miał też taki sam identyfikacyjny grzebień, z ukrytą wewnątrz piłką do cięcia metalu. Irek miał ten grzebień przy sobie, ale Niemcy trzymali go w celi bez okien...*

— Dopiero po wyzwoleniu wyszły na jaw szaleńczo odważne akcje brata, otrzymał też pośmiertnie Virtuti Militari i Order...

— *Złoty Order Najwyższego Bohaterstwa, Chrison Aristion Andrias. Ma też Irek swoją ulicę w Salonikach, od roku piękny pomnik z brązu, od 1960 roku odbywają się u nas zawody pływackie i w piłkę wodną jemu poświęcone — „Iwanowia". A w Polsce? Tylko niewielka tablica pamiątkowa na domu przy ulicy Nowy Świat numer 43.*

— Jak ułożyły się losy pana i rodziny po wojnie?

— *No cóż, skończyłem konserwatorium w Paryżu, brat też, ale jego najpierw wciągnęła produkcja, już w Grecji — radioodbiorników, a mnie archeologia, bo z muzyki to nie ma pieniędzy. Na początku lat pięćdziesiątych, gdy zaczęły się pierwsze relacje dyplomatyczne i handlowe z Polską, ojciec wziął przedstawicielstwo na młyńskie maszyny, chyba „Metalexportu". No i wybudował wiele nowoczesnych młynów w Grecji, bo kamienie to już był przeżytek. Potem kazał mi rzucić te wykopaliska i otworzyliśmy jedną firmę, a coraz więcej polskich przedsiębiorstw chciało byśmy ich interesy reprezentowali. Mieliśmy wielką wystawę, a tam stały polskie pianina, rowery, kryształy, porcelana, maszyny do szycia, rzutniki i aparaty kinowe. Te ostatnie wiązały się z Łodzią, to były zakłady kinotechniczne, a pierwszy raz byłem tu chyba w 1955 roku. Od śmierci taty w 1971 roku prowadziliśmy firmę wspólnie z bratem, ale ostatnio rozdzieliliśmy się. Brat wziął sprawy zbożowe, a ja sprzedaję wasze chłodnie, prefabrykaty budowlane, a ostatnio — także oczyszczalnie środowiska...*

— Oczyszczalnie ścieków?

— *Tak, ścieków, robicie je zupełnie dobre.*

— Ale zdecydował się pan także zainwestować w Polsce sporą sumę...

— *Na razie ponad 200 tysięcy dolarów, a w przyszłym roku będę musiał jeszcze drugie tyle. Ale może ja poproszę pana Wojtka, on wyjaśni to panu precyzyjniej...*

Skończyły się wspomnienia, prysnął czas starych zdjęć, zaczęły się realia dnia codziennego. Dyrektor Młotkowski jest rzeczowy, konkretny, on ma dla dziennikarza maksymalnie kwadrans czasu. Pod pachą jakieś faktury, dzwonią telefony, łomocze teleks, pani Zosia przypomina o umówionych spotkaniach, wizycie w banku. Ogólnie jest jakby nerwowo, ale nad sytuacją panujemy...

— *No więc tak* — zaczyna pan Wojciech bez zbędnych ceregieli — *firma „Alexis" istnieje od lutego 1986 roku, a zaczęliśmy od dziewiarstwa i kaletnictwa. Aktualnie produkujemy około 40 wzorów różnego typu toreb turystycznych, gospodarczych, a także tornistry, plecaki. Całość trafia do domów „Centrum" w Warszawie i Łodzi. Aby uniezależnić się od niepewnych dostawców sami impregnujemy potrzebne nam tkaniny. Od niedawna produkujemy także przewody elektryczne głównie dla potrzeb budownictwa. Bardzo ciekawa maszyna, później ją panu pokażę, wytwarza około 6 kilometrów kabla na godzinę. Zaczęliśmy także wypuszczać na rynek koncentraty soków cytrusowych, a do końca pierwszego kwartału przyszłego roku uruchomimy produkcję wyrobów czekoladowanych...*

— Zaraz, zaraz — tempo jest trochę zabójcze — skąd taki rozrzut, dlaczego przerzucacie się w tak odmienne branże? Czy nie lepiej specjalizować się w jednej?

— *Nie!* — dyrektor generalny nie zastanawia się ani sekundy nad odpowiedzią. — *Ja muszę być elastyczny, to jest podstawą egzystencji firmy. Jeśli z jakichś powodów zabraknie mi któregoś komponentu do produkcji toreb, to co, mam płakać i zamknąć firmę na klucz? Nie, ja wtedy przerzucę ludzi do innej produkcji i wyjdą na swoje, przyhamuję torby, a rozkręcę soki, wyroby cukiernicze, pieczarki...*

— Jakie pieczarki? — o tym jeszcze nie było mowy, więc lekko jestem przerażony, ku widocznemu zadowoleniu obu panów.

— *Już mówię* — dyrektor Młotkowski znów zarzuca mnie stertą danych — *mamy w Polsce nadprodukcję pieczarek, prawda? No więc my będziemy blanszowaną pieczarkę, w beczkach, eksportować do Belgii i Holandii. Blanszowaną to znaczy spreparowaną w ten sposób, że najpierw parą zabija się drobnoustroje, a później zamraża, by nic nie straciła ze swych wartości smakowych. I to zaczynamy też w najbliższym kwartale. Ale największa inwestycja dopiero przed nami, bowiem pan Aleksander zdecydował, iż wchodzimy ostro w chłodnictwo warzyw i owoców. Jak panu wiadomo w kraju powierzchni chłodniczej wciąż brakuje, liczy się każdy metr, no więc firma „Alexis" też będzie miała swoją, o pojemności ponad 500 ton. Inwestycja spora, ale z rzędu uniwersalnych — gdy nie będzie przez kilka miesięcy owoców i warzyw, zawsze można w niej przechowywać masło, drób, mięso...*

A jednak dyrektor Młotkowski musi pozostać w swym gabinecie — jeszcze ktoś z Warszawy, kolejna porcja papierów, znów jakieś superważne spotkanie, i cały czas „urywające się" telefony. Wybieramy się więc na obchód z panem Lambrianidisem.

— Dlaczego zdecydował się pan uruchomić firmę w Polsce? — pytam byłego sekretarza generalnego Towarzystwa Przyjaźni Grecko-Polskiej (byłego, bo jak sam twierdzi, czas już był, by teraz jego brat trochę „posekretarzował").

— *Dlaczego? W znacznym stopniu zadecydował sentyment, tyle lat żyłem obok Mamy i Irka, widziałem, czułem wręcz ich straszną tęsknotę za ojczyzną, tę nostalgię. Wychowany w takim domu traktuję Polskę jako kraj szczególnie mi bliski. No a poza tym u was można robić dobry biznes...*

— Dlaczego on taki dobry?

— *Bo nie ma prawdziwej konkurencji. I mam wielu znajomych, biznesmenów, którzy chętnie by zainwestowali w waszym kraju.*

— To czemu nie inwestują?

— *Oni mnie się pytają: — „Słuchaj Aleksander, ty nam powiedz, po ilu miesiącach ja wyciągnę zainwestowane dolary?" Jak ja im mówię, że po trzech, czterech latach, to oni się boją, zastanawiają, to za długo na nowoczesny biznes. A poza tym te wasze niepewne podatki...*

— Z wysokie, za niskie??

— *Nie, niepewne. Tu nikt nie wie, jaka będzie ta polityka finansowa w stosunku do nas nie za lat dziesięć, ale nawet za pół roku. Nie każdy umie i chce ryzykować. Tylko u mnie to widać — rodzinne...*

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

Ogromne, doskonale wyposażone tereny rekreacyjno-sportowe, parki z pięknymi, starymi drzewami, wszędzie pełno kwiatów, czysto, przyjemnie. Na krańcach miasta lotnisko, umożliwiające mieszkańcom szybkie podróże do dowolnych miejscowości w całym kraju.

W tym pięknym otoczeniu zadowoleni ludzie, mający dużo czasu na wypoczynek i rozrywki, praca bowiem zajmuje im niewiele godzin w ciągu dnia.

Nie jest to praca męcząca — trzeba tylko uważać, czy prawidłowo przebiega zautomatyzowana produkcja, wydawać polecenia robotom. Obiekty przemysłowe nie psują krajobrazu — znajdują się bowiem pod ziemią. W tym mieście wszystkim żyje się dobrze.

realizacji tych funkcji podporządkowane zostaną konkretne przedsięwzięcia i zadania szczegółowe.

To wszystko dopiero będzie — a obecnie...

## DZIŚ I JUŻ WKRÓTCE

— *Uważnie wsłuchujemy się w głosy społeczeństwa* — mówi prezydent Sieradza Zdzisław Kłos. — *Staramy się realizować to, co najbardziej ludziom potrzebne, czego z największą niecierpliwością oczekują. Przy czym musimy mieć na uwadze nie tylko interesy mieszkańców Sieradza — ale także całego regionu, który obsługujemy jako miasto wojewódzkie. W ciągu 10-lecia miasta jako stolicy województwa zrobiono sporo we wszystkich dziedzinach życia — nie zrobiono jednak wszystkiego. Mieszkańcy nadal nie są z wielu spraw zadowoleni — i jest to niezadowolenie słuszne. Powinniśmy być przecież ośrodkiem wiodącym w oświacie, kulturze, w handlu i ochronie zdrowia obywateli — a czy tak jest? Niezupełnie. W tej pięciolatce chcemy podjąć i zrealizować wiele tematów — w niektórych sprawach bardzo pomocny okazał się właśnie jubileusz 850-lecia Sieradza...*

Sieradz jest miastem ludzi młodych. Zaledwie 10 proc. ludności to osoby w wieku poprodukcyjnym, natomiast ponad 32 proc. mieszkańców to dzieci i młodzież. Stąd problemy opieki i kształcenia nabierają wagi szczególnej. Najmłodsi mają — pozornie — nieźle. Blisko 80 proc. objętych jest opieką przedszkolną. Potrzeby są jeszcze większe, nie ma jednak na razie możliwości ich zaspokojenia. I tak na każdego przedszkolaka przypada coraz mniej miejsca, czemu trudno się dziwić, skoro zamiast 900 dzieci (do takiej ilości przygotowana była baza przedszkolna) przebywa w przedszkolach blisko dwa tysiące. W nowych osiedlach mieszkaniowych spółdzielnia nie wybudowała ani jednego przedszkola, oddała jedynie do dyspozycji władz oświatowych dwa komplety mieszkań. Aby nieco rozluźnić przedszkola — w których maluchy już wkrótce mogłyby jedynie spędzać czas stojąc stłoczone, część 6-latków wyprowadzono do „zerówek" w szkołach.

Działania organizacyjne jednak nie na wiele się przydadzą — zresztą i szkoły są bardzo przepełnione — i dalszej poprawy sytuacji na drodze bezinwestycyjnej uzyskać się nie da. Wielu rodziców, którym udało się umieścić malucha w przedszkolu, musi każdego dnia wędrować z nim przez całe miasto, a wśród mieszkańców nowych osiedli coraz częściej słychać głosy domagające się budowy przedszkoli (a także szkół, sklepów, placówek usługowych), nawet kosztem zmniejszenia ilości nowych mieszkań.

Stanowisko władz w tej kwestii jest nieco inne — poprawę sytuacji trzeba uzyskać nie poprzez zmniejszenie rozmiarów budownictwa mieszkaniowego, lecz znajdując dodatkowe moce wykonawcze.

Wiele potrzeb ma również sieradzkie szkolnictwo. Najpilniejsze z nich — to znalezienie obiektu dla Liceum Medycznego (obecnie mieści się ono w Zespole Szkół Budowlanych, co dla obu placówek jest bardzo uciążliwe) i budowa co najmniej dwóch szkół. Perspektywa realizacji tych zadań jest dość odległa. W tej pięciolatce być może nie uda się ich wykonać — z pewnością jednak rozpocznie się budowę przynajmniej jednej szkoły.

Bliska natomiast spełnienia jest wizja poprawy sytuacji w służbie zdrowia. W trakcie zagospodarowywania znajduje się Wojewódzka Przychodnia Specjalistyczna, pod koniec 1988 r. powinien być przekazany do użytku Szpital Wojewódzki wraz z obiektami towarzyszącymi.

Z inwestycjami tymi wiąże się konieczność ściągnięcia do Sieradza większej liczby specjalistów. Dla nich między innymi buduje się osiedle mieszkaniowe za szpitalem.

Obecnie na 10 tys. ludności przypada w Sieradzu 30,7 lekarzy medycyny i 5,7 lekarzy dentystów. Liczby te nie dają jednak prawidłowego obrazu, ponieważ z ich opieki i usług korzystają często mieszkańcy rejonu i województwa.

Podobnie — wielu przyjezdnych korzysta z sieradzkich sklepów. Oblicza się, że stanowią oni około 40 proc. klientów we wszystkich placówkach. Co prawda w ostatnich latach przybyło sporo nowych sklepów — zwłaszcza z towarami przemysłowymi, wśród nich m.in. Moda Polska, Dom Handlowy WZGS, Polmozbyt, cały ciąg handlowy przy alei Pokoju i powstaje centrum handlowo-gastronomiczne na placu Wojewódzkim — nadal jednak jest to baza niewystarczająca. Narzekają zwłaszcza mieszkańcy nowych osiedli, którzy nieraz nawet podstawowe zakupy muszą robić w centrum miasta.

W planie — budowa nowych pawilonów handlowych i usługowych. Zaległości w tej mierze są jednak tak duże, że nie da się ich odrobić w ciągu najbliższej 5 latki.

I wreszcie sprawa najważniejsza i najtrudniejsza w całym kraju — budownictwo mieszkaniowe. Również i w tej dziedzinie jest wiele do zrobienia — ale jednocześnie Sieradz pochwalić się może znacznie większymi osiągnięciami niż Łódź czy inne miasta o znacznie większym potencjale.

Ponad 60 proc. obywateli miasta mieszka w nowych osiedlach. Rozwija się dynamicznie budownictwo indywidualne i w ramach zrzeszeń spółdzielczych. Przeciętna liczba izb w mieszkaniu zwiększyła się z 2,76 w 1975 r. do 3,06 w 1985 roku, poniżej jedności natomiast spadł wskaźnik osób przypadających na jedną izbę.

Na szczególne podkreślenie zasługuje fakt, że tereny pod nowe budownictwo — zarówno spółdzielcze jak i indywidualne są przygotowane i uzbrajane w sposób wyprzedzający. Drugim czynnikiem, korzystnie wyróżniającym budownictwo sieradzkie jest jego niski koszt — 1 m kwadratowy kosztuje zaledwie 37 tys. zł, co jest jednym z trzech najlepszych wyników w kraju.

W Spółdzielni Mieszkaniowej na klucze oczekuje około 5 tys. osób, następne 12 tys. posiada zgromadzony pełny wkład na mieszkanie na książeczkach PKO. Przeciętnie czas oczekiwania wynosi około 8 lat — jest to więc okres dość długi, w porównaniu jednak z wielkimi aglomeracjami co najmniej o połowę krótszy.

Równolegle z nowym budownictwem przeprowadza się modernizację starych zasobów — co jest szczególnie widoczne w zabytkowym centrum miasta. W planach — rewaloryzacja Starego Miasta pod kątem poprawy jego funkcjonalności handlowej, usługowej i mieszkaniowej, ze szczególnym zwróceniem uwagi na zachowanie charakteru i poprawę estetyki tego rejonu, a także wykorzystywanie pod budownictwo mieszkalne niewielkich, wolnych terenów wśród starej zabudowy.

## JUBILEUSZ TEŻ MOŻE SIĘ PRZYDAĆ

O planach i zamierzeniach można by powiedzieć jeszcze sporo, podobnie jak o nurtujących społeczeństwo problemach i kłopotach. Te ostatnie — nie odbiegają od problemów wielu innych miast o zbliżonej wielkości, te pierwsze — odpowiadają potrzebom mieszkańców i — jak można sądzić po dotychczasowych dokonaniach — są realne.

Realne tym bardziej, że w ich wykonanie włączą się nie tylko miejskie i wojewódzkie władze, nie tylko instytucje powołane do realizacji określonych zadań, ale w dużej mierze całe społeczeństwo miasta.

Jubileusz 850-lecia Sieradza spowodował bowiem znaczny wzrost aktywności poszczególnych środowisk, zwiększył zainteresowanie miastem i tym, co się w nim dzieje wśród wszystkich sieradzan i nie tylko.

— *Najcenniejsze co udało się nam uzyskać w ramach obchodów* — mówi prezydent Zbigniew Kłos — *to integracja miasta z całym województwem i zaangażowanie środowiska. Ludzie poczuli potrzebę świadczenia na rzecz miasta — i to w najbliższym czasie na pewno przyniesie spore efekty, przede wszystkim jak sądzę w dziedzinie poprawy estetyki, troski o to, co już jest dobre i dążenia do stałej poprawy warunków.*

Choć obchody już się zakończyły — efekty działań, zapoczątkowanych w tym czasie pojawiać się będą jeszcze długo. Między innymi podpisano umowy z 65 zakładami z województwa na realizację 180 tematów ważnych dla miasta, związanych z gospodarką komunalną, inwestycjami w dziedzinie kultury, sportu i rekreacji, handlu. Niektóre z nich są tak duże, że wymagają kilkuletniego okresu realizacji. A więc jubileusz — w którym postawiono na trwały dorobek, będzie procentował jeszcze długo...

**Młodzi mają więcej fantazji, dorośli — realizmu – ale jedni i drudzy chcą, aby było im lepiej**

# Miasto nad Wartą

TERESA JERZYKOWSKA

Jakie to miasto? Oczywiście Sieradz! Sieradz w roku dwutysięcznym — taki właśnie będzie, a przynajmniej być powinien, zdaniem niektórych uczniów sieradzkich szkół.

Nieco inną wizję miasta mają dorośli mieszkańcy. Nie jest, niestety, tak barwna i atrakcyjna, opiera się bowiem nie na marzeniach, lecz na analizie obecnych i przewidywanych w najbliższym czasie możliwości działania. Marzenia młodzieży i plany dorosłych mają jednak także cechy wspólne — zarówno jedni jak i drudzy przewidują i wierzą, że w roku dwutysięcznym ich miasto będzie większe, ładniejsze, lepiej niż obecnie zaspokajające wszystkie potrzeby i oczekiwania mieszkańców, interesujące i gościnne dla przyjezdnych.

## JUTRO I JESZCZE PÓŹNIEJ

Przewiduje się, że w roku 2000 liczba ludności miasta wzrośnie do około 60 tys. (obecnie zamieszkuje Sieradz 36,7 tys. ludzi) przy czym wzrost ten będzie w sporej części spowodowany napływem do stolicy województwa mieszkańców z okolicznych terenów, a także dalej położonych miejscowości.

Powstanie nowa trasa komunikacyjno-transportowa, łącząca Sieradz z Łodzią, Kaliszem i Wrocławiem, a jednocześnie przebudowie ulegnie rondo, na którym obecnie krzyżują się wszystkie drogi prowadzące do i od Sieradza, powstanie nowa, wygodna, trasa miejska, umożliwiająca wyprowadzenie ruchu kołowego ze starego, zabytkowego centrum.

Na obszarze od Starego Miasta do dworca PKP (obok którego znajdzie się również dworzec PKS) staną nowe domy i ciągi handlowo-usługowe.

Również w innych, bardziej odległych od centrum dzielnicach miasta powstaną nowe osiedla bloków i domów jednorodzinnych. Zapotrzebowanie mieszkańców miasta na ciepło zaspokoi nowa ciepłownia — która umożliwi również likwidację wielu małych, lokalnych kotłowni, a ochronę środowiska naturalnego zapewni nowa oczyszczalnia ścieków.

Zwiększą się także znacznie tereny rekreacyjne: za Szpitalem Wojewódzkim powstanie zespół ogólnodostępnych obiektów sportowych, tereny rekreacyjne urządzi się również w dzielnicy Męka-Jamy, gdzie obecnie znajduje się wyrobisko pożwirowe.

Do końca wieku pozostało jeszcze 13 lat, trudno więc bardziej szczegółowo omawiać i przewidywać, jak będzie wówczas wyglądało miasto. Aktualnie w opracowaniu znajduje się nowy plan zagospodarowania przestrzennego. Za podstawę rozwoju społeczno-gospodarczego przyjęto w nim kilka funkcji, jakie Sieradz spełniać powinien, a mianowicie: wojewódzkiego centrum administracji, organizacji, zarządzania i obsługi, ośrodka usługowego stopnia wojewódzkiego, ośrodka przemysłowego i ośrodka wypoczynkowego. Prawidłowej

*Foto: Grzegorz Gałasiński*

## Mówi: Stefan Czarnecki

**— Kiedy ostatni raz kupiłeś książkę?**

— W ubiegłym tygodniu.

**— Pamiętasz tytuł?**

— „Pałac Łazienkowski" za 1.400 zł, piękna rzecz, którą z zainteresowaniem i zachwytem oglądałem wraz z żoną.

**— Lubisz książki?**

— Jestem wychowany na książkach. Moje kontakty z książką sięgają mego dzieciństwa. Nie wyobrażam sobie życia bez książki. Nawet kiedy wyjeżdżam na wczasy, to połowę mojego bagażu stanowią książki, najczęściej tytuły, na które w normalnych warunkach nigdy nie mam czasu.

**— Jakie to są książki?**

— Różne.

**— Kryminały?**

— Dla mnie szczytowym osiągnięciem tego gatunku pozostaje nadal Artur Conan Doyle i Agatha Christie, innych nie uznaję.

**— A co czytasz do poduszki?**

— Zapewne zdziwisz się, ale obecnie jest taką pozycją „Astronomia ogólna" prof. Rybki. Astronomia jako nauka interesowała mnie od najmłodszych lat. Pointą tych zainteresowań jest fakt, że ten, który dokonał przewrotu w mojej świadomości, w moim światopoglądzie był francuski astronom ksiądz Moreau, którego książką się zaczytywałem.

**— Czyli od gwiazd do prawdy. O czym jeszcze marzyłeś będąc chłopcem?**

— O wielu rzeczach. Interesowałem się lotnictwem: przeczytałem wszystkie książki traktujące nie tylko o lataniu, ale i o sprawach pilotażu, że nie wspomnę literatury pięknej na ten temat. Równolegle była także fotografika: czytanie stosownych publikacji na temat techniki fotografowania, koncepcji obrazu artystycznego, portretu dziecięcego, krajobrazu... Nie mogę także nie wspomnieć o motoryzacji. Mój z nią romans rozpoczął się od chwili, kiedy przyprowadziłem do domu zepsuty motocykl. Był to stary, wysłużony model, który samodzielnie rozebrałem, co się dało zreperowałem, potem ponownie złożyłem i jeździłem na nim ku zazdrości rówieśników.

**— Kim chciałeś zostać, gdy miałeś te naście lat?**

— Nie pamiętam.

**— A czy myślałeś, że zostaniesz kiedyś dyrektorem ogromnego przedsiębiorstwa, jakim jest „Dom Książki"?**

— W ogóle nie przypuszczałem, że kiedykolwiek zostanę jakimkolwiek dyrektorem. Przecież interesowałem się bardzo lotnictwem, szczególnie szybowcowym, działałem w aeroklubie. Zajmowałem się modelarstwem. Sądziłem, że raczej z lotnictwem zwiążę swoje dorosłe życie.

**— Pilotem nie zostałeś...**

— Nie zostałem. Natomiast moje zainteresowania sprawiły, że stałem się technikiem-mechanikiem. A ciągoty do konstrukcji spowodowały, że zacząłem projektować. I tak przez 10 lat stałem przy desce kreślarskiej jako projektant-mechanik w zgierskiej „Borucie".

**— Ale twoja droga życiowa jakby nagle zmieniła kierunek: zerwałeś z mechaniką by poświęcić się pracy społecznej, pracy w aparacie partyjnym.**

— Zawsze trzymałem naraz kilka srok za ogon. I oto mamy paradoks: jestem z natury samotnikiem, ale tak się akurat układa moje życie, że jestem zmuszony — niejako siłami zewnętrznymi — pracować zawsze w dużych zespołach ludzi. Nie wiem, może to los w ten sposób mnie prześladuje? Wszystko zaczęło się od harcerstwa, potem była ZMP, później partia... W środowiskach, w których przebywałem, byłem chyba najbardziej oczytany, najwięcej gromadziłem książek, interesowały mnie różne dziedziny życia. Dlatego zapewne powierzano mi różne funkcje wychowawcze. Z czasem moje zainteresowania przesunęły się z kierunku technicznego, w stronę humanistyki, chociaż nigdy nie lubiłem najwyższej kategorii humanistyki, jaką jest filozofia.

**— Pytanie z innej dziedziny: uważam, że należysz do kategorii mężczyzn eleganckich. Zawsze dobrze ubrany, zadbany, odświeżony...**

— Nigdy bym tego o sobie nie powiedział...

**— Zawsze jesteś w krawacie starannie dobranym do garnituru. Czy to twoja zasługa, czy twojej żony?**

— Ubieram się sam. Lubię chodzić czysto, w dobrze skrojonym ubraniu. Nie noszę krawatów, które otrzymuję w prezencie...

**— Człowiek elegancki w dzisiejszych czasach zwraca na siebie uwagę. Bardzo często uwagę płci pięknej. Jak reagujesz na takie zainteresowania?**

— Odwrócę to stwierdzenie: to mężczyzna zwraca uwagę na ładne i atrakcyjne kobiety.

**— Co robisz po skończonej pracy?**

— Jadę do domu.

**— Masz działkę?**

— Mam. Lubię ją i poświęcam jej mnóstwo czasu. Działka, to powiedziałbym, największy złodziej czasu. Każdy, kto pielęgnuje w sobie jakieś zainteresowania, powinien jak ognia wystrzegać się działki. Jeszcze parę lat wstecz, kiedy jej nie miałem, byłem swobodnym ptakiem, mogłem pojechać na wycieczkę turystyczną, pójść do kina itp., a teraz mój czas pochłania patrzenie i przyglądanie się czy ta lilia ładnie rośnie, czy rododendron nie traci liści i czy się przypadkiem one nie zwijają, czy trawnik aby równo został wystrzyżony, czy rośliny na ogródku skalnym rosną prawidłowo...

**— Sam to wszystko robisz?**

— Działka wciągnęła całą rodzinę. Ale tak naprawdę, to praca na działce jest znakomitym wypoczynkiem, jest autentyczną rekreacją po tych wszystkich kłopotach, utarczkach i stresach, jakie towarzyszą pracy zawodowej.

**— Jesteś już dziadkiem, powiedz, jak się czujesz w tej roli?**

— Wiedziałem, że trzeba będzie kiedyś nim zostać, chociaż tą rolą specjalnie się nie przejąłem. Tak naprawdę to jeszcze nie dojrzałem do takiego statusu rodzinnego.

**— Wkrótce wnuczka będzie ci pomagać w pracach na działce...**

— Na to muszę jeszcze poczekać, bo ma ona dopiero półtora roku.

**— W czasie rozmowy mówiłeś o swoich rozlicznych zainteresowaniach. Niektóre z nich odeszły już w przeszłość wraz z młodością, inne uległy ograniczeniu, jeszcze inne pielęgnujesz do dziś. Co z twoich wielkich miłości pozostało naprawdę?**

— Woda. Pływanie pod żaglami, swobodne nurkowanie. Kiedyś marzyłem o dalekich rejsach, o nurkowaniu w tropikach, ale dziś tylko serdecznie zazdroszczę tym, którzy mogą poświęcić się temu bez reszty.

**— Czy masz wady?**

— Największą moją słabością i wadą jest to, że uważam się za człowieka absolutnie leniwego.

Rozmawiał: EUGENIUSZ IWANICKI

*Ewa Filipczuk*

# Niebo

**to miejsce nazywa się niebo**
**chociaż w obłokach dymu nie ma gwiazd**

**w niebie mieszkają kobiety**
**którym wszystko jedno**

**garbaty szachista**
**wygrywa raz po raz ze śmiercią**

**dożywotni kuracjusze**
**pocieszają się pękniętą ścianą**
**(może jest jakieś wyjście)**

**trzy kulawe schody**
**prowadzą do ogrodu**

**a tam**
**białe kwitnące drzewa**
**szczęśliwa trawa**
**światło**

**żona garbusa rozwiesiła pranie**
**przed drzwiami usiadł anioł pocieszyciel**

**w niebie pachnie ziemią**
**jest ciemno od skończoności**

★ ☆ ★

**może są jeszcze moje fotografie**
**ze śmiesznie otwartymi oczami**
**z policzkami powleczonymi skórą**
**i to czego najbardziej się wstydzę**
**setki zapisanych kartek**
**nic ważnego**

**tutaj**
**jestem lekka**
**zwolniona z czekania**
**na sen na jeszcze jedną chwilę**

**nicość piekło i dotkliwy strach**
**zostały na górze**

# Pragnienie

**trzeba zachować pozory książę**
**myszkin słysząc to odwraca się**
**sadza na kolanach**
**dziecko**
**gładzi drżącymi palcami idioty**
**dziecko co mówisz ja miałbym udawać**
**twoją gorącą skórę i moje pragnienie**
**miałbym stracić te chwile przestraszyć się**
**uciec**
**po tylu śnieżnych zamieciach na świętej**
**syberii**
**abym nie był kim jestem**
**abyś była moja**
**tu zamilkł**
**książę myszkin**
**rozejrzał się wkoło**
**i pod sukienkę dziewczynki która go kochała**
**włożył płonące dłonie**
**lecz śmierci nie było**
**z wąskiej ścieżki szaleństwa**
**spadła kropla potu**

# Wtedy mógłbyś zostać poetą

**Gdyby wiersze pisały dzieci**
**otoczone nie brakiem**
**ale nadmiarem czułości**

**Gdyby wiersze pisali dorośli**
**niekoniecznie na zawsze**
**pozbawieni szans**

**Gdyby wiersze pisali starcy**
**z domów złotej jesieni której oddech**
**nie ma nic z syberyjskiej zamieci**

**Gdyby poezja była**
**pilnikiem do krat**

**Gdyby po chwili poezji**
**było choć trochę prościej**

★ ☆ ★

**Uczymy się**
**Jeszcze chwila —**
**— zrozumiemy wszystko:**
**garb na plecach sąsiadki**
**narodziny**
**śmierć**
**wykład Jaspersa**
**wolę**
**która jest więzieniem**
**wolny wybór za kratą**
**i szczęście w powietrzu**
**A ten ptak nad drzewami**
**deszcz błękitnych łez**
**i fruwające piłki**
**i okrzyki dzieci**
**są dla nas rozumiejących**
**niedorzecznie proste**
**więc wracamy do siebie**
**zatrzaskując drzwi**

**Wiersze z tomu „Czekam na Ciebie w ciemnościach", PIW, W-wa 1986.**

# Pytania zadawane sobie

Jaki jest sens poezji w „czasie marnym", w czasie, w którym uświadomiono już sobie śmierć bogów i przed poczuciem absurdalnego i przerażającego „rzucenia w byt" nie chronią ani skodyfikowane normy powszechnych zachowań, ani uładzona, oswojona sfera „konsumowanej" kultury? Jakże można istnieć poprzez poezję, kiedy historia odebrała jej iluzję ocalającej bądź demiurgicznej władności słowa? I czyż świadomość, że poecie pozostaje tylko ciągłe przypominanie alternatywności kondycji ludzkiej, syzyfowych trudów — ponawianych ciągle wysiłków osiągnięcia życia autentycznego nie przekształci się w końcu w nihilistyczne i frustracyjne gesty polaryzujące bardziej jeszcze sferę rozpoznania „poetyckiego" oraz „powszechnego"?

Cała twórczość poetycka Ewy Filipczuk przywoływała ten system dramatycznych pytań, ale dopiero tom trzeci stawia je bez kamuflujących osłonek. Zarówno w „Grze", jak i w „Café Chaos" poetka operowała techniką zdystansowanej, ironicznej notacji. Poddawała rewizji w równej mierze sferę banalnej codzienności (wszelkie „gry" ludzkie) jak i utrwaloną topikę kulturową — wykazując, jak wątła i niestabilna może się ona okazać pod dotknięciem poetyckiego pióra. Owo zdystansowanie wszakże, mówienie „drugim" głosem poety — dające krytyce prawo do wpisania tej poezji w etykietkę neoklasycyzmu — obrazowa spójność, wersyfikacyjna numeryczność, jednym słowem — cała „elegancja" tej mądrej poezji — sprawiała, że te powierzchniowe, elokucyjne wartości przesłaniały cały podskórny dramatyzm problemów i pytań nie do rozstrzygnięcia... Tomik „Czekamy na ciebie w ciemnościach" proponuje jakby nawrót do „naiwnego" pierwszego głosu poety — do „pytań zadawanych sobie", do wyznania bezpośredniego, spowiedzi z własnych lęków, opisu życia zawieszonego między materialnością i konkretnością ziemi oraz wyobrażalnego — acz przewrotnie negowanego — mitu utraconego nieba.

Mimo całego ciężaru (powiedzmy to wyraźnie) egzystencjonalnej problematyki nie są to wiersze utopione w czarnym sosie frustracyjnej filozofii, ale pozbawione zostały histerycznych gestów, które serwują poetyki wstępujących roczników. Owe egzystencjalne problemy nadto suflowane są delikatnie, aluzyjnie — niekiedy tylko w tytułowych nawiązaniach (choćby do Kierkegaarda). Są to wiersze pełne ciemnej metafizyki — nie oddalone wszakże od doświadczeń każdego z nas. Ból nie jest tu wykrzyczany — mówi się o nim spokojnie z mądrą rezygnacją, lęk jest tłumaczony jego koniecznością, pasja nocy nie rodzi hieratycznych póz — jest cierpliwym czekaniem na ból, na lęk, na śmierć.

Tytułowy wiersz bowiem mimo całej prostej, kantyczkowej wręcz formy, jest uwikłany w rozliczne kulturowe konteksty. „Czekać w ciemnościach" i „szukać w ciemnościach" ewokują topikę „Pieśni nad pieśniami" („Szukałam ciebie w ciemnościach na początku straży"), Księgę Hioba („iżeś mnie otoczył ciemnością"), mistyczną „noc duszną" św. Jana od Krzyża. Wszystkie tamte „noce" równoważone były obecnością transcendencji (Oblubieniec, Bóg) — tutaj jest tylko zgoda na „skopaną grządkę", zroszoną trawę, przemijanie i przemianę w przyjaznej matce—ziemi:

(...) niedługo nasiąknę rosą
i szybko stanę się trawą

bez żalu i bez miłości
czekam na ciebie w
ciemnościach.

Umiejscowiona przez krytyków w doborowym towarzystwie Szymborskiej i Herberta znalazła Ewa Filipczuk swój osobny, „prywatny" ton. Rezygnując z konsolacyjnej nuty, jaką wprowadzały paraboliczne mity kulturowe, z warsztatowej maesterii, jaką ukazywała w przewrotnej rewizji powszechnych stereotypów — mówi dziś poetka prościej i zarazem bardziej gorzko. Jest to wszakże gorycz bez patosu. Dominuje spokojny i zrównoważony ton wywodzący się z „pasji nocy", ale nie pozbawiony pewnego optymizmu. Optymizm ów wypływa z większej „demokratyzacji" jej światoobrazu, z przywołania doświadczeń dramatycznych, ale też i codziennych.

Wyróżniona nagrodami „Faktów" oraz Nagrodą S. Wyspiańskiego — wciśnięta do szufladki neoklasycyzmu — poetka wszakże nie „sklasyczniała" — nie ograniczyła się do powielania wypróbowanej już wcześniej i aprobowanej poetyki. Tom trzeci jest wyraźnym przełamaniem neoklasycystycznego paradygmatu, zaskakuje swoją innością i zapowiada, że wiele jeszcze takich niespodzianek możemy od Ewy Filipczuk oczekiwać.

HENRYK PUSTKOWSKI

**Ewa Filipczuk — Czekam na ciebie w ciemnościach. PIW W-wa 1986 ss. 76 cena 120 zł.**

# Kronika kulturalna

## UROCZYSTE ZAKOŃCZENIE IX FESTIWALU FILMÓW SPOŁECZNO-POLITYCZNYCH

**UROCZYSTYM** akcentem rozdania nagród zakończył się 11 grudnia **IX Festiwal Filmów Społeczno-Politycznych.** Z rąk przybyłego na tę uroczystość sekretarza KC PZPR **Henryka Bednarskiego** otrzymali je: **Grand Prix** za film **„Stadion — czyli żywot Józefa"** — reżyser **Ireneusz Engler** (WFD); trzy nagrody główne: I — **Paweł Woldan** (WFO) za film pt. **Pan Szperlik II** — **Krystian Przysiecki** („Poltel") za **„Rozdarcie"** i III — **Ewa Cendrowska** („Poltel") za **„Maratończyka".**

Przyznano też cztery nagrody specjalne oraz liczne wyróżnienia. Jury, któremu przewodniczył docent **Henryk Kluba,** uhonorowało pamiątkowym **medalem za** najlepszy zestaw filmów festiwalowych **Wytwórnię Filmów Oświatowych w Łodzi.**

Podsumowania dorobku **Festiwalu** dokonał przewodniczący komitetu organizacyjnego — sekretarz KŁ PZPR — **Grzegorz Misiewicz.**

Obszerne omówienie **festiwalu** zamieścimy w jednym z najbliższych numerów.

---

**JURY 28 Festiwalu Filmów Krótkometrażowych w Bilbao, w Hiszpanii,** przyznało **Grand Prix Natalii Korynckiej — z PWSFTviT w Łodzi — za reżyserię** filmu pt. **„1 — 1".**

Rolę główną odtwarza w nim **Małgorzata Potocka.**

Film ten otrzymał wcześniej główną nagrodę na **Międzynarodowym Festiwalu Filmów Szkolnych w Monachium.**

Gratulujemy!

---

**W DNIACH 4—7 GRUDNIA** odbyło się w Łodzi **Ogólnopolskie Seminarium Filmowe „W kręgu zła".**

Na bogaty program tej imprezy złożyły się interesujące pokazy filmowe, spotkania ze znanymi reżyserami oraz fachowe prelekcje na temat przestępczości.

---

**6 GRUDNIA** w łódzkim **Teatrze Wielkim** odbyła się, oczekiwana z dużym zainteresowaniem, polska **prapremiera rock-baletu „Faust"** w opracowaniu choreograficznym, inscenizacji i reżyserii **Ewy Wycichowskiej,** ze scenografią **Ewy Kwiatkowskiej.**

Spektakl ten, przygotowany na zamówienie impresaria z RFN, wystawiony kilka tygodni temu po raz pierwszy w Hanowerze, zyskał wysokie oceny publiczności zachodnioniemieckiej. Obszerna recenzja ze spektaklu na stronie 9.

**ROZSTRZYGNIĘTY** został konkurs im. wiceadmirała **Kazimierza Porębskiego** za związaną z morzem i marynistyką twórczość publicystyczną, ogłoszony przez **Zarząd Okręgowy Ligi Morskiej w Łodzi.**

Tegorocznymi laureatami zostali: **Jacek Michalak** z „Dziennika Łódzkiego", **Sławomir Darzycki** z „Głosu Robotniczego" i **Wojciech Święcicki** z „Wieczoru Wybrzeża".

Kolegom „po piórze" gratulujemy!

---

**W DNIACH 19 I 20 GRUDNIA** wystąpi na scenie Teatru Studyjnego, na zaproszenie **„Pstrąga", grupa teatralna** z Uniwersytetu w Bradfordzie — **„Theatre in the Mill".**

Zespół ten — jeden z najbardziej liczących się w Wielkiej Brytanii — kilkakrotnie nagradzany był na Festiwalu w Edynburgu.

Artyści angielscy przywożą na występy w Polsce widowisko pt. **„Zielony skrzypek",** przygotowane dla uczczenia setnej rocznicy urodzin wybitnego surrealistycznego malarza — **Marca Chagalla.**

---

**21 GRUDNIA** w Dużej Sali **Teatru Nowego** odbędzie się premiera **„Burzy" Williama Szekspira,** w reżyserii **Jana Bratkowskiego** ze scenografią **Krzysztofa Pankiewicza** i muzyką **Andrzeja Trzaskowskiego.**

Ten subtelny, głęboko filozoficzny dramat, niezmiennie fascynuje swoim urzekającym pięknem.

W spektaklu tym grają między innymi: **Katarzyna Pawlak, Bohdan Mikuć, Wojciech Pilarski, Janusz Kubicki, Józef Zbiróg.**

---

**PIĘĆDZIESIĘCIOLECIE** działalności artystycznej oraz **siedemdziesiątą piątą rocznicę urodzin** obchodził zasłużony łódzki twórca, wybitny kompozytor, dyrygent i pedagog — profesor **Tomasz Kiesewetter.**

Dostojnemu Jubilatowi życzymy wielu dalszych osiągnięć artystycznych!

---

**DNIA 16 GRUDNIA** w gmachu **Muzeum Archeologicznego i Etnograficznego w Łodzi** otwarta została wystawa **„Lima — wieś szwedzka w fotografii".**

Ekspozycję przygotowaną przy współpracy **Instytutu Szwedzkiego** oglądać będzie można do końca stycznia 1987 r.

---

**PO RAZ SZÓSTY** rozstrzygnięty został **Turniej Jednego Wiersza,** poświęcony przeżyciom i refleksjom związanym ze **Świętem Zmarłych.** Na konkurs zorganizowany przez **Oddział Wojewódzki Stowarzyszenia PAX w Piotrkowie Trybunalskim** wpłynęło ponad 100 wierszy.

Jury pod przewodnictwem **Krzysztofa Pysiaka** przyznało pierwszą nagrodę **Andrzejowi Grabowskiemu,** drugą — **Dariuszowi Muszerowi,** trzecią — **Marii Krystynie,** oraz dwa równorzędne wyróżnienia **Sławomirowi Leonardowi Wysockiemu** i **Waldemarowi Żelaznemu.**

# Bigos hultajski

## Mieszanka firmowa literacko — obyczajowa

### KURACJA DOMOWA

Mój dziad, Antoni Michał, rotmistrz kawalerii narodowej, poseł podolski na elekcji Stanisława Augusta, a następnie chorąży czerwonogrodzki zakupił na Podolu piękne dobra Harmaki i tamże osiadł, kiedy zawiązywała się konfederacja w Barze, z którym sąsiadował (...)

Niezwykłą, o ile mi ojciec mawiał, posiadał siłę i kiedy przy ucztach wypróżniono beczkę wina, brał ją zębami za wątory i przez swą głowę przerzucał. Kiedy razu jednego książę jenerał ziem podolskich, objeżdżając te prowincje przybył do Międzyboża, a cała okoliczna szlachta dla powitania jego tamże się zjechała, zapytał książę dlaczego nie widzi chorążego czerwonogrodzkiego? Odpowiedziano mu, że chory. On więc w dobroci swojej kazał lekarzowi nadwornemu Goltzowi, aby słabego odwiedził i zajął się jego kuracją. Przybył więc pan Goltz do Harmak. Mój Dziad miał wtenczas lat 70 i na dyzenterię zapadł. Gdy doktór, o zdrowie zapytując, oświadczył że go książę przysyła:

— *Dziękuję księciu za pamięć, a panu za fatygę* — rzekł — *Ale już się domowymi środkami wyleczyłem.*

— A czy wolno zapytać, co tak skutkowało panu chorążemu?

— *Zjadłem pół kopy jaj na twardo z octem.*

Leon Dembowski: Moje wspomnienia. Tom 1. Petersburg 1898.

### AKUSZERKA

Pojawiła się była w Kijowie młoda, piękna akuszerka z petersburskiego instytutu akuszerii — u której cnota wszelkim propozycjom i zabiegom opierała się. Pan Piotr Jaxa-Bykowski postanowił wziąć ją podstępem, a że był wielkim żarłokiem i bardzo grubym, postanowił odegrać rolę położnicy. Jakoż w odpowiednio urządzonym pokoju i odpowiednio przystroiwszy się, posyła jednego z kolegów, niby męża położnicy — wezwać pomocy akuszerki. Ta wśród ciemności pokoju, dojrzawszy brzuch ogromny i wydęty, łatwo uwierzyła, że ma do czynienia z położnicą; posuwając dalej eksplorację, z przerażeniem zawoła:

— *Już rodzi, ale w złych bardzo warunkach, bo oto mam w ręku nóżkę noworodka — niezwłocznie wezwać trzeba operatory.*

Na to mąż, sama położnica i niby krewni wybuchli śmiechem, który dopiero objaśnił akuszerkę.

Tadeusz Bobrowski: Pamiętnik mojego życia. Tom 1. Warszawa 1979.

### PUŁAPKA

Było to jeszcze za Prusaków. Jednego dnia, raniusieńko, obchodziłem doły, żeby zobaczyć, czy się co nie złapało. Oglądam jeden: nic; przychodzę do drugiego: chrust załamany i to z dwóch stron. Są bestie! — pomyślałem. Odgarniam więc lepiej przykrycie i zaglądam: siedzi aż dwóch wilków, tylko że jeden był bury, a drugi zagadał do mnie po niemiecku. Odskoczyłem, jak oparzony i przeżegnałem się, a tu Niemiec w dole jęczy i prosi, żeby go duchem wydobyć. Dopiero wtedy, ochłonąwszy ze zdziwienia, poznałem Ausreitera, co przychodził z papierami do dworu.

— *A pan Gottlieb po co tam wlazł?* — zapytałem go.

— Ja nie wlazić, ja zmilić droga nach dwór. Um Gottes Willen retten Sie mich! mnie będzie zjadać ten Wolf!

— *Nie będzie zjadać* — pocieszałem Niemca — *bo już obżarł się strachu. Niech pan Gottlieb zaczeka; pójdę po ludzi i powrozy, a w razie, gdyby wilk chciał być niegrzeczny, niech pan Gottlieb udaje dużego psa i szczeka na niego, tylko głośno i basem.*

Niemiec nie chciał czekać, ale musiał, i jeszcze pół godziny przesiedział z wilkiem w dole. Zaraz jednak wziął się do szczekania, bo zaledwie odszedłem, już słyszałem, jak w dole ujadał. Kiedy wróciłem z pomocą, Niemczysko już całkiem ochrypł. Wyciągnęliśmy naprzód człowieka, a potem wilkowi palnąłem w łeb; ale przez ten czas, co oba siedzieli w dole, dostali takiej frybry czy cholery, że przy robocie kole nich musieliśmy cięgiem zażywać tabakę.

Konrad Machczyński: Mozajka wilcza ułożona z młodzieńczych wspomnień myśliwskich przyjaciela. Kraków 1896.

### ROZMOWA Z CESARZEM

Podczas przejazdu cesarza Józefa II przez Galicję szlachta, a szczególnie panie ubiegały się o zaszczyt mówienia z tym monarchą. Było to w Przemyślu, czy innym miasteczku, gdzie cesarz chwilę zabawił i audiencję dawał. Chwaliły się niektóre panie:

— A ja miałam szczęście mówić z cesarzem.

Na to rzekł Drohojowski:

— *I mnie ten honor także spotkał.*

Ciekawe damy nuż go pytać:

— A cóż mówił cesarz do ojca?

— *Oto* — rzekł — *stałem na schodach, gdy cesarz szedł na górę, a przechodząc koło mnie, rzekł: ustąp się kpie, bo ja tędy pójdę.*

Ambroży Grabowski: Wspomnienia. Kraków 1900

### NA NIEKTÓRYCH UCZONYCH

*Otóż jest mędrzec przesławnej Sorbony,*
*Okrutnie głupi, a strasznie uczony!*

Józef Załuski: Wspomnienia. Kraków 1976.

**Opracował:**
**ANDRZEJ KEMPA**

# Z Faustem w tany

Już dawno przestaliśmy „gorszyć się" adaptacjami wielkich dzieł epiki czy dramatu na użytek innych dziedzin sztuki, z czym może najskuteczniej oswoił nas przez swą bezceremonialność film. Poszły dawno w niepamięć słowa protestów i oburzenia (głośne zwłaszcza w Niemczech) po ukazaniu się opery Gounoda, której libretto oparto na materiale literackim „Fausta" Goethego. Zarówno libreciście, jak i kompozytorowi zarzucano wówczas (chyba trafnie) zbanalizowanie wymowy artystycznej literackiego pierwowzoru i trudno do dziś oprzeć się wrażeniu, że melodyjne uroki opery Gounoda nie stwarzają w żadnej mierze artystycznego równoważnika dla dzieła Goethego, którego godnym „partnerem" mógłby się okazać, dajmy na to, Beethoven.

Z drugiej jednak strony Goethe podobno wielce łaskawie odniósł się do wykonywanej w jego obecności pierwszej muzyki do „Fausta", skomponowanej przez księcia Antoniego Radziwiłła (namiestnika W. Ks. Poznańskiego), tego samego, który dwukrotnie gościł u siebie w Antoninie młodego Chopina i wspólnie z nim muzykował, grając na wiolonczeli. Ale czy Goethe był muzykalny i czy nie przez uniżoność wobec kompozytora, skoligaconego z Hohenzollernami udawał zachwyt nad muzyką?

Niejedno przemawia za tym, żeby w odniesieniu do tego rodzaju adaptacji unikać stanowisk skrajnych i oceniać ich sensowność według artystycznego rezultatu. Ot np. tenże „Faust" zainspirował arcyciekawą, nieco polemiczną, wizję pantomimiczną w Tomaszewskiego „Odejściu Fausta". Inna rzecz, że akurat ten sławny dramat Goethego (w przeciwieństwie do adaptowanych z powodzeniem, m. in. przez teatr lalek, ludowych wątków faustowskich) stawia przez swą zawartość myślową i bogactwo różnorodnych wątków wielkie wymagania wystawieniom tej sztuki, nawet najlojalniejszym wobec tekstu autora (wielu uważa dramat za „niesceniczny"), cóż dopiero mówić o usiłowaniach „przekładu" na inne „języki" sztuk pięknych. Trzeba więc niezachwianej wiary we własny talent, żeby się na adaptację „Fausta" poważyć bez asekurowania się zmianą tytułu czy adnotacją: „luźne wariacje na temat"...

No i teraz już może paść pytanie: „Czy można zatańczyć Fausta", czyli zmierzyć się z jego treściami za pomocą choreografii? Myślę, że środki wyrazowe ludzkiego ciała są tak bogate, iż choreograf ma szansę wyrazić w balecie swoje rozumienie dzieła Goethego. Ale wydaje mi się też, że musi być spełniony pewien warunek w postaci inspiracji muzycznej, o zbliżonej do utworu Goethego skali treści emocjonalnych, o zbliżonym „ciężarze gatunkowym". W moim odczuciu tylko muzyka artystyczna (zwana poważną) nie zaś rozrywkowa ma te szanse, ponieważ nieobojętne jest czy muzyka potrafi przekazać nie tylko smutek, ale i rozpacz, nie tylko wesołość, ale i radość, nie tylko pociąg zmysłów, ale i miłość, nie tylko nabożność, ale i religijność. Stąd przyszedł mi na myśli właśnie Beethoven. Niełatwo to pisać w czasach, kiedy modnie jest dzielić muzykę tylko na „dobrą" i „złą".

Powie ktoś, że choreograf wie jednak lepiej, jaka muzyka jest mu potrzebna. Oczywiście! Ale widz (słuchacz) też wie, jaka muzyka mu pomaga, a jaka przeszkadza w uzyskaniu określonego rodzaju przeżycia, a widz niemuzykalny w ogóle (jak przypuszczam) nie odbiera baletu jako zjawiska artystycznego, tylko jako popisy sprawności ciała.

Otóż mimo wszystkich swoich zalet, muzyka zespołu rockowego „Shade", bardzo nastrojowa i ekspresyjna, o zmiennych emocjach, wykonywana zresztą perfekcyjnie pod względem wokalnym i instrumentalnym, w moim odczuciu nie potrafi faustowskich zadań udźwignąć i wskutek tego tak utalentowana choreografka jak Ewa Wycichowska, obdarzona tak bogatą i wrażliwą wyobraźnią artystyczną (której dowiodła wcielając w taniec muzykę Chopina czy Szymanowskiego) uzyskiwała na tle muzyki rockowej napięcie emocjonalne raczej pobudzające nerwy i wywołujące niepokój zmysłów niż przeżycie „metafizyczne". Mówimy wszak o „Fauście" Goethego, który co prawda, jak mówi pełny tytuł „goes rock" (idzie krokiem rocka czy też tańczy rocka), co niczego nie usprawiedliwia, u Tomaszewskiego bowiem „szedł" krokiem pantomimy, ale unosił nas w światy mistycznych uniesień, to znów oczarowań światem antycznego piękna.

Inna sprawa, że muzyka rockowa jest dziś niezawodnym środkiem wzbudzania emocji w najszerszych kręgach współczesnego słuchacza muzyki rozrywkowej, zwłaszcza wśród młodzieży, a ów tytułowy Faust może widzowi baletu dać poczucie, że uniósł go w niesłychanie wysokie rejony Sztuki i odtąd będzie miał arcydzieło literatury światowej jakby „zaliczone". Wolno mi tak supONować, skoro nie całkiem ubocznym celem stworzenia tego baletu są regularne, artystyczne niewątpliwie wojaże, wszakże do tzw. krajów drugiego obszaru płatniczego, gdzie cieszą się wielkim i zrozumiałym wzięciem.

Po uwzględnieniu tych okoliczności, wypada mi zastosować bardziej życiowe miary oceny i trudno mi nie dostrzec, że „Faust" Wycichowskiej, mimo przydługiej ekspozycji opartej na nadużywanym ostatnimi czasy pomyśle przygotowywania się tancerzy do występu (abyśmy nie sądzili, że diabeł będzie autentycznie z piekła rodem) otóż balet jest znakomicie skomponowanym, spójnym widowiskiem, cieszącym oko zmiennością różnobarwnych scen i galerią zróżnicowanych postaci w pomysłowych układach tanecznych. Stale wypełniony jest „działaniem się" od momentu, kiedy do Fausta przeciska się tłum zjaw, dopominających się zaistnienia, przez doskonałą scenę jakby wyzwalania się Fausta z zależności od Mefista i wiele innych łącznie z wyjątkowo śmiałą sceną erotyczną między Mefistą a Faustem.

Efekty baletu mogłyby być z pewnością większe, gdyby jeszcze paru tancerzom, zwłaszcza paniom, starczało werwy i umiejętności (a może aktualnej formy), żeby przez cały czas godnie partnerować **EWIE WYCICHOWSKIEJ (Mefista)**, której osobowość artystyczna wyraża się ostatnimi czasy, jak mi się wydaje, najpełniej czy może najwyraziściej w kreowaniu kobiecych postaci dążących jakby do ostatecznego zapamiętania, zatracenia się w emocjach o silnej dozie zmysłowego erotyzmu (byłoby ciekawe móc to prześledzić od trzeciego wcielenia w „Głosie kobiecym").

Szkoda, że choreografka nie skomponowała równoważnej — na zasadzie kontrastu — postaci **Małgorzaty**, która mimo usiłowań i umiejętności **LILIANY KOWALSKIEJ** okazała się osobowością nieco mdłą, w dodatku o zbyt kukiełkowatych ruchach głowy dla uwidocznienia obłędu. W pozostałych rolach kobiecych oglądaliśmy **LIDIĘ GULIŃSKĄ (Helena), HANNĘ HADRYCH (Angelus).**

Role męskie odznaczały się większym zróżnicowaniem. Tytułowemu **Faustowi (CZESŁAW BILSKI)** przypadło wyraziste choć powściągliwe wyrażanie zmiennych stanów wewnętrznych bohatera, środkami w znacznej mierze pantomimicznymi, co realizował z dużym powodzeniem. Młodzieńczo ufnym **Homunculusem** był **ROMAN KOMASSA**, dynamicznym i teatralnie demonicznym **Mefistem** mało dotychczas obsadzany **JAROSŁAW BIERNACKI**, precyzją i sprawnością techniczną wyróżniał się też **KRZYSZTOF STARCZEWSKI (Erichto), Parysa** tańczył **ARTUR LEWANDOWSKI.**

Zespół jako całość tańczył nieco ociężale i nie zawsze dość składnie. Barwną widowiskowość przedstawienia, ale i nastrój mrocznego niepokoju podkreślała udana, o nowoczesnym wyrazie plastycznym scenografia **Ewy Kwiatkowskiej.**

Tak więc sceny baletowe do „Fausta" wędrującego przez obszary lęków i pokus tanecznym krokiem rocka mogą z pewnością liczyć na powodzenie, zwłaszcza młodszej generacji widzów, która, jak się zdaje, reprezentuje w różnych krajach bardzo zbliżony wzajemnie typ aspiracji kulturalnych i wrażliwości artystycznej, bardziej chyba zuniformizowany niż to bywało dawniej.

I trzeba się z tym liczyć, jeśli się umie liczyć, a liczy się na wyjazdy...

JERZY KWIECIŃSKI

**Ewa Wycichowska/Shade:** „Faust goes rock". Rock-balet w dwóch częściach. Libretto — **Ewa Wycichowska, Jürgen Rosenthal** na motywach „Fausta" J. W. Goethego. Muzyka — zespół **Shade**, teksty utworów — **Jürgen Rosenthal.** Prapremiera — Hanover 8 października 1986, premiera polska — 6 grudnia 1986 r.

*„Faust goes rock" — na zdjęciu Hanna Hadrych (Angelus) i Roman Komassa (Homunculus).*
*Foto: Maciej Hadrych*

**O filmie „Oto Ameryka"**

# Lepiej być bogatym i sfrustrowanym niż biednym i sfrustrowanym?

Film Romano Vanderbesa „Oto Ameryka" — reklama subkultury amerykańskiej lat siedemdziesiątych — to okazja do kilku porównań. Spodziewana reakcja publicystów i korespondencja mniej lub bardziej oburzonych czytelników z całą pewnością natchną socjologów i populacja doktorów w Polsce być może wzrośnie.

„Oto Ameryka" według zapewnień prelegenta to tylko wycinek amerykańskiej rzeczywistości. W założeniach realizatorów miał to być szokujący dokument. Stąd ukazanie rozrywek i skłonności wymagających mniejszego przygotowania intelektualnego. Seks, religia, przemoc i kilka innych drobiazgów złożyły się na ponad trzygodzinny montaż.

Elizabeth Hardwick, pisarka i krytyk społeczny, w opublikowanym w 1978 roku szkicu „Obyczaje domowe" dokonała podziału powojennych dziejów USA na trzy dekady. Przy czym kryterium podziału to nie tylko osiągnięcia ekonomiczne i stopień zamożności, ale także ogólny stan psychicznej kondycji społeczeństwa. Według niej po okresie prosperity i sielanki rodzinnej lat pięćdziesiątych nastąpił kryzys świadomości w następnej dekadzie i odtąd nie ustają próby przywrócenia zachwianej równowagi i pewności siebie.

Hippisowskie rozchełstanie było przykładem osłabienia mechanizmów lansujących i kontrolujących postawy młodzieży. Komercjalizacja przyczyniła się do osłabienia ideologii ruchu, ale ukazała też stopień wyczulenia na potrzeby chwili środków kształtowania opinii publicznej. Hippisi przypieszyli rozluźnianie się obyczajów i lata siedemdziesiąte, a których traktuje film Vanderbesa, to kontynuacja tych przemian.

„Oto Ameryka" nie przedstawia najnowszych osiągnięć awangardy artystycznej. Niemniej jednak dzięki reprezentacji przeciętnych gustów i zachowań łatwiej zrozumieć, dlaczego sztuki plastyczne, muzyka i poezja są takie a nie inne. Tolerancja powoduje, iż wszelkie działania, z wyjątkiem określonych przez prawo jako karalne, przyjmuje się za dobrą monetę.

Seks przewija się przez cały film i gdyby technika telewizyjna obejmowała zapachy, dość długo wietrzyłbym pokój. Mimo chrześcijańskiego rodowodu i zaplecza przesądów Ameryka to erotyczna Grecja, a takie ksywki jak „Kryjówka Platona" zdają się potwierdzać tę insynuację. Woody Allen na tle tej swobody jawi się jako intelektualistą seksualny pogrążony w mrokach psychoanalizy i lansowanie go w polskiej telewizji uważam za przedwczesne.

Erotyczny przesyt sprawia, iż takie imprezy jak wybory Nagiej Miss Ameryki odbywają się bez zakłóceń i przynajmniej publiczność nie napastuje dziewcząt. Lokale ze striptizującymi się kulturystami to półśrodek, ale dzięki nim żony być może mniej myślą o głupstwach. Koncerty rockowe mają niejednokrotnie charakter misterium seksualnego, gdy na przykład rockman z prąciem wywalonym na wierzch porusza się orgiastycznie i śpiewa o miłości, a wielbicielki szczają na widowni.

Michalina Wisłocka i Lew Starowicz robią co mogą dla edukacji seksualnej społeczeństwa, ale bez pornografii efekty ich działalności są i będą połowiczne. Tymczasem odrobina świństwa nie dokonałaby chyba zbyt wielkich spustoszeń moralnych, lecz miałaby raczej walor poznawczy i instruktażowy. Młodzież w społecznościach pornograficznych nie ma monopolu na seks, a odpowiednia reklama i środki sprawiają, iż nawet chwiejący się już staruszkowie wypoczywają w domach publicznych.

Miłość do zwierząt nie jest dla Amerykanów pustym pojęciem i mają oni możliwość zaspokajania oczywistych potrzeb swych czworonożnych ulubieńców. W psich burdelach ekskluzywne suki oferują swoje usługi i problem życia erotycznetgo czworonogów jest przynajmniej częściowo uporządkowany i zinstytucjonalizowany.

Być może istnieją w USA sekty, dla których bogiem jest penis. Religia grecka dzięki miłosnym wyczynom bogów i obrzędom na ich cześć miała wielce spermatyczny charakter. Kultura chrześcijańska odsuwając w cień problemy chuci i nakazując kontemplacyjny żywot doprowadziła do eksplozji erotyki i wzbogacenia renesansowego zawołania „nihil humanum a me alienum puto".

Konstytucyjnie zagwarantowana swoboda sumienia sprawia, iż każdy obywatel może zostać prorokiem i głosić swe nauki Genezy zjawiska szukać należy w purytańskiej deliturgizacji wiary, która wywodząc się z kalwińskiej tradycji, sprowadziła Boga na ziemię. Wypada także przytoczyć Alexisa de Tocqueville'a, który w dziele „O demokracji w Ameryce" pisał: „Nie należy więc się dziwić osobom pragnącym zajmować się wyłącznie sprawami nieba w społeczeństwie pochłoniętym egzystencją ziemską. Byłbym zdumiony, gdyby w społeczeństwie oddanym bez reszty sprawie dobrobytu nie pojawił się niebawem i nie rozwijał mistycyzm".

Liczba nawiedzonych jest obecnie znaczna. Specjaliści oceniają ilość sekt i kultów na od trzech do pięciu tysięcy. Dla większości proroków sekty są źródłem intratnych dochodów i niektórzy po osiągnięciu zamierzonych korzyści wycofują się z branży.

San Francisco to raj artystów oraz intelektualistów i w związku z tym mistyków, szarlatanów i innych wariatów. Twórcy filmu zaledwie sygnalizują problem i z tych kilku ujęć nie wynika, czy jest to wyłącznie zabawa, czy infantylizacja Amerykanów osiągnęła już takie rozmiary (na przykład guru-paralityk, który w Polsce zostałby skierowany na leczenie psychiatryczne i przypuszczalnie nie znalazłby wyznawców).

Niektóre „kościoły" mają na celu zalegalizowanie nielegalnych praktyk jak na przykład Kościół Najczystszego Proszku, którego założyciel Jonathan Parker III umożliwia członkom w miarę bezpieczne spożywanie narkotyków podczas „mszy". Należy wątpić, iżby Marek Kotański na amerykańskim gruncie miał większe możliwości zużytkowania swych misjonarskich skłonności — program nie ten, a i konkurencja większa. Działalność Mormonów jest mi bliżej nie znana, ale widok członka pośród łagodnych i czułych żon sprawił, iż westchnąłem melancholijnie.

Finałem istnienia kilku sekt były rytualne mordy (Mason, Jones), co jednak nie wpłynęło na spadek popularności tej formy rozrywki. Trudno powiedzieć na ile zjawisko boomu religijnego jest kontrolowane. „Sieć" Sidneya Lumeta nie daje na to pytanie wyczerpującej odpowiedzi.

Przemysł usługowy jest żyłą złota dla pomysłowych jednostek i bardziej użytecznym niż biurokracja sposobem rozwiązywania problemu bezrobocia. Śluby na spadochronach, instruktaż erotyczny dla żon, batman-cukrzyk to tylko niektóre sposoby wyławiania pieniędzy od sytych obywateli.

Pornografia, jak widać na filmie, to jedna z najbardziej liczących się gałęzi przemysłu usługowego, a Eros — doroczna nagroda dla najlepszego filmu porno — nobilituje i dodaje jej artystycznego splendoru. Obok alkoholu i papierosów pornografia mogłaby bez większej szkody dla moralności i z pożytkiem dla fiskusa stać się trzecią formą podatku pośredniego. Zaś w polskim filmie nie musiałyby tak często zaziębiać się panienki.

Dzięki westernom i filmom kryminalnym kult broni nie jest dla nas nową wiadomością i każde dziecko wie, że co trzeci Amerykanin to rewolwerowiec. Natomiast złomowanie skonfiskowanej broni to jak dla mnie zbyt rozrzutny prodecer, skoro zaledwie tym, co uchwyciła kamera, można by wyposażyć kilka murzyńskich armii.

O nędzy jest tu niewiele i tylko wizyta w zakamarkach nowojorskiego metra i sieci wodociągów sygnalizuje problem. Grupy wykolejeńców i alkoholików obgryzane są przez szczury i jeszcze nie marzą o polskich śpiworach.

Przemoc reklamują czołowe nazwiska amerykańskiego świata filmowego i na szczęście autorzy tego dokumentu ograniczyli ją do kilku oryginalnych migawek. Metody resocjalizacji przestępców i egzekucja na krześle elektrycznym nie wymagają komentarza.

Według osób, które były w USA i zdążyły już wypowiedzieć się na temat filmu na łamach gazet, „Oto Ameryka" wypacza rzeczywistość i ma niewielką wartość poznawczą.

Tymczasem, jak sądzę, zamierzeniem twórców było ukazanie subkultury amerykańskiej lat siedemdziesiątych jako pochodnej tych zjawisk, które decydowały o strukturze psychicznej społeczeństwa, jego celach i wartościach. Po projekcji można zgodzić się z tezą Elizabeth Hardwick, iż utrata pewności siebie, poczucie zagubienia i brak zaufania do tradycyjnych autorytetów to podstawowe cechy tej dekady.

Film jest dla nas cokolwiek egzotyczny i rozbraja tolerancją oraz bezpośredniością ludzkich zachowań. Historia USA jest zbyt krótka, aby mogło dojść do wytworzenia się wachlarza przesądów i narodowych świętości. To źródło kompleksów, ale i poważna przewaga Amerykanów nad innymi społecznościami.

Na koniec chciałbym uspokoić Stanisława Trepczyńskiego, który na łamach „Polityki" obawia się, iż film zrobi polskim widzom wodę z mózgów. Mechanizmy ekonomiczne obecnie odzierane są z ideologii i większość Polaków wie, że to ciężko zarobiony pieniądz rządzi światem.

TOMASZ KUBIK

# Tymczasowa Palestyna w Galicji

W trzecim roku pierwszej wojny światowej, tysiąc dziewięćset szesnastym, zaczął się ukazywać w Monachium miesięcznik Młodych Niemców — „Das Ziel" („Cel"). Wydawcą i naczelnym dyrektorem był doktor Kurt Hiller, wokół którego skupiła się plejada świetnych współpracowników, jak Henryk Mann, Rudolf Leonard, poeci Max Brod i Franciszek Werfel, Alfred Kurella i inni. Ideologiem grupy, wykazującej silne zabarwienie rewolucyjne, ale w sposób raczej powierzchowny i deklamacyjny, był Hans Blüher, jeden z twórców powstałego osiem lat wcześniej ruchu młodzieżowego „Wandervogel" (Ptaki Wędrowne), do którego garnęły się masy młodzieży niemieckiej. Była to ideologia niezwykła: jako cel ostateczny, do którego zmierza najwyższa kultura, uznawała wielki, tajny (!) związek wyłącznie męski, przesycony pierwiastkiem mistycznym i nie pozbawionym elementów erotycznych. Wystąpienia Blühera spowodowały skandal w berlińskim środowisku akademickim, przypominający atmosferę wokół osoby i twórczości Stanisława Przybyszewskiego.

Pisywał też na łamach „Celu" młody publicysta niemiecki pochodzenia żydowskiego, Alfred Lemm. Artykuły swe poświęcał szczególnej idei, którą tu chcemy przypomnieć jako jeszcze jeden przykład niezwykłych koncepcji i utopii, związanych z urządzeniem naszego kraju, Polski. Była to mianowicie idea stworzenia po zakończeniu działań pierwszej wojny światowej, na zajętych ówcześnie przez Austrię terenach Galicji, samorządnego państwa żydowskiego!

Pierwszy raz wystąpił A. Lemm z tym projektem w lutym 1916 roku, na łamach miesięcznika „Die Tat" („Czyn"), w artykule „My, niemieccy Żydzi". Wychodził przy tym z podstawowego założenia, że tożsamość narodowa żydowska musi być w pełni zachowana i pielęgnowana we wszystkich krajach diaspory. Dążeniu temu — pisał — może stanąć na przeszkodzie wielki wzrost nacjonalizmów spowodowany wojną. *„Zasada solidarności międzyludzkiej w czasie zmagań wojennych i nazajutrz po wojnie, a także głos sumienia w związku z rzeką krwi wylanej na frontach także przez Żydów — będą słabsze w porównaniu ze spotęgowanymi uczuciami wspólnoty poszczególnych narodów".* W obrębie każdej z tych wspólnot — a w artykule Lemma mowa przede wszystkim o narodzie niemieckim — Żydzi zaczną być odczuwani i traktowani jako element niezupełnie swojski, odmienny, a więc mimo wszystko obcy.

Mieszanie krwi niemieckiej z żydowską może przynieść w pierwszych pokoleniach — zdaniem Lemma — wspaniałe wyniki. Żydowski relatywizm i zasada podawania wszystkiego w wątpliwość w połączeniu z łatwowiernym idealizmem Niemców złożyłyby się na charakter odporny na przeciwności; niemiecka religijność wyrównałaby żydowskie dążenie dociekania każdej prawdy; żydowska wrażliwość na świat i lotność umysłu złagodziłaby protestancką surowość niemiecką; niemiecka prostolinijność zyskałaby na większej elastyczności. Można by więc mówić o powstaniu jakiejś szczególnie uzdolnionej rasy ludzkiej: cały powyższy wywód Lemma przeprowadzony jest przecież w duchu idei rasistowskich, chce niejako poprawić rasę germańską dopływem krwi semickiej. Autor zaraz się jednak wycofuje stwierdzając, że proporcje ludności żydowskiej i niemieckiej spowodowałyby już po kilku pokoleniach całkowite rozpłynięcie się żydostwa w morzu germańskim.

A więc łączenie rodzin niemiecko-żydowskich musiałoby doprowadzić do zaniku narodu żydowskiego, do samozagłady tego narodu. *„A przecież przyszłość, jaką musimy dla naszego narodu wybrać i zaprogramować, może być znośną tylko wówczas, jeśli pozostanie wierną wszystkiemu co żydowskie".*

Nie był to mimo wszystko syjonizm, a jeśli był — to szczególnego rodzaju. Żydzi powinni mieć miejsce na ziemi, które mogliby nazwać swoją ojczyzną, przy czym niekoniecznie musieliby porzucać kraje swego od wieków trwającego zamieszkania i wracać na łono owej wymarzonej ojczyzny. *„Istnienie żydowskiego kraju powinno stanowić podbudowę żydowskiego sposobu życia, tradycji, języka, obyczaju — tak jak istnienie państwa niemieckiego jest podporą dla Niemców, żyjących w Ameryce".*

*„Nie zapomnieliśmy Jerozolimy* — mówi Alfred Lemm w innym miejscu — *ale nie możemy też zapomnieć Niemiec".* A więc wieczne rozdwojenie? Aby go uniknąć i wzmocnić poczucie odrębności narodowej w przyszłych pokoleniach, proponuje autor, aby wszyscy żydowscy rodzice oddawali swe pięcio-, sześcioletnie dzieci na wychowanie do Palestyny. *„We wczesnym dzieciństwie pierwiastki niemieckie nie są jeszcze tak mocno utrwalone, aby nie ustąpiły w ciągu paru lat przed kulturą nowożydowską, starannie wpajaną przez tych — zwłaszcza wschodnich — Żydów, dla których spowodowanie takiego przełomu byłoby treścią ich życia".*

Koszty palestyńskiego wychowania oraz związane z nimi koszty przewozu i częstych spotkań z rodzicami powinno ponieść całe społeczeństwo żydowskie. Fachowi pedagodzy zastąpią z powodzeniem rodziców, a jednocześnie więzi rodzinne nie osłabną dzięki częstym odwiedzinom. *„Wzbogacający niewątpliwie wpływ niemczyzny na dusze młodzieży żydowskiej nie powinien nigdy ustać zupełnie, ale dzięki odrębnemu wychowaniu młodzież ta będzie umiała oprzeć się nadmiernemu przenikaniu owych wpływów i mówić o sobie nie „my, Niemcy", tylko: „my, niemieccy Żydzi".*

W tym miejscu myśl Lemma zwraca się nagle ku Polsce:

*„W ciągu półrocza po napisaniu powyższych słów, a przed ich ogłoszeniem zwiedziłem Galicję i Polskę i chciałbym teraz wprowadzić poprawki do mego zasadniczego przekonania. Wychowanie żydowskich dzieci z Niemiec w dalekiej Palestynie, według zupełnie nowych zasad, rozdzieliłoby zbyt obcesowo pokolenia zarówno przestrzennie, jak i psychicznie. Wielu Żydów odmówiłoby podporządkowania się takiemu rozwiązaniu. Żydzi ze wschodu niewątpliwie zachowali o wiele bliższe związki z przeszłością: mogliby dla niej odzyskać także Żydów niemieckich. W tym celu należałoby uczynić z części Polski lub Galicji tymczasowe „państwo pośrednie", jako wstęp do Palestyny. W ten sposób można by za jednym zamachem przybliżyć przestrzennie i merytorycznie odzyskanie jedności narodowej żydostwa.*

*Z upadkiem starej wiary przodków dotychczasowa więź ludowo-religijna musi być zastąpiona wiedzą o przeszłości narodu i poczuciem wspólnoty. To mogą znaleźć nasze dzieci na wschodzie. W mieście wyróżniającym się intelektualną elastycznością, ale także nieugiętością mieszkających tam Żydów, należałoby urządzić wychowawcze ośrodki dla dzieci żydowskich z Niemiec. Miałyby one charakter nowoczesnych, zeuropeizowanych kolonii o silnym oddziaływaniu na otoczenie. Żydzi ze wschodu i zachodu dawaliby sobie wzajemnie to, co każdy z nich w ciągu wieków utracił: oni nam poczucie stabilności i zrośnięcia się z ziemią, my im — szerokie horyzonty humanizmu. Powołany do życia uniwersytet stwarzałby możliwość kształcenia młodzieży żydowskiej z Niemiec. Praca kolonistów i nauczycieli dawałaby dzieci nie tylko przybyszom z Niemiec, lecz przygotowałaby generalnie grunt do urzeczywistnienia w przyszłości idei państwa żydowskiego. Żydzi niemieccy, wychowani na nowo w oparciu o stare tradycje, mimo trwającego nadal uzależnienia wewnętrznego od kultury niemieckiej uczyniliby przecież mały krok ku żydowskiej Palestynie lub też żyliby w kraju przejściowym życiem narodowo wolnym, aktywnym, bogatym w perspektywy.*

*Do roli państwa pośredniego Polska nadawać się będzie szczególnie, gdyż według wszelkiego prawdopodobieństwa możliwości gospodarcze tego kraju będą lepsze i bardziej sprzyjające kolonizacji niż w starej austriackiej Galicji. Można też liczyć na pomoc Żydów amerykańskich. Spośród Żydów, przesiedlonych z zachodu, z roku na rok dojrzewać będą działacze rozumiejący potrzebę własnej ojczyzny — ci przesiedlą się do Palestyny. Idea kraju pośredniego leży w sferze możliwości jej urzeczywistnienia. Kraju stanowiącego wielki filtr, przez który w drodze wieloletnich procesów wyklaruje się czysty naród żydowski. Tak odbędzie się powolne, ale i możliwie najmniej bolesne oderwanie się niemieckich Żydów od kultury niemieckiej i ich powrót do wspólnego pnia kultury żydowskiej. Ponad żydowską niemczyzną do czystego judaizmu. Przez Polskę do Palestyny".*

Już w dwa miesiące po ukazaniu się zreferowanych wyżej wywodów Lemma zareagował na nie na łamach tego samego pisma inny publicysta pochodzenia żydowskiego, Edward Färber. Według niego pomysł Lemma jest całkowicie nierealny:

*„Na rozpaczliwe pytanie o drogę wyjścia* — pisze — *pada odpowiedź trudna do zrozumienia: dzieci żydowskie miałyby być wychowywane po żydowsku w kolonii, powołanej do życia na ziemiach polskich. Byłaby to stacja przejściowa w drodze do Palestyny. Ale — gdzie są nauczyciele? Jeśli są nie wyłącznie żydowscy, lecz dwunarodowi, jak mają nauczać jedności i dawać przykład swym życiem? Czy akurat polscy Żydzi, jak sądzi Lemm, nadawaliby się do tego? Co do mnie, wolałbym powierzyć swe dzieci Niemcowi, niż żydowskiemu rebe z dzisiejszej Polski".*

W zakończeniu swej repliki, Färber stwierdza melancholijnie:

*„My, Żydzi, znamy nasze wady. Zwalczamy je. Znamy też zalety i możemy ich dowieść, ale dobrzy ludzie ze świata nieżydowskiego takich dowodów nie potrzebują, a źli — żadnym dowodom nie uwierzą".*

Sam Alfred Lemm wracał jeszcze do tego tematu później, aż do czasu, gdy okrzepł kształt polityczny i geograficzny niepodległej Polski i znucie wszelkich pomysłów co do urządzania na polskich ziemiach kolonii stało się rachunkiem bez gospodarza.

Publicystyka polska ledwie odnotowała wystąpienia Alfreda Lemma. Lakonicznie polemizował z nimi tygodnik Naczelnego Komitetu Narodowego w austriackim wówczas Piotrkowie, „Wiadomości Polskie"; ex post odnotował J. P. Ardeschah (Kaczkowski) w roku 1920 w „Nowym Przeglądzie Literatury i Sztuki". Na ogół rzecz cała bardzo szybko znalazła się w lamusie ciekawostek historycznych, w panopticum nie donoszonych pomysłów, dziwacznych koncepcji, amatorskich recept na poprawianie świata. Z tej pachnącej kurzem rupieciarni wyciągnąłem ją ku uciesze miłośników i zbieraczy takich właśnie historycznych okruszyn.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

**Zapomniany epizod I wojny światowej**

# Wśród obłoków śmierci

W ścianach późnorenesansowego kościoła św. Anny w Bolimowie tkwią pociski artyleryjskie różnego kalibru — jedne z tych, które spadły na miasteczko w początkach 1915 roku.

Pierwsza wojna światowa — zwana wówczas „europejską", a później przez niektórych „wszechświatową" — przetaczała się przez Bolimów kilkakrotnie. Po raz pierwszy na przełomie września i października 1914 roku, gdy wojska niemieckie parły pod Warszawę — w pierwszych dniach października udało im się zbliżyć do niej od południowego zachodu na odległość zaledwie kilkunastu kilometrów. Był to jednakże sukces krótkotrwały. Niebawem wojska rosyjskie wyparły Niemców z rejonu Warszawy, odrzucając ich w początkach listopada za Łódź. Szczęśliwie i to przesunięcie frontu nie spowodowało w Bolimowie, ani w góle na zachodnim Mazowszu, większych zniszczeń. W sąsiednim Sochaczewie *„od bomb z aeroplanów ucierpiało kilka domów"* — donosił „Kurier Warszawski".

Ale już w pierwszych dniach grudnia 1914 roku wojska niemieckie zmusiły Rosjan do odwrotu. Trwał on aż po trzecią dekadę tego miesiąca, kiedy to linia frontu ustaliła się nad dolną Bzurą i Rawką. W ten sposób rozpoczęły się kilkumiesięczne walki pozycyjne, które trwać miały aż po połowę lipca 1915 roku. Charakteryzowała je absurdalna wręcz zaciekłość i bezwzględność. Przez wiele tygodni w komunikatach wojennych powtarzały się nazwy miejscowości i wsi, o których — może poza Sochaczewem — nikt dotąd w szerokim świecie nie słyszał. Sam Bolimów był osadą, liczącą sobie 600, może 700 mieszkańców, o której — tak jak i dziś — każdemu wolno było nie wiedzieć, że znajduje się w samym środku kraju, w połowie drogi między Łowiczem i Żyrardowem, trochę bliżej Skierniewic niż Sochaczewa.

Toczono wielodniowe boje o każdy okop, w trakcie których ginęły setki ludzi. Za sukces uważano zajęcia lub odebranie przeciwnikowi zrujnowanej przez artylerię wsi lub spalonego folwarku. Bolimów przeżywał chwile zagłady.

*„Gdy od kanonady jęły się trząść ściany w domach, mieszkańcy szukali schronienia w piwnicach i tam jednak nie było bezpiecznie (...)* — pisał „Kurier Warszawski". — *Wtedy szukano ratunku w murach dwu kościołów, które posiada Bolimów. Kanonada bez przerwy trwała dwie doby, na trzeci dzień pociski zaczęły padać na kościoły, zrywając dachy i zabijając wiernych. Ludzie w bezgranicznej panice, śród ciemnej nocy, rozświetlanej tylko wybuchami szrapneli, uciekali z nieszczęsnej osady".*

Nieustannie podejmowane przez Niemców próby przełamania frontu kończyły się niepowodzeniem. Zapewne właśnie to zadecydowało, że nie gdzie indziej, a pod Bolimowem, wojska niemieckie zastosowały podczas jednego z ataków — a było to 31 stycznia 1915 roku — pociski wypełnione bromkiem ksylilu — trującą cieczą, wywołującą silne łzawienie. Próba ta spowodowała wśród Rosjan znaczne zamieszanie, choć bez spodziewanych przez Niemców strat. Niemniej właśnie broń chemiczna miała w kilka miesięcy później zadecydować o przewadze wojsk niemieckich na tym odcinku frontu.

Nie wiemy dokładnie, kiedy rozpoczęli Niemcy pracę nad bronią chemiczną. Niewątpliwie trwały one już w chwili wybuchu wojny, a kierował nimi znany chemik, profesor Fritz Haber z berlińskiego Instytutu Fizykochemicznego im. Cesarza Wilhelma.

Wkrótce po pierwszym użyciu gazu na froncie zachodnim (22 kwietnia 1915 r.) rozpoczęto przygotowania do ataku gazowego nad dolną Bzurą i Rawką. Na kilkunastokilometrowym odcinku frontu (12 kilometrów w linii prostej) od Tartaku Bolimowskiego po Białynin — lub jak podają inni po Suchą — umieszczono w okopach tysiąc dwieście wysokich na około półtora metra butli wypełnionych sprężonym chlorem. Z nich miano wypuścić gaz wówczas, gdy wiatr będzie wiał w kierunku pozycji wroga. Mechanizm planowanego ataku był więc bardzo prosty, a jak się później okazało równie bardzo zdradliwy. Tymczasem przyszło jednak czekać Niemcom aż do końca maja na odpowiedni kierunek wiatru.

Wypełnione chlorem butle stały w niemieckich okopach co najmniej kilkanaście dni, w ciągu których walki na tym odcinku frontu nie ustawały. Co jakiś czas Rosjanom lub Niemcom udawało się na jakimś niewielkim odcinku wedrzeć do nieprzyjacielskiego okopu i zająć go na dłużej lub krócej. Brano do niewoli jeńców, będących na każdej wojnie źródłem informacji. Trudno więc przypuszczać, że w tych warunkach nie dotarły do Rosjan żadne wiadomości o zagadkowych poczynaniach przeciwnika. Prawdopodobnie zostały przez nich zlekceważone, jako coś zupełnie niezrozumiałego lub nieprawdopodobnego. Wszak była to broń niespodziewanie nowa, której charakter nie mieścił się w ówczesnych pojęciach walki. W każdym razie użycie gazu było dla Rosjan zupełnym zaskoczeniem, co wskazuje, że Niemcom udało się utrzymać w tajemnicy, jeśli nie całe przedsięwzięcie, to przynajmniej istotę nowej broni.

Długo odkładany atak gazowy nastąpił 31 maja 1915 r., nad ranem między godziną drugą a trzecią lub jak podają inni około godziny czwartej. Wypuszczony z butli chlor utworzył żółtozieloną chmurę, która sunąc z wiatrem tuż nad ziemią, dotarła na oddalone o 80 do 600 kroków pozycje rosyjskie. Zupełnie zaskoczeni Rosjanie nie wiedzieli, jak zachować się w obliczu nieznanego sobie niebezpieczeństwa. Sądząc, że jest to zasłona dymna poprzedzająca atak na bagnety, chowali się do okopów. A tam stężenie gazu — chlor jest przecież cięższy od powietrza — było największe.

*„Mdły, słodkocierpki gaz tamował oddech w gardle, wywołując u ludzi duszenie się* — zeznawał żołnierz rosyjski, uczestniczący w walkach nad Rawką. — *W ustach zjawił się cierpki, metalowy smak, błony śluzowe dróg oddechowych ulegały zapaleniu, wszystkie wewnętrzne organy (...) męcząco paliły. Ci żołnierze, którzy więcej od innych wciągnęli do płuc śmiercionośnego gazu (...) wkrótce tracili przytomność i umierali. Twarze ich stawały się sine i puchły, zaś twarze innych czerniały, jak gdyby zostały zwęglone. U innych z gardła, nosa i uszu trysnęła krew, z ust sączyła się krwawa piana. Równocześnie ciekły łzy (...), bolały oczy, pojawiały się mdłości i wymioty, a następnie bolesny kaszel i płucie krwią".*

Gdy chmura gazowa oddaliła się za pozycje rosyjskie, rozpoczęło się niemieckie natarcie.

*„Żołnierze, którzy pozostali w okopach, cierpiący i chorzy, pozbawieni sił, dźwignęli karabiny, aby odeprzeć atak, ale wszystkie części metalowe w karabinach zardzewiały".*

W stronę nadciągających Niemców padły jedynie pojedyncze strzały.

Nie wiemy dokładnie, ilu żołnierzy poległo tego dnia w rejonie Bolimowa. Liczba zagazowanych Rosjan sięgnęła ponoć — jak podają niektóre źródła — 11 tysięcy. Inni obliczają, że straty rosyjskie przekroczyły 9 tysięcy ludzi, z czego około 6 tysięcy martwych. Opary chloru dotarły na odległość 30 kilometrów od linii frontu, powodując także zatrucia wśród ludności cywilnej.

Po raz drugi użyto chloru nad Bzurą i Rawką w dniu 12 czerwca 1915 roku, na krótkim, czterokilometrowym odcinku frontu od Kozłowa Biskupiego po Suchą. Atak ten nie spowodował w szeregach rosyjskich strat tak wielkich, jak poprzedni. Dokładny jego opis odnajdujemy we wspomnieniach Maxa Wilda, niemieckiego oficera wywiadu, któremu polecono dostarczyć pod Bolimów profesora — wynalazcę broni chemicznej. Wild nie podaje jego nazwiska. Mamy jednak prawo przypuszczać, że był to sam Fritz Haber.

Wypuszczenie gazu poprzedzał obstrzał rosyjskich tyłów granatami. Po przejściu chmury gazowej, na milczące pozycje rosyjskie ruszyła niemiecka piechota. Za żołnierzami podążył strzeżony przez Wilda profesor Fritz Haber.

*„To, co zobaczyłem idąc* — napisał Max Wild — *to była suma zgrozy, która urągała ludzkiej fantazji. Ludzie zmagający się w śmiertelnej walce, wlekli się na czworakach i jak w obłąkaniu rwali na ciele odzież. Jeden leżał, wszczepiwszy palce w ziemię, drugi obok z szeroko rozwartymi źrenicami. W oczach jego tkwiło przerażenie przed niepojętym. Świszczące zatrute oddechy mówiły o niezmiernej męce konających. (...) W dalszej drodze widzieliśmy grozę śmierci gazowej w jeszcze straszliwszej postaci. Nigdzie tchnienia życia. Martwi oficerowie, martwi żołnierze leżeli skurczeni jeden obok drugiego. W twarzach ich zastygła męka cierpienia. Śmierć zaskoczyła jednych czuwających, innych we śnie".*

Widok ten wywarł na żołnierzach niemieckich wstrząsające wrażenie, skłaniając ich do niesienia Rosjanom pomocy. Zbierali zatrutych z pola walki i odnosili na tyły.

*„To nie było natarcie* — wspominał Max Wild — *ale współczucie i pomoc dla haniebnie potraktowanego przeciwnika, dla umęczonego człowieka. Te akty litości były jedyną rzeczą, która im w tym dniu nie pozwoliła zwątpić w ludzkość".*

Ostatni, trzeci atak gazowy nad Rawką nastąpił 6 lipca 1915 r., kończąc się tragicznie dla samych Niemców. Nagła zmiana kierunku wiatru sprawiła, że gazowy obłok powrócił na ich pozycje, przynosząc śmierć 1200 żołnierzy. W kilka dni później — 15 lipca 1915 roku — niemiecki napór zmusił Rosjan do opuszczenia pozycji nad dolną Bzurą i Rawką. 5 sierpnia wojska niemieckie wkroczyły do Warszawy.

Pamięć o walkach nad Bzurą i Rawką szybko uległa zatarciu. Niewiele o nich napisano, a tragedia drugiej wojny światowej wkrótce odsunęła w cień okrucieństwa tej pierwszej — z biegiem czasu zupełnie odeszły w zapomnienie. Ich ślady trwają niezauważane. A są to przecież nie tylko pociski artyleryjskie tkwiące wysoko w murach bolimowskiego kościoła. W Bolimowie zachowała się rzecz unikalna — butla po użytym w 1915 roku chlorze. Została ona przecięta na dwie części, które zainstalowano jako dzwony alarmowe na wypadek pożaru. Jedną zawieszono w rynku, drugą u zbiegu ulic Senatorskiej i Dworskiej. A na peryferiach osady, w rozwidleniu dróg, znajduje się niewielki cmentarz wojenny z malowniczą kaplicą o cebulastym dachu i dwoma kolumnami w fasadzie. Spoczywają tu w zbiorowych mogiłach ofiary walk z 1914 i 1915 r., żołnierze rosyjscy i niemieccy, wśród nich walczący po obu stronach Polacy.

Cmentarz ten jest zupełnie zaniedbany — zarośnięty krzakami służy jako miejsce pijackich spotkań.

Cmentarzy takich jest na tych terenach kilkanaście i prawie wszystkie są zupełnie zaniedbane, i bardzo zniszczone przez miejscową ludność, od lat traktującą je jako źródło surowca budowlanego, bądź pastwiska. Jakże często na którymś z nich zobaczyć można rozbitą tablice z fragmentem napisu: *„NIEZNANY ŻOŁNIERZ ARMII..."*. Wiele jest nad Bzura i Rawką takich właśnie, podeptanych grobów Nieznanego Żołnierza.

PAWEŁ FIJAŁKOWSKI

# Polemiki • Listy • Opinie

## Z DZIEJÓW OSIEDLA IM. JÓZEFA MONTWIŁŁA-MIRECKIEGO

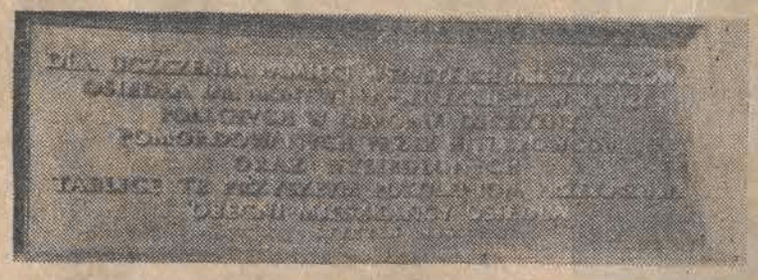

Jedno z pierwszych osiedli w Łodzi na Polesiu Konstantynowskim wybudowano w latach 1928—31. Osiedle było przeznaczone dla robotników. Dlatego też nazwane zostało im. Józefa Anastezego Montwiłła-Mireckiego, wybitnego przedstawiciela Polskiej Partii Socjalistycznej.

W drodze konkursów, przygotowania planów, wykonania kosztorysów ostatecznie zawarto umowę na budowę kolonii z firmą łódzką I. Tyller i z Krajowym Towarzystwem Budowlanym „Katebe". Przedstawiciele tych firm oświadczyli, że budowę 20 domów kolonii mieszkaniowej ukończą całkowicie w lutym 1929 r. „w stanie surowym". 11 sierpnia 1928 r. odbyła się uroczystość wmurowania pierwszych cegieł w fundamenty.

W czasie posiedzenia Magistratu pod przewodnictwem prezydenta Ziemięckiego 14 lutego 1929 r. załatwiono szereg spraw związanych z wykończeniem kolonii mieszkaniowej na Polesiu Konstantynowskim. Magistrat zatwierdził projekty konkursów i umów na wykonanie robót instalacyjno-oświetleniowych i kanalizacyjno-wodociągowych. Teren kolonii miał być oświetlony lampami gazowymi, a mieszkania elektrycznymi z tym, że wewnątrz mieszkań będą jeszcze instalacje gazowe do kuchenek.

Na kolejnym posiedzeniu Magistratu w listopadzie 1932 r. pod przewodnictwem wiceprezydenta Stanisława Rapalskiego postanowiono ufundować tablicę pamiątkową na cześć Józefa Montwiła-Mireckiego. 15.1.1933 r. o godz. 12 nastąpiło uroczyste odsłonięcie tablicy, którą wykonał artysta rzeźbiarz Czeczot. Umieszczono ją w ścianie domu przy ul. Srebrzyńskiej 75. Odsłonięcia dokonał prezydent B. Ziemięcki.

Osiedle im. Józefa A. Montwiłła-Mireckiego nie stało się kolonią mieszkaniową, robotniczą, jak to projektowano. Mieszkania okazały się za drogie dla robotników.

W czasie okupacji hitlerowskiej, w styczniu 1940 roku wszystkich mieszkańców osiedla wyrzucono z domów. A przedtem — już od listopada 1939 r. wysiedlono inteligencję. Wprowadzili się tu Niemcy.

Po wojnie niektórzy powrócili do swoich mieszkań, wielu zginęło w walkach z hitlerowskim okupantem, w obozach koncentracyjnych, inni w ciężkich warunkach okupacyjnych stracili zdrowie prowadząc tajne nauczanie.

Wielu w osiedlu mieszkało ludzi wybitnych, zasłużonych nie tylko dla Łodzi, ale kraju. Wśród nich należałoby wymienić: Włodzimierza Gralińskiego, Karola Hillera, Zygmunta Kazimierczaka, Katarzynę Kobro, Mariana T. Minicha, Antoniego Purtala, Feliksa Paszkowskiego i jego żonę, Annę Rynkowską, Władysława Strzemińskiego, Adama Walczaka, Stefana Wegnera, rodzinę Zajdlów i wielu, wielu jeszcze innych.

Komitet Osiedlowy chce uwiecznić pamięć o nich w specjalnej Izbie Pamięci, w której będzie też wyłożona księga pamięci z fotografiami nieżyjących już zasłużonych mieszkańców osiedla. W styczniu 1986 r. wmurowano także w ścianie domu przy ul. Srebrzyńskiej 75 tablicę pamiątkową ku czci „poległych w obronie ojczyzny, pomordowanych przez hitlerowców oraz wysiedlonych. Tablicę tę przyszłym pokoleniom przekazują obecni mieszkańcy osiedla".

NATALIA CANOVA

## KOŚCIERZYN W OKOWACH SZTUKI (25—26.10.1986)

Sobota 25 października, w perspektywie krajobrazu pałacyk z okresu napoleońskiego, a tu chmara rozwrzeszczanych postaci wysiada z autobusu. Kościerzyn zmuszony jest znieść kolejny, aczkolwiek nie ostatni, najazd poetów i plastyków zrzeszonych w Klubie Pracy Twórczej przy Wojewódzkim Domu Kultury w Sieradzu. Trzodkę sekcji plastycznej prowadzi Elżbieta Niedzielska, natomiast wrażliwych — przyklejonych do papieru — poetów, Jan Krzysztof Szczęsny, dusza seminarium w Kościerzynie.

Czuje się specyficzne napięcie skondensowanych potworków, które za miejsce pobytu obrały sobie ciało człowieka. Oddychamy, ktoś powiedział, że czym dłużej, tym więcej oddamy splugawionych prawd o życiu.

Psy poszły w las — plastycy w plener, potykają się o powykrzywiane lub proste linie — ta twarz płacze, ta twarz się śmieje.

Jak trudno jest spojrzeć w krzywe zwierciadło?

Zawsze sobie obiecywaliśmy, że będziemy sobą! Czy jesteśmy?

Wyznawcy Wyspiańskiego, Kossaka, otuleni w palety i pędzle, łaszczą czyste płótna, co na nich odbiją?

Sławek Iwański — wykładowca WSSP w Łodzi — po zapoznaniu nas z techniką sitodruku, ocenia prace zgłoszone na konkurs plastyczny. Kto wygra? Joanna Czupryniak, absolwentka zduńskowolskiego Liceum Sztuk Plastycznych. Szczupła szatynka — podoba się chłopcom. Dyrektor Wojewódzkiego Domu Kultury w Sieradzu wręcza laureatce zasłużoną I nagrodę. Piękny album o Sieradzu otrzymał za „Wiejską sobotę" Leon Wiesław Siwek. Wiersz ten uznał za najlepszy poeta Józef Baran.

Zajrzyjmy do ludzi z kartkami — te kartki nigdy nie były białe, długopis skacze wielkimi myślami do kropki. Plamy na mapie bywają białe, a przecież coś tam jest, (ktoś też).

Leśmian — polski symbolista — przeznaczył językowi poezji wagę słów jedynych, odnajdujących się tylko w wierszach, ten język, inny niż język prozy, tworzony przez pokolenia, staje się wymowny i zrozumiały — zbierający całą śmietankę z odczuć i przemyśleń. Tak bardzo jesteśmy głodni na 44.

Rzemieślnik pióra parający się nim z przekonania, to ktoś odpowiedzialny za ślad na papierze, mający torsje, zmuszany do ugięcia karku w jakimkolwiek przejawie. Można pisząc rozbijać myśl na dziesiątki wątków, mając jednak na uwadze esencję swoich dążeń!

Seminarium w Kościerzynie trwało dwa dni, stanowczo za krótko dla nas, zbyt długo dla gospodarzy. Wyjeżdżając zabraliśmy bagaż nowych wrażeń, głębokim echem odbiło się u nas spotkanie z zastępcą redaktora naczelnego „Odgłosów" Edmundem Lewandowskim, z którym zmierzyliśmy się w utarczce słownej nt. naszego charakteru narodowego, natomiast z uznanym poetą i redaktorem krakowskich „Wieści", Józefem Baranem, przegadaliśmy noc — owici poezją.

Zarówno poeci, jak i plastycy z Klubu Pracy Twórczej przy Wojewódzkim Domu Kultury w Sieradzu zostali, za sprawą atmosfery seminarium, obdarzeni zapasem sił do zmagań z Krzywymi Lustrami. Wielu z nas tu, w Kościerzynie, udało się nazwać to, co w ostatnich miesiącach wewnątrz nas walczyło o samookreślenie.

MAREK PELIZG
Sieradz

## CZYTELNICY — REDAKCJA

**JERZY MELICHA, Łódź.** Gratulacje Andrzejowi Karolowi przekazaliśmy. Serdecznie dziękuje Przy okazji wyjaśnia, że pomylił pan dwie różne sprawy. Po pierwsze — Andrzej Karol w felietonie „O kompleksie prowincji i stołecznym wdzięku" pisał o dwu różnych nagrodach: o nagrodach prezesa Rady Ministrów za twórczość dla dzieci i o nagrodach prezesa Komitetu do Spraw Radia i Telewizji. W tym ostatnim przypadku nagrody otrzymali Wiesław Machejko i „Se-Ma-For". Po drugie natomiast — felieton rządzi się innymi prawami niż na przykład „Kronika kulturalna". Jej zadaniem jest informować i w przypadku nagrody dla Wiesława Machejki i „Se-Ma-Fora" zadanie to zostało wypełnione. Nie ma więc powodu, aby były o cokolwiek pretensje do Andrzeja Karola.

Honoraria należne za teksty drukowane w „Odgłosach" wypłacane są zawsze każdego 5 kolejnego miesiąca za numery pisma opublikowane w poprzednim miesiącu. Jeśli autor nie odbierze pieniędzy w kasie Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego, to przekazywane one są pocztą na jego adres. A to zabiera trochę czasu, jako że poczta nie pracuje najszybciej, a kasa też potrzebuje czasu na wysłanie honorariów do autorów wielu różnych pism wydawanych przez Łódzkie Wydawnictwo Prasowe.

Za pozdrowienia serdecznie dziękujemy.

**CZESŁAW ŻYLIŃSKI, Łódź.** Nadesłał pan sporo różnych informacji uzupełniających lub prostujących dane zawarte w artykułach Lucjusza Włodkowskiego o najnowszej historii Polski.

Józef Światło był wicedyrektorem X Departamentu MBP, ale w różnych publikacjach często, chyba dla uproszczenia, można spotkać określenie: „dyrektor".

Leon Stasiak istotnie odwołany został z funkcji I sekretarza KW PZPR w Poznaniu 12 września 1956 roku. W tym dniu na plenum KW PZPR wybrano I sekretarzem Jana Izydorczyka, który 3 listopada złożył rezygnację na posiedzeniu Egzekutywy KW PZPR, rezygnację przyjęło plenum KW 15 listopada 1956 roku.

Jakub Berman złożył rezygnację na posiedzeniu Biura Politycznego KC PZPR 4 maja 1956 roku, a VII Plenum KC PZPR rezygnację tę przyjęło.

Czesław Kozłowski w artykule „II zjazd PZPR" opublikowanym w nr 4 „Z Pola Walki" z 1984 roku podaje, że „w grudniu 1953 r. kierownikiem wydziału rolnego został Mieczysław Jagielski". Dlaczego w jego oficjalnie publikowanych życiorysach podawano, że był kierownikiem tego wydziału od 1954 roku, trudno powiedzieć. Może dla uproszczenia, bo grudzień to koniec roku.

Istotnie przekazany 22 lipca 1955 roku do użytku Pałac Kultury i Nauki przez pewien czas nosił imię Józefa Stalina.

Wymieniony w jednym z artykułów współpracownik Władysława Gomułki w Ministerstwie Ziem Odzyskanych nazywał się Włodzimierz Lechowicz i zmarł niedawno w wieku 75 lat.

Władysław Kruczek był I sekretarzem KW PZPR w Bydgoszczy od 28 listopada 1952 roku do 25 października 1956 roku. Zatem 7 lipca 1956 roku na naradzie, na której dyskutowano raport komisji Edwarda Gierka o wydarzeniach poznańskich, nie mógł występować jako sekretarz KW PZPR w Rzeszowie. Autor zasugerował się tekstem Wiesława Władyki i Zbysława Rykowskiego „Na twardo czy na miękko" z „Polityki" (nr 34 z 23 sierpnia 1986 roku), gdzie wspomina się o Władysławie Kruczku jako sekretarzu KW z Rzeszowa. Po Władysławie Kruczku I sekretarzem KW PZPR w Bydgoszczy został 25 października Jan Ptasiński, który 6 listopada tego roku złożył rezygnację, a Egzekutywa KW powierzyła pełnienie tej funkcji Leonowi Wiśniewskiemu. Pełnił ją do 23 grudnia 1956 roku, kiedy to wybrano I sekretarzem Feliksa Baranowskiego.

Czesław Kozłowski napisał w „Rzeczywistości", w artykule pt. „Narastanie kryzysu 1955—1956" (nr 40 z 5 października 1986 r.), że prokurator wojskowy, który ustąpił na początku 1956 roku nazywał się Stanisław Żarko-Żarkowski. Czesław Żyliński — że Stanisław Zarako-Zarakowski. Ta druga pisownia wydaje się być prawidłowa.

Rozszerzając podane informacje Czesław Żyliński pisze, że Stanisław Radkiewicz był ministrem PGR do kwietnia 1956 roku, a po nim stanowisko to objął Mieczysław Moczar. Nowym ministrem sprawiedliwości została wówczas Zofia Wasilkowska — pierwsza kobieta w rządzie PRL. Ministrem spraw zagranicznych do kwietnia 1956 roku był Stanisław Skrzeszewski.

Czesław Żyliński nie zgadza się ze sformułowaniem, jakoby zespół Jerzego Turowicza opuścił redakcję „Tygodnika Powszechnego", gdyż sugerowałoby to, że zrobił to dobrowolnie, a tymczasem stało się tak na skutek decyzji władz, które pismo to przekazały do dyspozycji PAX.

Dziękujemy za pozdrowienia.

**LECH JAN JAMKA, Düsseldorf.** Miło nam, że pan, choć nie we wszystkim się z nami zgadza, to chętnie czyta „Odgłosy". Dziękujemy za pozdrowienia.

REDAKTOR DYŻURNY

## MARCIN MOLSKI PISZE WIERSZE

Rympis wielkopolski Marcin Molski (1751—1822) nie jest znany w literaturze polskiej. Nie wymieniają go też encyklopedie i słowniki. Nie zajmują się nim krytycy. Ale był czas, że swoją twórczością rymowaną zaprzątał umysły wszystkich, począwszy od króla i najwyższych dostojników państwowych, a skończywszy na prostych ludziach, z którymi na co dzień się stykał. Toteż stał się popularnym do tego stopnia, iż zaczęto go traktować jako niezwykle uzdolnionego poetę. Nawet znany pisarz Kazimierz Brodziński uległ ogólnemu zachwytowi nad wierszami pana Marcina.

Pochodził spod Śremu w Wielkopolsce. Uczył się najpierw w szkołach poznańskich, a później — chcąc się poświęcić karierze wojskowej w Szkole Rycerskiej w Warszawie. Brał udział w Konfederacji Barskiej i w Insurekcji Kościuszkowskiej, gdzie dosłużył się stopnia brygadiera. W 1794 r. walczył pod Warszawą, następnie towarzyszył generałowi Henrykowi Dąbrowskiemu w wyprawie wielkopolskiej, a później w marszu jego legionów do Francji. Po powrocie do kraju osiadł na stałe w Warszawie. W uznaniu zasług odznaczono go wieloma orderami, a w 1807 r. mianowano go członkiem Królewskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk i komisarzem wojennym.

*„Molski rymował przez lat 30 z górą* — pisali współcześni — *a że dotykał najżywotniejszych stron narodu, chwalił najwydatniejsze postacie, zasługą, talentami, znaczeniem, zyskał tak szeroki rozgłos w całym kraju, jaki zdobywa sobie najpotężniejszy talent lub geniusz".*

Każdy jego wierszyk czytano chciwie, przepisywano i rozpowszechniano w granicach dawnej Rzeczypospolitej. Rymami obdarzał wszystkich, począwszy od swojej służącej Łusi, a skończywszy na królu — carze Aleksandrze, któremu oddając najgłębszy hołd, porównywał go do Jana Sobieskiego. Oburzony tym jeden ze współczesnych rymopisarzy szlacheckich tak określił Molskiego:

*„Idzie Molski, w ręku oda,*
*Dla Chrystusa, dla Heroda,*
*A w zapasie wierszów trzysta,*
*Dla przyszłego antychrysta".*

Chcąc zaskarbić sobie względy ostatniego króla Rzeczypospolitej i zdobyć uznanie i sławę w literaturze, napisał wielki poemat o Stanisławie Auguście Poniatowskim pt. „Stanislaida", opisujący mową rymowaną wydarzenia w Polsce, jakie miały miejsce od 1796 r. Zbyt długo trwająca praca nad tym dziełem spowodowała, iż wręczył ją królowi po ostatnim rozbiorze Polski, gdy zrzekł się już tronu. Ex-monarcha przyjął pracę życzliwie, ofiarowując jej autorowi złotą tabakierkę ze swoim popiersiem. Utwór ten, pełen przeinaczeń historycznych i pochlebstw został ogłoszony drukiem w Warszawie w 1830 r.

W 1855 r. wnuk wierszopisa Wiktoryn Radliński wydał pisma Molskiego w trzech tomikach z popiersiem i życiorysem autora, ale w zbiorze tym znalazły się tylko okolicznościowe wierszyki, a większe utwory treści historycznej, jak „Stanislaida" zostały w nim zupełnie pominięte.

Utworem zapewniającym rymopisowi rozgłos w kraju, miały się okazać napisane w 1821 r. „Życzenia noworoczne". Pod względem artystycznym nie przedstawiały one wielkiej wartości. Były to zwykłe nieudolnie skomponowane wierszyki o rymach częstochowskich. Ale zasługiwały na uwagę pod innym względem. Mianowicie były adresowane do najwyższych dygnitarzy państwowych, nie wyłączając samego króla i jego ministrów, zaś w treści obok pochwał najczęściej, występowały także nagany i napomnienia za niewłaściwe postępowanie, za nieodpowiedni stosunek do podległych ludzi.

Oto kilka życzeń noworocznych rymopisa, pisanych według zasad językowych sprzed 160 lat:

*„Wdzięczne Serca, Oycze Ludu*
*Masz, boś raczył istność nadać.*
*Do dobra dołóż i trudu,*
*Racz też i z Ludem pogadać.*
*Lud wierny chce Ci powiedzieć*
*Swoy ucisk obok Życzenia.*
*Trzeba Ci o wszystkim wiedzieć*
*W czem ulżyć iego Cierpienia".*

Życzenie to wraz z innymi hołdami noworocznymi otrzymał „Nayiaśniejszy Król — Car Aleksander".

Przygotował Marcin Molski życzenie dla „J. O. Xsięcia Namiestnika gen. Józefa Zajączka":

*„Piastunie Oycowskiey Władzy,*
*Wzniesiony wysoko przed Światem*
*Będzie dla Twey Sławy gładzej*
*Pomniąc w Rządach żeś Współ Bratem".*

Innym dygnitarzom autor nie szczędził przykrych słów krytyki.

Dyrekcji Poczt przypominał:

*„Trąbko wołasz: umkniy z drogi,*
*Każdy się natych miast chroni,*
*Zbierasz Dochód bardzo mnogi,*
*Przestań wołać, dostaw Koni;"*

Nie sposób wymienić wszystkich instytucji państwowych i społecznych, które rymopis spod Śremu wspomniał w swych życzeniach noworocznych.

Życzenia na 1821 rok Marcin Molski kończył tak:

*„Przy pomocy twoiey, Boże,*
*Nowy Rok lepszym być może".*

Marcin Molski pisał mową wiązaną o wszystkim, co mu tylko do głowy przyszło. W swych wierszach poruszał zarówno ważkie problemy narodowe i społeczne, jak błahe sprawy, osobiste, rodzinne. Nie bez racji mówiono o nim powszechnie:

*„Jakikolwiek jest los Polski,*
*Zawsze wiersze pisze Molski".*

Zmarł w marcu 1822 r., w wieku 71 lat.

FRANCISZEK LEWANDOWSKI

## RAPORT Z GÓR

Punta des Inka to maleńka górska osada argentyńska leżąca na wysokości 2 700 m., niedaleko granicy z Chile. Stanowiła ona, dla naszej gdańsko-łódzkiej wyprawy, początek górskiej działalności. Z osady tej, przypominającej swym klimatem i scenerią obrazy z filmów kowbojskich, wyruszyła maleńka karawana mułów niosąca nasz bagaż. Ciekawi gór, ciekawi przyrody, weszliśmy w Dolinę Horcones żądni wielkich przeżyć.

Rejon Aconcagua okazał się przedziwną grupą górską powstałą w przeważającej części ze skał osadowych stanowiących o kruchości masywu, a tym samym o jego krajobrazie. Znikoma ilość opadów, zerowa wilgotność powietrza, intensywność promieniowania słonecznego oraz wiejące bardzo silne wiatry, w specyficzny sposób uformowały krajobraz i w decydujący sposób wpłynęły na wyniszczenie roślinności. Nie doświadczy się tu źdźbła trawy, nie dostrzeże się tu owada, ptaka czy gryzonia, nie zawita tu król andyjskich przestworzy — kondor. Tylko wiatr świstem ożywia i uprzykrza życie przybyłemu tu andyniście.

Bazę założyliśmy na Platzo de Mulas, na wysokości 4 200 m. popod zachodnią ścianą Aconcagua, wśród wielkich złomisk skalnych. Nieco powyżej bazy, w cieniu skalistych turni, w skupieniu, jeden przy drugim sterczą białe kaptury penitentów, czyli śniegów pokutujących, które niczym mnisie zgromadzenie, nie śmiąc wznieść swe oblicza na bliski szczyt Aconcagua, tkwią pokorne i nieme, w tym poddańczym uwielbieniu. Popod nimi lodowiec wytapia się tworząc w godzinach popołudniowych potok, dostarczający nam wodę.

Widok góry od strony bazy, na zachodnią ścianę, prezentuje się mało okazale, pomimo 7 tys. m wysokości, brak jej lodowca, a tym samym charakteru wysokogórskiego.

Od samego początku naszego tam pobytu rozpoczęliśmy intensywną aklimatyzację, wchodząc na coraz wyższe biwaki, po czym pomimo wiejącego bardzo silnego wiatru, zwanego tu viento blanco, weszliśmy, od strony półn.-zach., na szczyt tej najwyższej góry obu Ameryk o wysokości 6 935 m.

Następnie planowaliśmy ponowne wejście, lecz południową ścianą, która swą wyniosłością i śmiałością kształtów urzeka wszystkich, którzy w tamtym rejonie działają. Lodowiec południowej ściany schodzi nisko, obrywając się w swej dolnej części labiryntem szczelin. Pozornego kolorytu dodają porozrzucane na tej ścianie pasy progów skalnych, ponad którymi ciekawie wychylają swe zieleniejące oblicza seraki, złowrogo skrzące się w promieniach słońca.

Tegoroczna, wyjątkowo silna penetracja słońca wytapia lód ze szczelin skalnych progów, skąd pozbawione lepiszcza wielkie bloki walą się w dół ryjąc gładź lodową, wzbijając fontanny pyłu lodowego. Wytopiona woda wymieszana z pyłem skalnym cieknie w formie brunatnego błota brudząc dziewiczą biel lodową.

Legendarna uroda ściany przywiodła nas tu, więc z bólem serca rezygnujemy z wejścia w labirynt drogi wspinaczkowej poprzez rozsypujące się progi skalne i spękane seraki, poprzez jęzory lawin lodowych i leje lawin skalnych. Wyjątkowo wysoka temperatura zmieniła piękno góry w jej okrucieństwo. Czterech zahipnotyzowanych jej wdziękiem Japończyków zginęło. Południowa ściana Aconcagua roku 1986 jest niczym modliszka zapraszająca w ramiona swej przepastnej ściany i w okrutny sposób niszcząca adoratora.

WŁODZIMIERZ KORPECKI

# Chwyt odwetowy

**(Korespondencja z Meksyku)** **(14)**

ANDRZEJ MAKOWIECKI

## 1.

Natura ludzka jest przewrotna. Palimy papierosy, choć szkodzą. Ciągniemy do zatrutych spalinami ulic, choć można jeszcze znaleźć w każdym kraju oazy świeżego powietrza. Najmniejsze mieszkanie w mieście bywa silniejszym magnesem niż wygodny dom w wiejskim ustroniu.

Łakniemy hazardu. Ruch, wrzask, tłok, przepychanka. Oto czego nam trzeba. Bez tego nudno. Bez tego smutno. Bez tego żaden pucybut nie ma prawa marzyć, iż któregoś dnia zostanie milionerem.

Ale w Ameryce nieszczęścia lubią zaglądać do wielkich metropolii.

## 2.

W Biurze Radcy Handlowego przy Pasco de la Reforma poruszył się ciężki, mosiężny żyrandol. Nakrywające do stołu panie nie zwróciły na to uwagi, panowie jednak spojrzeli na siebie badawczo.

Otwarte było jedno z okien i wysokie drzwi. Wessało do pokoju firankę.

— *Przeciąg* — stwierdził z ulgą Jan Szerszeń.

— *Chyba tak* — powiedział cicho Andrzej Suchecki, inny pracownik biura. — *Myślę, że przeciąg.*

Są to emocje, jakich nie przeżywa się w Polsce. Człowiek bez przerwy jest czujny; łowi świadomie i podświadomie każdy sygnał.

Nasz ambasador w Nikaragui, Mieczysław Rysiński, mówił rano:

— *Noc była spokojna, ale przesunęły się o dobry centymetr wszystkie obrazy na ścianach.*

Przemysław Marzec potwierdzał:

— *Zostawiłem szklankę na brzegu biurka. Obudziłem się, bo spadła.*

Stolice cierpią najbardziej. Ostatnie trzęsienie ziemi w Managui pochłonęło całe śródmieście: nie ostał się ani jeden piętrowy budynek, z wyjątkiem dziewięciokondygnacyjnego wieżowca, skonstruowanego bodajże przez Amerykanów; grunt pękał, powstały ogromne, nie porośnięte do dzisiaj trawą rozstępy, zapadł się bez śladu stary katolicki cmentarz. Ludzie uciekali z centrum na peryferie. W Managui zdecydowanie dominuje architektura parterowa o lekkich ścianach i dachach. Wyższe domy należą do rzadkości.

Niedawno padły dzielnice w San Salvador, osunęły się ściany Kanału Panamskiego, drżała Kalifornia. Ale to, co wydarzyło się jesienią 1985 roku w Ciudad de Mexico, jest nieporównywalne z żadną inną amerykańską tragedią.

Mundial był w życiu narodu radosnym miesięcznym orgazmem, o którym Meksykanie zdążyli już zapomnieć, aczkolwiek ujrzysz jeszcze tu i ówdzie na murach związane z nim hasła i reklamy. Skutków straszliwego kataklizmu nie zapomniał nikt — widać je na każdym kroku, w każdej chwili, z każdego punktu miasta. Są wciąż aktualne, wciąż dyskutowane, obecne w świadomości ludzkiej i w środkach masowego przekazu.

Od rana do nocy słychać stukot kilofów i młotów. Unosisz wzrok i dostajesz zawrotów głowy: na piętnastym, na dwudziestym piętrze gmachu, z którego ziemia wytrząsła wnętrzności, zawieszeni nad przepaścią ludzie-ptaki, ludzie-dzięcioły zbijają kamień po kamieniu, cegłę po cegle, kondygnację po kondygnacji, i wiele jeszcze czasu upłynie (może rok, a może dwa?), nim zjadą do fundamentów.

Jest to cyrk bez biletów i siatki ochronnej. Darmowe widowisko. Popaduje, wieje. Czekasz ze ściśniętym gardłem, kiedy oślizgnie się stopa balansującego między niebem a ziemią śmiałka i uzbrojony w prymitywne narzędzie człowiek-ptak, człowiek-dzięcioł chwiejący się na cienkiej desce, rozkrzyżuje ramiona i odleci w ciemność:

Pytasz:

— Dlaczego rząd nie każe tego wysadzić od razu: zburzyć, zbombardować, podciąć i obalić pancernymi wozami?

Słyszysz:

— *Mogłoby to zaszkodzić innym, zdrowym domom, zatarasować ulice, zasypać ludzi, pomnożyć liczbę ofiar. Do przyjęcia jest tylko owa prymitywna metoda małych kroczków.*

## 3.

Terremoto. Temblor. Sismo. Największa tragedia w pisanej historii narodu. Największy chyba dramat, jaki przeżył kiedykolwiek kontynent amerykański. Kto nie był w Dystrykcie Federalnym, nie zdoła sobie tego wyobrazić.

Do dziś ukazują się o tym książki. Do dziś Meksykanie bledną na samo wspomnienie apokalipsy, która, podobnie jak w okupowanej Warszawie, dotknęła prawie każdą rodzinę, każdą ulicę i każdy śródmiejski plac.

19 września 1985 roku. Godzina siódma. Wietrzny, chłodny, w sumie pogodny ranek. Wzeszło słońce. Nic nie zapowiadało nieszczęścia. Setki tysięcy ludzi przemierzały we wszystkich kierunkach metropolię podążając do codziennych zajęć: do szkół, do fabryk, do urzędów. Kursowało metro i autobusy. Zapełniały się jezdnie i chodniki. Otwierano restauracje, magazyny i sklepy. Na rogach pojawili się przekupnie, a w kioskach gazety. Radio i telewizja, która w Meksyku startuje wcześnie, emitowały rutynowy program bez zakłóceń. Muzycy i turyści opuścili już plac Garibaldiego, aby udać się na śniadanie do domu lub hotelu, po czym spać do południa w ciepłych łóżkach.

Deseru, jak pisał jeden z reporterów La Prensy, nie było. O 7,19 ziemia zadrżała. W chwilę później rozpętało się piekło, które trwało zaledwie półtorej minuty (sam wstrząs) rzucając miasto na kolana i na twarz.

Bóg tego dnia musiał być chory.

— *Nastąpił koniec świata* — stwierdziła Juan Manuel Juarez Cortes.

Wielkie i małe domy waliły się jeden po drugim, kruszyły i rozpadały jak ciasto. Runęły sławne hotele, padły ministerstwa, banki i szpitale, przedszkola i żłobki, garaże i płoty, drzewa i słupy trakcyjne. Buchnął w czyste jeszcze niedawno niebo ogień, dym i tumany pyłu. Słońce znikło gdzieś. Pociemniało. Rozległ się potworny wrzask. Na ulicę wybiegali pierwsi ludzie. Niektórzy w ubraniach, niektórzy w szlafrokach. Jedni w butach, drudzy boso.

— *Było to najdłuższych dziewięćdziesiąt sekund w moim życiu* — wspomina Fernando Rodriguez Pradera. — *Huk narastał. Domy waliły się ciągle. Grus bombardował ulice i place, tarasował jezdnie, chwytał auta w śmiertelne pułapki, zabijał i zasypywał żywcem ludzi, mordował, szalał, tłukł rozdygotaną ziemię, spiętrzał się w piramidy i kopce.*

Umilkła telewizja. Jej instalacje zostały uszkodzone. Radio wciąż nadawało przerażające komunikaty: wielu techników i spikerów straciło życie, czynna była tylko jedna stacja lokalna, nawołująca o zachowanie spokoju i opanowanie paniki, choć sama dygotała ze zgrozy.

Histeria rozprzestrzeniała się jak zaraza. Oszalały z przerażenia tłum kołował, zderzał się, wył i zawodził szukając ucieczki, ale nie było ucieczki, szukając azylu, ale nie było azylu. Tam, gdzie stało przed sekundą miasto, rozciągały się rumowiska. Wybuchały transformatory, ze zbiorników wyciekała woda, z pękniętych rur i zaworów ulatniał się gaz, którego smród był coraz bardziej intensywny.

„Terremoto". Rozdział drugi. Raport według Luisa Muniza Fuentesa „Lo Inimaginable":

*„Młodzi ludzie biegli ulicami i krzyczeli:*

*— Zgasić papierosy i cygara!*

*— Nie krzesać zapałek!*

*— Wyłączyć motory!*

Mieczyslaw Rysinski, embajador de Polonia en Nicaragua y Jose Angel Buitrago, Vice-Ministro nicaraguense de Cooperacion Externa, durante la recepcion de mas de mil toneladas de cargamento solidario polaco en el puerto de Corinto

*Más de mil toneladas*

**Llega cuantiosa donación polaca**

*Ambasador Mieczysław Rysiński przekazuje na pokładzie statku m/s „Gałczyński" dar narodu polskiego dla Nikaragui. Z prawej wiceminister Jose A. Buitrago. W środku nasz korespondent. Zdjęcie pochodzi z czołowego dziennika nikaraguańskiego „El Diario Nuero".*

*Gaz uchodził miarowo zewsząd, grożąc lada moment eksplozją".*

Ginęły z mapy miasta osiedla, topniały dzielnice. Licząca sto tysięcy mieszkańców Unidad Monoalco Tlateloco uchodziła za najważniejszy kompleks urbanistyczny w Ciudad de Mexico. Były tam sto dwa budynki, siedem szpitali, dwadzieścia dwie szkoły o różnym poziomie nauczania oraz pięćset małych i dużych warsztatów rzemieślniczych, punktów usługowych i sklepów. Wszystkie, co do jednego, ucierpiały w mniejszym lub większym stopniu. Zawaliła się duma Tlateloco, wieżowiec „Nuevo Leon" o dwustu osiemdziesięciu czterech apartamentach. Nikt nie wie i nie dowie się nigdy, ile trupów pochłonęły gruzy. Na wyższych piętrach mieszkali studenci i służący. Ginęli na schodach, w windach i wyjściach awaryjnych. Niektórzy łkali i wyli przez otwarte okna: — *Pełno gazu! Ogień! Zaraz wylecimy w powietrze!* — Niektórzy, nie czekając, wyskakiwali na bruk w ramiona śmierci.

Zamarł transport i ruch kołowy. Stanęło metro. Nie trzęsło już, ale odchylone od pionu gmachy wciąż padały. Ginęli starcy, ginęły kobiety, ginęły w ramionach matek dzieci. Często ginęły solidarnie całe rodziny, a czasem nieprzytomny z rozpaczy ojciec lub matka szukali najbliższych, drapiąc zawalone drzwi paznokciami albo odrzucając gruz gołymi rękoma. Spod rumowisk i zawałów niewidoczne osoby wołały o pomoc:

— *Tu jestem!*

— *Zawołajcie tatę!*

— *Nie zostawiajcie mnie samej!*

— *Krwawię!*

— *Duszę się!*

— *Umieram!*

Niedrożna jest za wiaduktem Avenida Insurgenres, najdłuższa ulica świata. Leżą w gruzach kolonie: Roma Sur y Norte, Del Valle, Condesa i Narvarte. Grzęzną pod rumowiskiem tysiące ludzi przy placu Decibeles. Aleja Alvaro Obregon wygląda jak po ciężkim ataku bombowym. Południe stolicy, które ucierpiało w mniejszym stopniu, też odsypuje rannych i zmarłych w kolonii Campestre Churubusco. Legły budynki w Iztacalco, Coyoacan, Villa Coapa, Santa Ursula i wielu pozostałych dzielnicach. Trzęsienie zmiotło z powierzchni ziemi Guerrero, Morelos, Estrellę i Martin Carrera, sławne i ekskluzywne punkty stolicy. Ricardo Blanco Velazquez twierdzi, iż padło tam siedemdziesiąt procent ogółu zabudowań.

Jose Santos Navarro, kolejny reporter „La Prensy", wspomina w relacji „Ostatnie słowa: trzęsie!":

*„Prezydent Republiki, Miguel de la Madrid Hurtado, ogłasza stan klęski żywiołowej i apeluje o ratowanie miasta. Radio podaje, iż zawaliła się wieża telewizyjna, odcinając od powietrza i światła setki pracowników. Rozsypują się hotele „Regis", „Continental", „De Carlo", „Principado", „El Romano" i dużo innych. Cudzoziemcy i Meksykanie ramię w ramię przenoszą się do wieczności. Nikt nie chce wierzyć, że zniknęły na zawsze gmachy Ministerstwa Handlu, Ministerstwa Pracy, Ministerstwa Żeglugi i Prokuratury Generalnej — nikt z wyjątkiem tych, którzy tam pracowali, których przysypało i którzy umierali pod zawalonymi murami".*

Luis Muniz Fuentes:

*„Kaprys natury nie oszczędzał nikogo. Tak samo ginęli bogaci jak biedni. Deputowani z rządzącej partii PRI i z opozycji. Mężczyźni i kobiety. Dzieci i starcy. Padały kościoły. Padały szpitale. Nigdy chyba nie dowiemy się naprawdę, ilu zmarło".*

Nie sposób również wyliczyć wszystkich miejsc dotkniętych tragedią. Reporterzy nie wspominają setek zawalonych domów przy głównych arteriach i wielu sławnych placów, choćby takich, jak Plac Trzech Kultur i Plac Republiki, które do dzisiaj straszą przechodnia i przywodzą na myśl powojenną Warszawę.

## 4.

Narody jednoczą się w chwilach zagrożenia. Narody jednoczą się w chwilach nieszczęścia.

Wraz z upływem czasu i rozwojem dramatu, Meksykanie rzucili się do ratowania bliźnich. Wyły z urzędu wozy policyjne i karetki pogotowia, przystąpiły do akcji jednostki straży ogniowej i wojsko, krążyły nad miastem samoloty i helikoptery. Ale siły oficjalne nie miały szans podołać tragedii bez dobrej woli mieszkańców, którzy w ogromnej większości wyzbyli się nagle strachu i egoizmu, i zapominając o własnym bezpieczeństwie przystąpili do heroicznej walki o każde zasypane istnienie: nieważne, czy był to brat, czy swat, czy ktoś obcy.

Z furią pracowała młodzież: uczniowie, studenci, robotnicy, także dziewczęta. Jeśli brakło łopat i kilofów, odrzucali gruz gołymi, skrwawionymi rękami. Właściciele sklepów żelaznych otwierali podwoje i mówili:

— *Bierzcie co chcecie. Płacić nie trzeba.*

Pojawiła się (nie wiadomo, skąd?) woda i żywność dla ekip ratowniczych. Pojawiły się koce dla rannych i prześcieradła dla zmarłych. Pojawiły się butelki mleka dla cudem wydobytych z rumowisk dzieci i niemowląt. Pojawiły się środki uspokajające dla odchodzących od zmysłów matek.

Na przejezdnych drogach ustawiali się cywile, aby dyrygować ruchem. Prywatne samochody rozwoziły konających do szpitali. Cóż z tego, kiedy szpitale w śródmieściu podzieliły los innych budynków — lekarze i chorzy, jeśli ich szczęśliwie nie zasypało, brali w ramiona małe dzieci i szukali ratunku na sparaliżowanych ulicach. Zapełniły się kościoły. Ruszyła wielotysięczna procesja do Bazyliki Guadelupe, opiekunki Meksyku. Wiele świątyń uległo zniszczeniu. Ludzie padali na klęczki i wznosili modły na ulicach. Nie było światła. Nie było wody. Pod działającymi aparatami telefonicznymi czekały długie kolejki osób próbujących dodzwonić się do żon, mężów, rodziców, dzieci, aby zapytać, czy wszystko w porządku lub uspokoić, że im akurat nic się nie stało.

Aż po zmierzch dominował płacz, szloch, jęki, szalona rozpacz i uporczywe szukanie zaginionych, którzy, być może, żyli jeszcze w pułapkach zawalonych domów, oddychali jeszcze i czekali z nadzieją na ratunek.

Większość dzielnic ewakuowano. Meksyk spał tej nocy na dworze: w parkach, na stadionach, na ulicach i placach, które wydawały się bezpieczne.

Nazajutrz wznowiono rozpaczliwą walkę o życie uwięzionych. Wśród szukających były znakomitości. Juan Manuel Juarez Cortes pisze, iż w Tlateloco pojawił się w pewnej chwili brodaty, pochmurny, odziany w dżinsy osobnik, w którym żołnierze, policjanci, strażacy i cywile rozpoznali światowej sławy tenora, Placido Domingo. Nie oczekiwał przywilejów. Odrzucał i rozkopywał gruz jak furiat. Szukał rodziny. Paquity, Angela, Agustina i Julia. Apelował o narzędzia. Odpowiedź przyszła z zagranicy. Międzynarodowy port lotniczy Benito Juarez otrzymał szereg pakunków adresowanych na jego nazwisko.

Z różnych krajów napływała pomoc: nie tylko pieniądze, lekarstwa, żywność i sprzęt. Przylatywały do Meksyku doskonale wyposażone ekipy ratowników z psami. Byli wśród nich Szwajcarzy, Francuzi, Austriacy, Amerykanie i Wenezuelczycy.

Odległe od epicentrum lotnisko funkcjonowało. Tłumnie wyjeżdżali obcokrajowcy. Dezerterowali wstydliwie niektórzy Meksykanie. Nie brakło garstki Polaków wracających do kraju różnymi liniami.

Proszono ich:

— *Zadzwońcie do rodziny w Amsterdamie, że żyjemy.*

— *Zawiadomcie matkę w Londynie, że jesteśmy cali i zdrowi.*

— *Zatelefonujcie do Paryża.*

— *Skontaktujcie się jakoś z Madrytem.*

Wielu Polaków spełniło te prośby. Telefonowali z Hawany i z europejskich lotnisk tranzytowych. Ci, co uzyskali połączenie w piątek, 20 września, po godzinie ósmej wieczór czasu meksykańskiego, doznali szokującej niespodzianki. Kiedy krzyczeli w słuchawkę...

— *Wszystko w porządku! Wasza rodzina przeżyła trzęsienie ziemi!...*

....po drugiej stronie dzwięczała przez moment zagadkowa cisza, po czym pytano:

— *Ale które trzęsienie? Pierwsze, czy drugie? Przed chwilą radio i telewizja podały, że Meksyk obsunął się znowu.*

## 5.

A więc nazajutrz po apokalipsie, dokładnie o 19,43, raz jeszcze zadrżały fundamenty pod stolicą — znowu waliły się gmachy i domy, grzebiąc wiernych i niewiernych, bogatych i biednych, młodych i starych. Kośba śmierci nie oszczędzała nikogo, dowodząc i przecząc istnieniu Opatrzności, urągając nadziejom i potwierdzając czarną serię przypadków.

Ludzie przestali wierzyć w cuda. Meksyk musi zginąć. Bóg drzemie. Milczą zobojętniałe Madonny. Rtęć w grzechomierzu dziejów przekroczyła stan krytyczny. Jeśli ktoś stracił w katastrofie dziecko, może tylko kląć i nienawidzić — w przeciwnym wypadku jest zdrajcą.

Matka Boska poszła na spacer. Jezus Chrystus udał się z wizytą przyjaźni do innego wszechświata. Duch Święty był na urlopie, a Bóg Ojciec, jako się rzekło, chorował, bolejąc skądinąd i płacząc nad upadkiem człowieczego rodu.

Ten wszelako, jak powtórzył za pisarzem reporter, da się zabić, ale nie da się pokonać.

Drugi wstrząs był słabszy.

Ludzie okrzepli w tragedii.

Akcja ratunkowa rozgorzała na nowo.

C.D.N.

## Mieć gotową odpowiedź na wszystko

# Panie Woody Allen, co pan sądzi o rzeczywistości?

Woody Allen jest osobą o wszechstronnej wiedzy. Pisarz, scenarzysta, aktor, reżyser filmowy, wybitny specjalista w najprzeróżniejszych dziedzinach jak znajomość wszechświata, współczesne społeczeństwo, niezidentyfikowane obiekty latające, istnienie Boga, krytyka, poezja, mafia, psychoanaliza, Woody Allen zgłębił wszystkie te problemy i dzieli się z nami swą opinią.

**— Jest pan znany głównie jako aktor i reżyser filmowy. Co sądzi pan o współczesnym kinie?**

— Kinomania jest chorobą galopującą, której odkrycie jest względnie niedawne. Jest zastanawiającym fakt, studiując pobieżnie historie cywilizacji, że nie znajdziemy śladu kinomanii ani u Persów ani u Scytów, ani też u starożytnych Greków czy Rzymian. Nawet w epoce nam bliższej tzn. Renesansie brak najmniejszego symptomu kinomanii. Ta poważna choroba atakuje głównie publikę zwaną intelektualną. Polega ona na osadzeniu swych pośladków w ciemnej sali, aby następnie rozwodzić się miesiącami nad tym co się widziało. Możemy rozróżnić kilka form kinomanii: kinomania egzotyczna albo japońska (łagodna), kinomania godardzka albo zakaźna i wreszcie kinomania bergmandzka albo skandynawska (najczęściej nieuleczalna), której nazwa pochodzi od wirusa szczególnie zdradliwego — Ingmar Bergman. Jeśli udaje się wam wymówić poprawnie to nazwisko, to znaczy, że już jesteście nią dotknięci.

**— A co sądzi pan o innych gatunkach filmowych?**

— Popularność filmów grozy czy science-fiction jest zjawiskiem trudnym do wyjaśnienia. Jak wytłumaczyć długie kolejki, które ustawiają się przed kinami wyświetlającymi te ponure historyjki? Jak gdyby nasze życie codzienne we współczesnych metropoliach nie było dosyć przerażające!

Nie, współczesny obywatel, zżerany przez troski, katowany przez decybele, dręczony przez nerwice, na którego czyha system podatkowy i skażone powietrze, znajduje prawdziwe wytchnienie oglądając takie filmy jak „Szalony uczony na przeklętej wyspie" czy „Szalony zamek przeklętego uczonego" czy też „Mój przyjaciel, Frank Ensztejn".

**— Pan nie jest tylko reżyserem filmowym, ale także autorem książek...**

— Pamiętam, że pewnego dnia zapytałem Gertrudę Stein, czy uważa, że powinienem zostać pisarzem. W swój charakterystyczny, tajemniczy sposób, który urzekał nas wszystkich odpowiedziała: — „Nie". Byłem więc zrozpaczony, kiedy ukazała się moja pierwsza książka, zwłaszcza że została chłodno przyjęta przez krytykę. Jedyny przychylny artykuł opublikowany w „Timesie" psuło ostatnie zdanie: „Książka ta jest zbieraniną głupich banałów, bez precedensu w całej zachodniej literaturze...". Maugham wyjaśnił mi, że zdanie to może być interpretowane w dwojaki sposób i stwierdził, że byłoby nierozsądnym użyć je do reklamy mojej książki.

**— I od tej pory nie lubi pan krytyków?**

— O nie, dzięki Maughamowi, który wytłumaczył mi, że nie należy traktować krytyki poważnie. „Moja pierwsza nowela — opowiedział mi — została ostro zjechana przez pewnego krytyka. Byłem w czarnej rozpaczy. Pewnego dnia przeczytałem na nowo moją historię i zdałem sobie sprawę, że miał on całkowitą rację: była ona słaba i źle skonstruowana. Nigdy nie zapomniałem tego zdarzenia i wiele lat później, kiedy Luftwaffe bombardowało Londyn, włączyłem reflektor na dachu tego krytyka".

**— Jaką radę mógłby pan dać młodym pisarzom?**

— Na końcu zdania pytającego postawcie znak zapytania. Będziecie zdumieni efektem tego zabiegu. A ponadto pamiętajcie, że poprawna ortografia to klucz do sukcesu.

**— Czy lubi pan klasyków np. Szekspira?**

— Właśnie przeczytałem książkę, która dowodzi, że prawdziwym autorem dzieł Szekspira był Christopher Marlowe. Teoria ta jest bardzo przekonywająca. Zastanawiam się tylko nad jednym, jeśli Marlowe napisał dzieła Szekspira, kto w takim razie napisał dzieła Marlowe'a?

**— Wydaje się, sądząc po pańskich filmach, że jest pan bardzo niechętnie nastawiony do psychoanalizy.**

— Ach, ci współcześni psychoanalitycy! Naprawdę przesadzają! Niegdyś sam Freud leczył pacjenta za pięć marek. Za dziesięć nie dość że by go leczył, to jeszcze odprasowałby mu spodnie. A za piętnaście pacjent mógłby leczyć mistrza i w nagrodę miałby do wyboru między kawą a herbatą.

Na teoriach Freuda wzbogacili się nie tylko psychoanalitycy, ale też niektórzy krytycy literaccy, tłumacząc geniusz Dostojewskiego tym, że dostał lanie w wieku lat trzech, a szaleństwo Van Gogha faktem, że jego karmicielka dawała mu do ssania tylko prawą pierś.

**— Czy wierzy pan w Boga?**

— Jak mogę wierzyć w Boga, kiedy nie dalej jak wczoraj wkręciłem sobie język w moją maszynę do pisania. Nie tylko Bóg nie istnieje, ale nie sposób znaleźć hydraulika w niedzielę!

**— Czy ten ogólny pesymizm nigdy nie nasunął panu myśli samobójczych?**

— Innymi słowy: dlaczego nie położyć końca tej absurdalności? Dlaczego uparcie błądzić w tym labiryncie bez wyjścia, który zwiemy życiem? Dlaczego? Bo z najciemniejszych zakamarków naszej istoty dobywa się głos i nakazuje nam: „Żyj"! W najbardziej dramatycznych momentach upomina nas: — „Żyj dalej"! Aż pewnego dnia rozpoznałem ze smutkiem ten głos: był to głos mojego agenta ubezpieczeniowego.

**— Nie ma pan szczęścia!**

— Z drugiej strony, co chcemy wyrazić, mówiąc: „Człowiek jest śmiertelny". Przecież nie jest to komplement. Dlaczego nasze dni są policzone, a nie ułożone w porządku alfabetycznym? I pomyśleć, że nawet Needleman nie żyje....

**— Needleman?**

— Sandor Needleman, wielki filozof. Już prawie miesiąc upłynął od jego śmierci, a mnie jest trudno w to uwierzyć. A przecież asystowałem przy paleniu zwłok, a nawet na prośbę jego syna przyniosłem kiełbaski. Zwierzył mi się kiedyś, że woli spalenie niż klasyczny pogrzeb, a jedno i drugie niż weekend z żoną. Tuż przed śmiercią pracował nad nowym traktatem etycznym, którego myśl przewodnią stanowiła teoria, że „zachowanie dobre i uczciwe jest nie tylko moralne, ale może być też praktykowane przez telefon". Obalał on ontologię, współczesną i twierdził, że istota ludzka wyprzedza nieskończoność. Rozróżniał on egzystencję i Egzystencję, udowadniając, że jedna jest lepsza od drugiej, tylko nigdy nie pamiętał która. Opublikował on najpierw swój słynny: „Jak się zachować, gdy nieistota zaatakuje nas znienacka", a później swe dzieło klasyczne na temat filozofii lingwistycznej: „Istota nie jest istotna do sprawnego funkcjonowania", które zostało przeniesione na ekran pod tytułem: „30 sekund nad Tokio". Był przekonany, że tylko system społeczny bez nierówności ekonomicznych może przynieść prawdziwą wolność i cytował mrówki jako przykład społeczeństwa wzorcowego.

**— Pana wiedza jest zadziwiająca...**

— Filozofia, jeśli sądzić po definicji ze słownika, to całkiem proste. Chodzi o „racjonalne studium myśli ludzkiej, analizowane z dwojakiego punktu widzenia: wiedzy i działalności". Do tego miejsca 5-letnie dziecko, nawet mało zdolne jest w stanie zrozumieć. Ale wszystko się gmatwa, gdy filozofowie się do tego mieszają. Nigdy nie zapomnę mojego wzruszenia na tę świetlaną uwagę Kierkegaarda: „Stosunek który ustosunkowuje się do własnego stosunku powinien albo ustanowić się sam, albo być spowodowany przez coś innego". Miałem łzy w oczach. Mój Boże, pomyślałem, co za umysł! (Należę do tej kategorii osób, które z trudem potrafią sklecić dwa sensowne zdania na temat: „Moje popołudnie w Zoo"). Oczywiście, powyższe stwierdzenie pozostało dla mnie kompletnie niezrozumiałe, ale jakie to ma znaczenie, w momencie gdy wymyślenie go sprawiło Kierkegaardowi radość!

**— Wydaje mi się, że nie ma pan dobrego zdania o filozofach?**

— Weźmy np. Kanta. Miał nie tylko błędną koncepcję wszechświata, a ponadto opuszczał zwykle restauracje nie zapłaciwszy rachunku. Niemniej jednak jestem zafascynowany zapałem z jakim te wielkie umysły atakują wszystko na raz: moralność, sztukę, etykę, życie, śmierć.

**— A jaka jest pana koncepcja na temat wszechświata?**

— Wszechświat był tylko przelotnym pomysłem w umyśle Boga. Jest to idea wysoce niepokojąca, zwłaszcza jeśli właśnie się nabyło willę na kredyt. Możemy powiedzieć, że wszechświat zbudowany jest z substancji, którą nazywamy „atomami" lub innej, którą zwiemy „monadami". Demokryt nazwał to atomami, Leibniz monadami. Na szczęście tych dwóch wielkich myślicieli nigdy się nie spotkało, bo dopiero by była kłótnia! Ale czy możemy naprawdę zgłębić wszechświat? Mój Boże, jest wystarczająco trudno znaleźć drogę w Greenwich Village! Istotne jednak że jest: Czy istnieje coś poza? I co?

**— Co to jest rzeczywistość?**

— Nie ulega najmniejszych wątpliwości, że jedną z charakterystycznych cech rzeczywistości jest to, że brakuje jej treści. Nie chcę przez to powiedzieć, że pozbawiona jest ona treści, tylko że jej tego brakuje. Chciałbym sprecyzować, że rzeczywistość, o której mówię jest ta sama którą opisuje Hobbes, tylko trochę mniejsza. W konsekwencji stwierdzenie Kartezjusza: „myślę więc jestem", mogłoby równie dobrze brzmieć: „spójrz, oto Edna z saksofonem". Aby zakończyć z rzeczywistością, muszę wyznać, że nie cierpię rzeczywistości, ale przyznaję, że jest to jedyne miejsce, gdzie można zjeść dobry kotlet schabowy.

**— Czy interesują pana zjawiska parapsychiczne?**

— I jak jeszcze! Weźmy np. ten proces, kiedy to osoba nagle znika, aby pojawić się na drugim końcu świata. Jest to całkiem wygodny sposób podróżowania, chociaż czasami trzeba czekać dobre pół godziny na bagaże. W tej dziedzinie nauczyłem się wiele od irlandzkiego poety O'Shawna. Był to mistyk, tak jak Blake, który wierzył w niewidzialne moce. Jego wiara umocniła się, kiedy to w jego brata Bena uderzył piorun, gdy ten lizał znaczek pocztowy. Piorun oszczędził życie Bena, co O'Shawn uznał za znak Opatrzności, mimo iż trzeba było 17 lat, aby odkleić znaczek z języka.

**— Co myśli pan o niezidentyfikowanych obiektach latających?**

— Jeśli obiekty latające pochodzą z innej planety, to znaczy, że cywilizacja, która je stworzyła musi być starsza od naszej o miliony lat. Profesor Leon Speciman twierdzi, że istnieje cywilizacja, która wyprzedza nas o jakieś 15 minut, co dawałoby jej dużą przewagę nad nami, chociażby, aby stawić się punktualnie na nieprzewidziane spotkanie.

**— Wróćmy jeszcze do rzeczywistości. Co myśli pan o braku bezpieczeństwa w wielkich metropoliach?**

— Pewnego wieczoru na rogu ulicy widziałem dwóch chuliganów bijących starszą panią. Pomyślałem sobie: „Boże, kiedyś jeden człowiek wystarczył do tego. Co za miasto!".

**— Jak można wyjaśnić te akty przemocy?**

— Dlaczego człowiek zabija? Aby zdobyć pożywienie. Ale nie tylko dlatego. Trzeba też mieć za co pić.

**— Co sądzi pan o współczesnej epoce?**

— Żyjemy w społeczeństwie pozbawionym ideałów. Nigdy dotąd pornografia nie była eksponowana z takim bezwstydem. A na dodatek zdjęcia są niewyraźne.

**— Czy mógłby pan na zakończenie wydać swą opinię na temat aktualnego kryzysu?**

— Obecnie ludzkość stoi na rozstajnych drogach. Jedna prowadzi do goryczy i absolutnej rozpaczy, druga do zupełnego wygaśnięcia rasy ludzkiej. Prośmy Boga, aby dokonał słusznego wyboru.

**Wywiad ten jest całkowicie zmyślony. Chociaż niezupełnie. Wszystkie odpowiedzi pochodzą z książek Woody Allena: „Bóg, Szekspir i ja", „Zagmatwane przeznaczenie", „Aby skończyć raz na zawsze z kulturą", która ostatnio ukazała się we Francji.**

**Opracowała:**
**MARIA CHARRIERE-WŁODARSKA**

# Londyn zza szyby malucha

Maluch wywołał sensację swoją wielkością, ale przede wszystkim tym, że miał kierownicę po lewej stronie i numery rejestracyjne niedwuznacznie sugerujące, że przyjechał ze wschodniej Europy. Anglicy mocno podkreślają, że mieszkają na Wyspie, a Wyspiarze różnią się stylem życia i mentalnością od mieszkańców kontynentu.

## PO LONDYNIE, JEŹDZI SIĘ LEPIEJ NIŻ PO ŁODZI.

I wygodniej Po Londynie jeździ się szybko. O ile oczywiście nie wpadnie się w korki. I to niekoniecznie w godzinach szczytu. W sobotni wieczór, około godziny 24.00 jazda z Trafalgar Square na Cambridge Circus, to tak mniej więcej jak z placu Wolności na plac Kościelny, zabrała mi 45 minut i gdyby znalazło się wolne miejsce do parkowania zostawiłbym samochód i poszedł dalej piechotą. Byłoby szybciej. Ale gdzie tam. Wolne miejsce do parkowania?

Pewien mój znajomy, pracujący w Imperial Collage, powiedział, że łatwiej było mu znaleźć pracę na uczelni niż miejsce na parkingu: dlatego dojeżdża koleją — British Railway, a jego szef na rowerze. Pewnym rozwiązaniem jest kupno motocykla.

Ci szaleńcy, w kaskach zakrywających całą głowę poza nosem i oczyma, prują z szybkością sześćdziesięciu kilometrów na godzinę pomiędzy wąsko ustawionymi w dwóch rzędach samochodami i bardzo dobrze im to idzie. Najczęściej.

Na Haymarket Rd., odchodzącej od Piccadily w kierunku południowo-zachodnim, dużej arterii komunikacyjnej znalazłem się w potężnym korku. Coraz to wypadały spoza mojego samochodu motocykle, które z rykiem silników przeciskały się między cierpliwie czekającymi samochodami. W pewnym momencie wyskoczył na „hondzie" młody chłopak i, zanim ktokolwiek zdążył się zorientować, motocykl wyprysnął spod niego na dwa metry do góry, koła darły powietrze z okropnym rykiem silnika, a motocyklista uderzywszy o bok dwupiętrowego autobusu odbił się od błotnika stojącego opodal srebrzystego „Rolls-Royce'a" i pacnął o asfalt. Podbiegli do niego sprawcy upadku: chłopcy sprzątający pomieszczenia pobliskiego sklepu, którzy wyrzucili bezmyślnie kawały lodu na jezdnię.

— *Dojeżdżam tylko do najbliższej stacji metra* — powiedział pewien londyńczyk — *parkuję opodal i dalej jadę metrem albo kolejką. Może nie jest to taniej, ale szybciej.*

I rzeczywiście ruch przed stacjami kolei i metra jest ogromny. Szczególnie w porze, gdy mieszkańcy okolicznych dzielnic dojeżdżają do pracy lub wracają do domu.

## ANGIELSKIE TAKSÓWKI

są osobnym rozdziałem historii Londynu. Wprawdzie pod numerem rejestracyjnym każdej z nich zaznaczono, że licencja obejmuje klauzulę, iż tylko czterech pasażerów kierowca może zabrać, ale za to firma „Austin" a obecnie „Leyland" produkuje samochody przeznaczone na taksówki tak obszerne, aby pasażer mógł swobodnie wyciągnąć nogi i nie zdejmować cylindra z głowy. Większość z tych taksówek jest pomalowana na kolor czarny i ich charakterystyczna sylwetka na stałe wkomponowała się w krajobraz londyńskiej ulicy. Wystarczy tylko stanąć na brzegu chodnika, wyciągnąć dwa palce do góry i krzyknąć — *Taxi!* — a natychmiast, bezszelestnie podjeżdża czarna limuzyna. Podchodzi się wtedy do kierowcy i ustala trasę. Jest to zabieg pro forma, bo chociaż uświęcony tradycją zwyczaj pozwala taksówkarzom odmówić jazdy na odległość przekraczającą 10 mil, co ma swoje źródła w czasach, gdy uważano, że konie zaprzęgnięte do dorożki męczą się po 10 milach, to nikt z tego nie korzysta.

Taksówkarze jeżdżą ostro, szybko, po kawaleryjsku, ale elegancko. „Austiny" są tak skonstruowane, że nie mogą rozwijać zbyt dużej szybkości: niewiele ponad 60 mil na godzinę. Odznaczają się jednak nieprawdopodobnym wprost przyśpieszeniem. A do tego mogą zakręcić niemal w miejscu. I jeszcze jedno. Samochód, który jest przeznaczony na londyńską taksówkę musi przejechać pół miliona kilometrów bez kapitalnego remontu. Nie ma się co dziwić, że w Monachium, na giełdzie samochodowej, widziałem staruszkę — taksówkę w cenie prawie nowego „Audi 100".

W Londynie nie ma kolorowych taksówkarzy. Londyńską taksówkę prowadzi zawsze biały. Najczęściej jest to urodzony londyńczyk, który posługuje się niepowtarzalnym akcentem, przypominającym mowę człowieka, który nie tylko mówi w trakcie połykania gorących ziemniaków, ale także potwornie się śpieszy i zjada końcówki słów.

Jeżeli chcesz zostać taksówkarzem w Londynie, to kup sobie rower. Najpierw przez cały rok trzeba jeździć na rowerze po mieście i uczyć się na pamięć ulic i ważniejszych miejsc, a potem zdać egzamin. Zdać go trudno, bo co roku tylko od 7 do 8 proc. zdających uzyskuje pozytywne wyniki. Pytania są zazwyczaj banalnie proste: proszę podać najkrótszą drogę z Fleet Street do Chelsea z ominięciem korków w godzinach szczytu, bo pasażer jest businessmanem i bardzo zależy mu na czasie? Proszę opisać tę samą drogę, gdy wiezie się turystę, któremu należy opowiedzieć o interesujących obiektach mijanych po drodze.

O ile na ogół taksówkarze w życiu codziennym wszystkich traktują jak businessmanów, którym śpieszy się, to jeszcze nie słyszałem, aby taksówkarz był przewodnikiem. Owszem, pewien bogaty businessmen, pochodzący z Nowomiejskiej w Łodzi opowiadał przyjacielowi przy herbacie z mlekiem.

— *Wisz pan, mieszkam tutaj nie od dzisiaj, a on mnie bierze za turystę i jedzie okrężną drogą? To ja mu napiwku nie dałem, tylko mu powiedziałem, że on sobie napiwek już wyjeździł.*

## MALUCH Z TABLICAMI REJESTRACYJNYMI Z KONTYNENTU

traktowany jest z dużą wyrozumiałością i ostrożnością. Ciężarówki nie spychają go na bok, a kierowcy patrzą podejrzliwie, co też taki facet, który siedzi po zupełnie zwariowanej stronie samochodu może wymyślić.

W Londynie samochody potrafią zatrzymać się na dwóch pasach, tamując ruch, aby wypuścić z pułapki bocznej uliczki jakiegoś biedaka mrugającego rozpaczliwie migaczem. Jeździ się bardzo grzecznie, dżentelmeńsko, szybko i nie używając migacza ani świateł.

Migacza używa się tylko przy zmianie pasa ruchu, bo poza tym znaki na szosie same zaprowadzą kierowcę do celu. Jeździ się szybko i wolno. Szybko — bo droga pusta, wolno — bo korki potwornie tamują ruch. Ale mimo szybkiej jazdy, przed przejściami dla pieszych, przed którymi dzień i noc mrugają żółte światła, nawet najszybciej jadący samochód zatrzymuje się grzecznutko. Biada jednak pieszemu, gdyby próbował przejść jezdnię w innym niż dozwolone miejsce. A świateł można nie używać, bo i po co, skoro ulica londyńska jest tak rzęsiście oświetlona, że o północy można bez latarki spokojnie studiować skomplikowany plan miasta.

## PRZYJEMNIE JEST JECHAĆ WYBRZEŻEM TAMIZY,

gdy mija się kolejne, oświetlone w różnych kolorach mosty, dojeżdża do rzęsistej iluminacji wokół piaskowych murów Gmachu Parlamentu z Big Benem na wieży, i szarosinych ścian Opactwa Westminsterskiego, i pędzi dalej na złamanie karku ku najpiękniejszemu ze wszystkich mostów — Vauxhall. A po drugiej, południowej stronie rzeki, którą Anglicy nazywają Ojciec Tamiza, można podziwiać podświetlone budynki wystawowe i sale operowo-teatralne centrum sztuki scenicznej. Town Hall, w którym od czasu rządów Margaret Thatcher nie zbierają się już radni miasta. I godzinami można patrzeć na pływające bary i barki, jedne i drugie przystrojone łańcuchami lampionów.

Łańcuchy lampionów rozpięto także na głównej ulicy handlowej, na Oxford Circus. Uroczystego zapalenia wszystkich świateł bożonarodzeniowych dokonała — zgodnie z tradycją — przedstawicielka rodziny królewskiej. I mimo że pogoda zupełnie nie przypomina o świętach, to w każdym sklepie można kupić nie tylko podarki pod choinkę, ale także wszystko to co może być potrzebne na Boże Narodzenie i co według oszołamiającego strumienia reklam, wylewającego się z prasy, radia, telewizji, każdej witryny sklepowej, zostało specjalnie i jedynie, a także oryginalnie i w sposób absolutnie zadowalający kupującego, przygotowane z myślą o nim i o świętach.

Wszyscy chętni będą mogli tradycyjnie w Nowy Rok wykąpać się w fontannie na Trafalgar Square. Oczywiście jest to surowo zabronione i policjanci w wysokich hełmach będą stali wokół fontanny i uśmiechali się pod nosem półsłużbowo, i patrzyli surowo na kąpiących się, no bo może trzeba będzie komuś udzielić pomocy. Kąpiele rozpoczęli podobno jako pierwsi Szkoci, teraz kąpią się wszystkie nacje. Czy w tym roku będę reprezentował Polskę — jeszcze nie wiem.

**MAREK BRZEZIŃSKI**

I wyskakiwał na jedną chwilę, a z prawego rogu już podchodził ogień.

Podchodził ogień, dysząc i ryczący, jeszcze weselsze i skoczniejsze rozlegały się głosy z łańcuszka, gęsto podzwaniały butelki, ale dał się słyszeć jeszcze jeden powtarzający się dźwięk w tej kakofonii dźwięków — jakby coś melodyjnie kląskało lub pobulgotywało. Bulgotało czy kląskało przy wtórze cieńszych dźwięków. Iwan Pietrowicz skokiem osiągnął rozżarzoną ścianę, zza której dochodziły, i koło skrzynek z importowanymi winami domyślił się, co to było: z butelek wystrzeliwały korki. Nie chciał się doszukiwać przyczyny wtórujących im odgłosów, przyjąwszy, że pochodzą one, najprawdopodobniej, od takich samych salutów z flakonów z potrójną wodą kolońską czy od czegoś podobnego. Od pewnego czasu potrójna kolońska znalazła się w rzędzie artykułów spożywczych, służyła do podnoszenia walorów smakowych wytrawnych win węgierskich albo bułgarskich, które w oryginalnej postaci nie były akceptowane przez męskie towarzystwo, jako zbyt kwaśne i za słabe.

Iwan Pietrowicz szukał oleju w butelkach, a tu okazało się, że jest w żelaznej beczce. Z trudem, parząc ręce, przewrócić ją, ogromną, o rozdętych bokach, bywałą już nie raz w tarapatach, ale wytoczyć nie mógł, tylko ją rozhuśtał, i wszystko. Obrócił się do łańcuszka, i nie patrząc i nie wybierając, wyrwał z niego pierwsze „ogniwo", które mu się nawinęło pod rękę. Okazało się ono tym samym chłopakiem, z którym razem zrzucali dach, i który przyniósł im tam na górę wiadomość o znalezionym motocyklu „Ural". Od chłopaka zalatywało gotowaną wódką; nic nie rozumiejąc, ale też nie sprzeciwiając się, pobiegł za Iwanem Pietrowiczem. We dwóch to rękami, to nogami, wytoczyli beczkę.

— Tam jest jeszcze jedna! Iwanie Pietrowiczu. Tam jeszcze jedna została! — zawołała Wala-magazynierka i wpadła, żeby pokazać.— Tak jest, tam!

Iwan Pietrowicz przytrzymał Walę i wypchnął ją za drzwi, nie miała tu ze swoją odpowiedzialnością materialną, która mogła okazać się silniejsza od zdrowego rozsądku, co robić. Po co miała widzieć, co się tu dzieje. Iwan Pietrowicz w jednej chwili stracił pomocnika, z którym wytaczali beczkę, który nie zwlekając, włączył się do szeregu. Iwan Pietrowicz zauważył, że po łańcuchu podawane są nie tylko skrzynki, ale i odkorkowane butelki, świecące w blasku ognia jak latarki elektryczne.

— Ej, siup! Ej, siup! — zaczynał ktoś, płynnie odrzucając skrzynkę sąsiadowi, i łańcuch podchwytywał: — Ej, siup! Ej, siup!

— Ej, siup! Ej, siup! — wzlatywała nad uniesioną nad głową butelką. — Ej, siup! Ej, siup!

Ale i ogień „siupał": wdarłszy się do wnętrza, opanował pół tylnej ściany, przerzucił się na sufit, skąd w jakimś własnym rytmie wymachiwał ku dołowi długimi ryczącymi językami. Coraz trudniej było oddychać, to już nie było oddychanie i nie potwierze, którym można oddychać, lecz pośpieszne i chaotyczne łapanie wypalonej pustki. Ktoś, a nie można było poznać, czy mężczyzna, czy kobieta, niespokojnie wołał zdartym i rwącym się głosem:

— Piet'ka. Piet'ka. Jesteś tam? Gdzie jesteś?

— Twojego Piet'kę zjedliśmy na zagrychę! — odkrzyknięto z łańcucha, i głos ten wydał się opalony, druciany, przepychający przez żar samą tylko treść słów.

I znowu Iwan Pietrowicz przewrócił beczkę z olejem, porządniejszą od pierwszej, i wydawało się, posłuszną, znowu próbował samemu wytoczyć. Ktoś mu pomógł. Już po wytoczeniu jej Wala-magazynierka, która na nią czekała, zaczęła lamentować i wybuchnęła płaczem: beczka była bez korka. Iwan Pietrowicz w otępieniu patrzył to na wijący się od magazynu ślad oleju, to na Walę, która się tak zamartwiała, jakby dwa-trzy litry wylanego oleju to była największa strata, jaką dzisiaj poniosła.

Ktoś z boku złapał Iwana Pietrowicza — Afonia Bronikow. Szybko oddalając się od ognia w lewy kąt podwórka i ciągnąc za sobą Iwana Pietrowicza, Afonia mówił:

— Mąkę trzeba uprzątnąć, Iwanie Pietrowiczu, póki nie jest za późno. To wszystko tam — machnął pogardliwie ręką do tyłu, gdzie się paliło. — A zostaniemy bez mąki... Bez mąki ciężko.

Z trzeciego magazynu dzieciaki i kobiety wynosiły puszki ze zgęszczonym mlekiem, pudełka z jakimiś maleńkimi jak zabaweczki puszeczkami, coś w porządnych, owiniętych metalowymi taśmami pudełkach. Za trzecim magazynem w ostatnim koło ogrodzenia i niskim pomieszczeniu trzymano mąkę.

Szerokie, niczym brama drzwi były otwarte na oścież.

Cienie rzucane przez Iwana Pietrowicza i Afonię wydłużały się i wydłużały w potwornej krzywiźnie, przerzuciły się przez płot i uniosły nad osadą.

— Palimy się! — rozległo się gdzieś z górnych ulic.

Iwan Pietrowicz z przestrachem odwrócił się i zaczął się wpatrywać w stronę głosu.

— Obudził się — z wesołą złością zareagował na to Afonia. — Niedługo się całkiem spalimy, a ty żeś się dopiero zerwał. Chodź, bratku, chodź do nas, dopóki nie jest za późno. Jutro koniec, jutro nie wypijesz klina.

11.

Bałagan naokoło to jedna sprawa, a bałagan wewnątrz nas — to zupełnie inna sprawa. Kiedy naokoło — to winnych można znaleźć ile się chce, według życzenia, a nieraz też czynniki zewnętrzne mogą się włączyć do akcji i odegrać, jak to się mówi, rolę. Słowem, tamten porządek albo też bałagan ma wielu panów, trudno im się dogadać, mają różne pojęcie o urządzeniu świata, i co dla jednego jest rozumnym porządkiem rzeczy, to dla drugiego jest zwykłym bajzlem.

We wszystkim, co dotyczy tylko ciebie, ty, rozumie się, sam sobie jesteś panem. W sprawach gospodarstwa, które się w tobie mieści, wymagać możesz tylko od siebie. I nawet, jeśli ci się wydaje, że zależy ono od wielu zewnętrznych przyczyn i źródeł, przyczyn owych i źródeł wlanie się w sekretne i zastrzeżone twoje dziedziny nie obejdzie się bez udziału twojej najwyższej władzy. Wychodzi, że w tym przypadku tylko siebie można pociągać do odpowiedzialności.

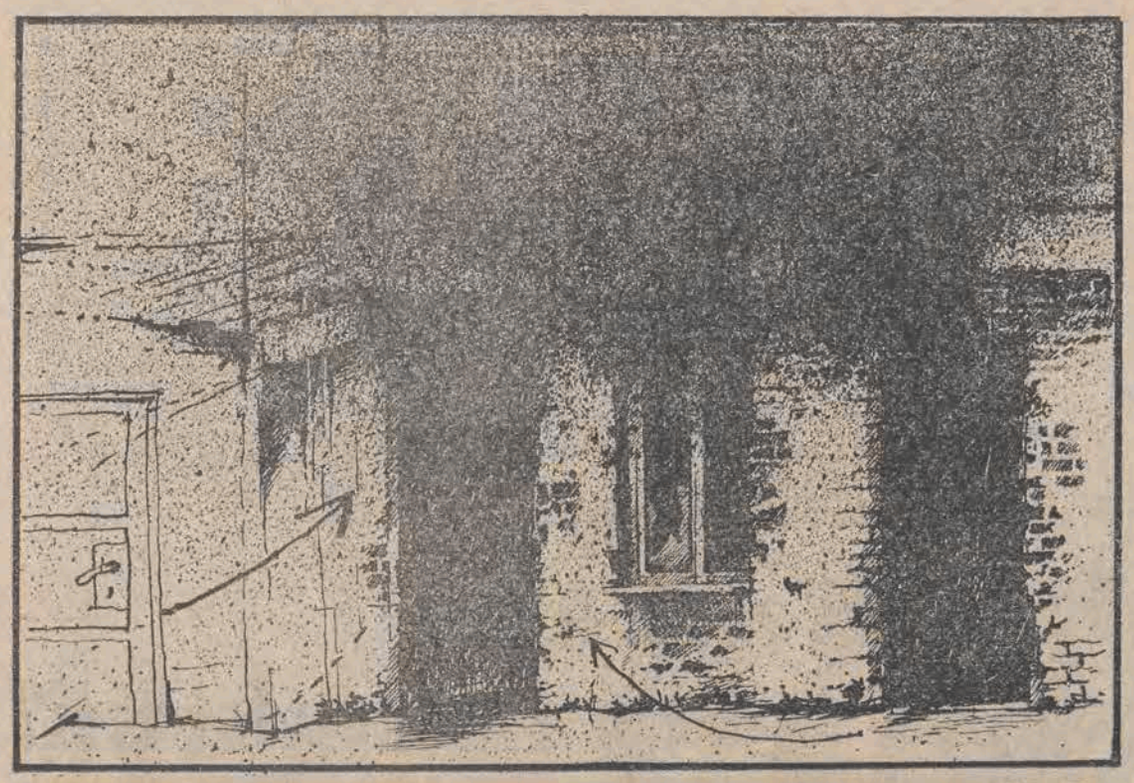

*Rys. Janusz Szymański-Glanc*

# Pożar

(4)

WALENTIN RASPUTIN

I nie ma nic łatwiejszego, jak zabłąkać się w sobie. Wie o tym człowiek wrażliwy. Patrzy na siebie nie jak lekarz, widzący przede wszystkim organy, wypełniające określone funkcje, a jak potężny i bezwolny wszechwładca ogromnego i niepojętego królestwa, któremu jest potrzebna władza jakiegoś szczególnego rodzaju.

Wydaje ci się, że wiesz, gdzie jest w tobie sumienie, gdzie wola, gdzie pamięć, gdzie powstają pragnienia i skąd się biorą zakazy i ograniczenia. Nie znasz miejsca ich lokalizacji, ale wiesz po jakich łączach należy posyłać sygnały, żeby była na nie reakcja. Sumienie nie odzywa się samo z siebie, lecz na twoje wołanie; możliwe, że jest zdolne i do samodzielnych pytań — oczywiście, jest zdolne, ale nie nadąża: chce ci się wierzyć, że zwracasz się doń wcześniej. Wyobrażasz sobie, że tak też być powinno w powierzonym ci zakresie: żebyś z wyprzedzeniem mógł zareagować na bunt gotowy wybuchnąć lub na słabnącą zgodę, żebyś występował pierwszy i pierwszy zajmował stanowisko, a nie zjawiał się na żądanie.

Ty i one. Ty — władca, niosący w swoim ciele, jak w królestwie, wszystkie jego miasta i sioła, wszystkie urządzenia i więzi, całą hańbę jego i chwałę. I one, tworzące utajone życie twojego świata. To i jedna całość, i osobne poszczególne części składowe. Całość jedna i niepodzielna, kiedy panuje pokój i zgoda, kiedy drobne nieporozumienia, bez których nie obejdzie się żaden byt, trwają tylko dopóty, dopóki nie rozstrzygnie rozum. Właśnie tak: nieporozumienia — do czasu, kiedy rozstrzygnie rozum. I poszczególność — gdy następuje rozdźwięk i należące do ciebie dzierżawy odmawiają ci posłuszeństwa. Dopiero wtedy powstaje domysł, że są silniejsze od ciebie. Dlatego, że to one tworzą twoje czyny i myśli, kierują twoimi krokami i dobywają dźwięki twego głosu. Dlatego, że ty koniec końców jesteś śmiertelny, a one nie, one były w tobie z rozkazu jakiejś potężnej siły, której obrazu ty jednak nie umiałeś wywołać. I to ona, a nie ty, była ich władczynią, ty byłeś tylko czasowym ich pomieszkaniem, cienką otoczką wszystkiego tego, co sobą wyobrażały i skąd poszukiwały zgody i zjednoczenia ze światem. Nie spełniłeś ich nadziei, nie powiedziałeś, nie pokazałeś, co ci rozkazano. A to znaczy, że nie byłeś sobą, i nie ciebie, lecz tylko imię twoje będą żegnać, na powrót cię zwracając.

Bałagan naokoło — to jedna sprawa, a bałagan wewnątrz nas — to sprawa zupełnie inna. Iwan Pietrowicz czuł w sobie okrutne zniszczenie, jakby przeszły w nim nieprzyjacielskie wojska i wszystko zdeptały i zbrukały, zostawiając piekący dym, nadtopione skorupy i bezkształtne ostre szczątki z tego, co kiedyś było unormowanym w jakiś sposób życiem. Nie można powiedzieć, że wcześniej żył w pełnej zgodzie z sobą. W każdym, nawet pełnię zadowolenia osiągającym człowieku kiedyś coś odmawia posłuszeństwa i zaczyna skomleć albo żądać. Odmawiało i w nim. Ale to wymagało, powiedzmy, bieżącej konserwacji, Iwan Pietrowicz wiedział, czym się leczy te niedomagania — pracą albo dobrymi uczynkami. Nie robił dobrych uczynków tylko po to, aby nimi, jak maścią, posmarować doskwierającą ranę, robiły się same, i ból stopniowo ucichał. Ale zaraz potem otwierała się w coraz to nowym miejscu, żeby pokazać, iż nadal potrafią boleć i nadal umieją odczuwać.

I co to się teraz stało? Jak to jest, że całe jego z taką troską odbudowane wnętrze nagle zbuntowało się i rozgniewało na niego? Cokolwiek by robił — wszystko źle, gdziekolwiek by poszedł, za cokolwiek by się brał, jakaś siła zatrzymuje go i szepce z mściwymi nutami w głosie: a więcej nic nie mogłeś wymyślić? A więcej rzeczywiście nic nie mógł wymyślić, opadały mu ręce i ciało ogarnęła przenikliwa pustka.

Nie pamięta, od czego się zaczęła ta niezgoda z samym sobą. Od czegoś przecież musiała się zacząć, kiedyś po raz pierwszy jego dusza nie tylko nie przyznała mu racji, ale się zbuntowała i odmówiła zrozumienia. Nie akceptowała tego, jak żył. Ale w tym właśnie jest cały szkopuł, że zawsze starał się żyć w zgodzie z sumieniem, zawsze postępkami swoimi chciał służyć sprawiedliwości i pożytkowi, powszechnemu, jak mu się wydawało, dobru. A czyż dusza i sumienie nie są rodzeństwem, czyż to nie sumienie umacnia duszę, czyż między nimi jest waśń? Kiedy trzeba było mówić prawdę — mówił ją, kiedy trzeba było czynu — przystępował doń. Przecież nie co innego robił, jak tylko pilnował prawdy i pracy. I czyż nie istotne dla nich jest to, aby je pozostawić w granicach, w jakich zostały ujawnione człowiekowi? Prawda — to rzeka, koryto której wymoszczone jest twardymi kamieniami i brzegi której mają wyraźne piaszczyste lub kamieniste linie, rzeka o czystym i rwącym naprzód nurcie, a nie nieokreślona masa o chwiejnym poziomie gnijącej cieczy, i rozmytych i podmytych brzegach. Prawda wynika z samej natury, ani opinia publiczna, ani nakazy jej nie przerobią. No to dlaczego on, przestrzegający nieskalanej prawdy, zaczął nie tylko z innymi wojnę, z tymi, którzy akceptują ją tylko w połowie, ale i z samym sobą? Skąd ta pewność, że nie godzi się żyć, akceptując prawdę tylko w połowie lub w ogóle ją odrzucając (już lepiej wcale niż w połowie), i jednocześnie niewiara w siebie, stojącego dokładnie na przeciwległym krańcu wobec tych, którzy na pewno nie mają racji? Oni nie mają racji i on, mówiący, że oni nie mają racji, przestrzegający prawdy jak prawa, też jej nie ma. O co więc chodzi?

Może sumienie i prawda, komunikując się między sobą i uzupełniając się nawzajem, może nie są samodzielne i podporządkują się czemuś jeszcze ważniejszemu? Komu? Duszy? A co to, czy dusza, starająca się o porozumienie, gotowa jest służyć i waszym i naszym? Ale jeśli także i waszym, jeśli poszukuje sumienia i prawdy tam, gdzie te nawet nie zatrzymały się na nocleg, to znaczy, że prawda nie jest prawdą i sumienie nie jest sumieniem, tylko poszukującą i cierpiącą duszą. I co się z nią stanie, jeżeli sumienie i prawda zdeformowane zostały z jej łaski? W czym znajdzie oparcie? Dobrze, przypuśćmy, że dusza nie lubi prostolinijności i bezpośredniości sądów, że jest tak urządzona, że jej miło wyszukiwać ziarna pereł w górach śmieci, ale dopóki tam będzie grzebać, nic nie zostanie na swoim miejscu. No, ale co to takiego: miejsce, swoje, nie swoje, kto przeciągnął pomiędzy nimi granicę i dlaczego tak człowieka ciągnie poza tę granicę, i czy nie jest to nasz wspólny los — przejść na drugą stronę?

I, dowierciwszy się w nieskończonych „jak" i „dlaczego" nie otrzymujących odpowiedzi, ześlizgujących się z odpowiedzi jak z pionowej skały, dowierciwszy się do ślepej uliczki, do jakiejś oddalonej martwej pętli — Iwan Pietrowicz zawrócił: nic się nie da zrozumieć.

12.

W ostatnim magazynie, z mąką, nie tylko mąkę trzymali i kaszę, ale i cukier. Pomiędzy mąką i kaszą miał się z pańska: tamte, zwalone byle jak w workach na podłogę, pokryły się szarym kurzem, a dla cukru zrobiono specjalne miejsce w lewym rogu i podesłano brezent. Także opakowania, w których go trzymano, wyróżniały się czystością, były solidnie zszyte i porządnie ułożone. Jakby to nie swoje chłopaki znosili go i układali, a brygada sprowadzona z zagranicy. Z przyzwyczajenia zaczynający od rzeczy najcięższych, Iwan Pietrowicz podszedł do cukru. Ale Afonia Bronikow powstrzymał go:

— Za mąkę się trzeba wziąć, Iwanie Pietrowiczu. To wszystko... — i znowu, jak w tamtym magazynie, machnął pogardliwie ręką.

Tutaj przynajmniej nie przypiekało. Ale i tu trzeba się było śpieszyć, między nimi a ogniem był tylko niecały budynek. Ogromny i bezkształtny stos czy sąg mąki wznosił się na półtora—dwa chłopa. Na dwie osoby starczy roboty do następnego pożaru. Iwan Pietrowicz nie pozwolił sobie na strach przed robotą, nie było czasu, żeby rozrzucić wszystko i przeliczyć, tylko złapał pierwszy worek, jaki mu wpadł w ręce, leżący nieco z boku, nie zastanawiając się, dlaczego jest odłożony i z głową ugrzązł w mące. Worek rozszedł się na szwie, wrzucił go na siebie rozprutym bokiem Iwan Pietrowicz — i jak się nie zerwie cały biały, mąka zakleiła mu usta, wbiła się za kołnierz. Afonia nie wytrzymał i głośno zachichotał-zarechotał:

— Teraz, Iwanie Pietrowiczu, do Angary, potem na ogień — pieróg gotowy.

Otrząsnąwszy się i wypluwający mąkę Iwan Pietrowicz poczuł się dotknięty. Ale to, co powiedział, było rozsądne:

— Zamiast się śmiać, lepiej byś pomyślał, że razem wyniesiemy tyle, co kot napłakał. Na chleb nie starczy. Gdzie są ludzie?

— Kierownik miał zebrać...

— Ten twój kierownik już o wszystkim zapomniał... Gdzieś go zaciągnęli, i na tym się skończyło. Dzisiaj bez głowy biega.

Wyprostowawszy się z gotowością, świadczącą niezbicie, że zaraz złapie wszystkich za kark i przytarga tutaj, Afonia poszedł.

Iwan Pietrowicz z workiem na plecach zatrzymał się w drzwiach. Dokąd teraz? Do bramy daleko, a i nosić do bramy znaczyłoby torować drogę, która nikomu jest niepotrzebna. Obok jest płot, ale płot ma nogi, pilnuje magazynów przed myśliwymi, polującymi na wszystko, co jest porozrzucane po śniegu i błocie podwórza. A jednak płot trzeba przewrócić. I nagle Iwan Pietrowicz drgnął jak oparzony: a gdzie jest siekiera? Gdzie jest siekiera, którą zabrał z domu i którą rąbał dach? Gdzie ją rzucił? Iwan Pietrowicz już zawracał do ognia, ale przypomniał sobie, że w ostatnim magazynie, skąd wytaczał olej, siekiera była do niczego nieprzydatna, musiał ją gdzieś wcześniej zostawić. I siekiera się spaliła. Spaliła się siekiera, potrzebna teraz przy płocie bardziej niż ręce. Wziął z domu rzecz i zgubił ją.

Znowu wspomniał o Afonie i pełna lęku myśl zaświdrowała mu w głowie: żeby czasem, durna głowa, nie wpakowała się w nieszczęście. I wydało mu się, że dzieli ich teraz wielka odległość. Obok, lecz daleko. Widać, odległość tę mierzy się jakimiś innymi, nieznanymi krokami, którymi jeszcze nie kroczył.

Zanim zdążył gdziekolwiek pobiec, spojrzał jeszcze Iwan Pietrowicz na magazyn, z którego wyciągnął go Afonia: już tam nikt nie nurkował w otwór po drzwiach, ani zeń nie wyskakiwał, wyrzucano tylko przez kurtynę zbliżającego się wzorzystego ognia ostatnie puszki i flaszki. Jakim to trzeba być stracieńcem, jakim zwariowanym gierojem, żeby tam jeszcze wytrzymać. A przed drzwiami ktoś w białej zajęczej czapce w podskokach i zwodach przechwytywał w locie to, co wyrzucano, wykręcał takie salta, o jakich się cyrkowcom nie śniło. Przechwytywał, i nie oglądając się, odrzucał za plecy. Niedaleko w jaskrawym oświetleniu stał i patrzył na niego Boris Timofieicz. Pośrodku magazynu z artykułami przemysłowymi wzbił się wysoki płomień i ostrym światłem oświetlił całe podwórze, na którym wszystko, zdawało się, stało nieruchomo i lubowało się zręcznością chłopaka w białej zajęczej czapce. I stał, i lubował się Boris Timofieicz. Płomień opadł i kierownik zerwał się z miejsca i wszystko pozostałe też się zerwało i zaczęło się znowu miotać.

W tej krótkiej chwili, kiedy oświetlone było dokładnie całe podwórze, Iwan Pietrowicz zdążył zauważyć oparty o płot pobijak, którym posługiwał się na dachu Afonia, zostawiony tam teraz jakby specjalnie, gdzie mógł się przydać. Iwan Pietrowicz złapał go w biegu i uderzył z całej siły w poprzeczny drąg najpierw na górze i zaraz potem na dole. Płot runął, otworzywszy widok przez wydeptaną drogę na ogród i łaźnię jednorękiego Sawielija, z rdzennych chłopów angarskich. Iwan Pietrowicz odbił drugi koniec żerdzi, ta upadła i w tym momencie zjawił się pomocnik. W tę noc nie należało się niczemu dziwić, ale mimo wszystko Iwan Pietrowicz nie mógł powstrzymać zdumienia.

Pomocnikiem tym był nie kto inny, jak Saszka Dziewiąty, z archarowców. We dwóch podnieśli zwalone ogniwo płotu i ułożyli na drodze. Lepiej nikt by nie wymyślił: wyszła jakby podłoga — żeby nie kłaść mąki wprost na ziemię.

— Jeszcze jedno wiązanie, Iwanie Pietrowiczu — wesoło po łotrowsku zakomenderował Saszka. Znał go, okazuje się, z imienia, a nie tylko jako „obywatela prawnika".

Oderwali drugie wiązanie i położyli obok pierwszego. Zdążyli się podnieść, kiedy osiadł z ciężkim westchnieniem pierwszy narożny magazyn z artykułami przemysłowymi. Sypały się i sypały zeń iskry, zagłuszając krzyki i zasłaniając światło. Pobiegł tam Saszka. Iwan Pietrowicz widział, jak mężczyźni, których prowadził Afonia, rzucili się z powrotem. On też nie wytrzymał: trzeba było odszukać Alonę.

Alona stała o pięć kroków od sterty z towarami, przyniósłszy i rzuciwszy nań coś z brzękiem, i brzęk ten potwierdził, że nie przyszła z pustymi rękami. Teraz, zatrzymana przez rozpaloną falę idącą od przewróconego magazynu, która podpłynęła jej aż do stóp. Nie pamiętała już, skąd przybiegła, ani co przyniosła, i zapomniała, dokąd biec. Naokoło, zwróceni w jedną stronę, gdzie wszystko trzeszczało i iskrzyło, ludzie krzyczeli i wymachiwali rękami. Okrzyki były suche, a wymachy z podskokami i skłonami jak w jakiejś zabawie. W tym, jak zachowywali się ludzie, jak organizowali łańcuchy, żeby przekazywać z rąk do rąk paczki i zawiniątka, jak biegali po podwórzu i zderzali się, odwróceni do siebie tyłem, jak drażnili ogień, ryzykując sobą do ostatka, jak zaczynali to z sensem, to bez sensu krzyczeć — w tym wszystkim było coś nierzeczywistego, durnowatego, zdarzającego się w hazardzie i w nieopanowanej namiętności. Rzeczywisty był tylko ogień, w skupieniu i bez podstępów trawiący wszystko, co było na jego drodze.

Wreszcie skończyło się niepowstrzymane, wybuchowe iskrzenie i na dole, w ruinach magazynu, znowu zapłonął ogień. W postrzępionych rogach utworzyły się wydłużone i pochylone pochodnie.

C.D.N.

Przekład:
EWA-KATARZYNA NOWAK

# Zima nas sprawdzi

**Rozmowa z dyr. Miejskiego Przedsiębiorstwa Oczyszczania — STEFANEM SPRYSZYŃSKIM**

**— Jak znam życie — to znów was zaskoczy?**

— Zima? Może nie będzie tak źle. Już zresztą próbowała, bodajże 1 grudnia 1986 r., trochę było przymrozku, ale parę miejsc raptem posypaliśmy.

**— Solą czy piaseczkiem?**

— Solą, a dokładniej mieszanką chlorku sodu i chlorku wapnia.

**— Czyli nadal w naszej szerokości geograficznej nic mądrzejszego nie wymyślono? Nadal niszczymy sobie sami drzewa, obuwie, samochody, kanalizację?**

— Niestety, przy gołoledzi to najtańszy i najskuteczniejszy środek do jej zwalczania. Ale ograniczamy metody chemiczne do minimum; sypane będą tylko rejony skrzyżowań, przystanków komunikacji miejskiej, okolice wiaduktów, trudnych podjazdów, zakręty.

**— Średnio na jeden metr kwadratowy ile soli w sezonie spadnie mniej więcej?**

— Mniej więcej około kilograma, a jednorazowo 10—30 gramów.

**— A jak to wyglądało w minionym sezonie?**

— Średnio — około 2 kilogramów. Początkowo nawet mniej sypaliśmy, ale pod koniec, już na wiosnę, były decyzje by jednak nieco więcej...

**— Pewnie Ktoś ważny się pośliznął?**

— Tego już dziś obaj nie sprawdzimy...

**— Dużo MPO ma tych tras i tych „solniczek"?**

— W sumie musimy dbać o 4 miliony 200 tysięcy metrów kwadratowych, czyli około 390 kilometrów dróg i ulic. Cała ta pajęczyna podzielona jest na 24 trasy odśnieżania i posypywania, z tego 22 — to trasy chemiczne, a 2 — sypiemy piaskiem.

**— To pewnie trasa do Łagiewnik?**

— Owszem i ulica Wycieczkowa. Niech pan napisze wyraźnie, bo czasem się o tym zapomina: MPO oczyszcza wyłącznie te ulice, którymi biegną szlaki komunikacji miejskiej i arterie przelotowe, tranzytowe.

**— A za przeproszeniem — całą resztę? Zostawiamy „cieciom"?**

— Między innymi o inne ulice muszą dbać gospodarze posesji oraz zakłady pracy.

**— Wiem, wiem, u nas zawsze musi być akcja, musi być sztab, „siły i środki" i tak samo jest z zimą. No i czymże pan dysponuje w celu dopieszczenia tych marnych 4 milionów metrów kwadratowych?**

— MPO ma 46 pługopiaskarek...

**— ...chyba — solarek?**

— Oj, tak się przyjęło. Inaczej mówiąc: 46 pojazdów, 2 pługi wirnikowe i 3 śniegoładowarki.

**— Przy dużych opadach korzystacie jeszcze ze sprzętu większych baz transportowych?**

— Owszem, w tym sezonie mogę do akcji ściągnąć około 60 ciężkich wozów z Przedsiębiorstwa Transportu i Sprzętu Budowlanego, „Transbudu", „Pekaesu". Ale to już wyłącznie do pługowania.

**— Przepraszam, cóż to za piękna brudnoszara halda wielkości niewielkiej kamienicy piętrzy się panu za oknem prawie?**

— No to właśnie ten chlorek wapnia i sodu...

**— Jeszcze chyba urośnie, bo to przecież niecały zimowy zapas?**

— Trochę urośnie, bo musimy zgromadzić ponad 7600 ton, a tu mamy niecałe 5 tysięcy...

**— No właśnie i niech mi pan teraz odpowie na jedno zasadnicze pytanie: ma pan sprzęt własny, można ściągnąć na pomoc innych, trasy wyznaczone, halda soli czeka, macie własną stację meteo, wszyscy spięci, pełna gotowość, ale jak chwyci mróz i sypnie na biało, to nie zdarzyło się, byście pierwszą rundę z zimą wygrali. Niby jeździcie, niby sypiecie, ale zawsze jakby trochę za późno. Zawsze wcześniej ludziska pupy potłuką i samochody również.**

— Zaraz, zaraz, po kolei. Przede wszystkim jest zima, to znaczy, że kierowcy — i piesi również — muszą się przestawić na zupełnie odmienny, bardziej ostrożny styl poruszania się po mieście. My rzeczywiście mamy wcześniej wszelkie dane — temperaturę, wilgotność, przewidywane opady. Tylko bardzo często aura płata psikusa i my na przykład posypiemy nad ranem nasze trasy, a potem kierowcy stukają się w czoło, że sypiemy na suche. No bo akurat „nie złapało", choć wszelkie znaki na niebie i ziemi na to wskazywały.

**— Czasem bywa odwrotnie i to są znacznie groźniejsze niespodzianki...**

— Niestety, może się i tak zdarzyć, ale proszę nam wierzyć, naprawdę robimy, co w ludzkiej mocy, by zimowe anomalia wszyscy użytkownicy dróg przeszli jak najlagodniej...

**— Cóż, spróbujemy jakoś to wspólnymi siłami przetrzymać, a na zakończenie chciałem z innej beczki: czy wysypisko śmieci w Pałczewie już ruszyło?**

— Może o tym innym razem...

**— Nie, nie, dlaczego innym razem, przecież niedługo utoniemy w Łodzi w śmieciach. Józefów — nieczynny, Kalonka — zamknięta; gdzie obecnie wywozicie „resztki" z milionowego prawie miasta?**

— Komunalne — na Marmurową, a przemysłowe, czyli z zakładów pracy — do Nowosolnej, ale...

**— ...ale pewnie kończy się ich żywot?**

— Praktycznie już się skończył: pierwsze może przyjmować nasze wozy najdłużej, myślę, do lutego—marca 1987 roku, a do Nowosolnej decyzją Sanepidu wozimy tylko do końca grudnia 1986 roku...

**— Zostaje plac Niepodległości i parę innych?**

— Nie wiem, co zrobimy, sytuacja jest taka, jak opisałem.

**— A co z tym nieszczęsnym Pałczewem?**

— Mieszkańcy stawiają coraz to nowe warunki. Już nie chodzi o komunikację do Bełdec czy specjalną, okrężną drogę do wysypiska. Żądają melioracji gruntów, klubo-kawiarni, zainstalowania gazu, a także — lodówek i kombajnów...

**— Zatem składam panu życzenia szczęśliwego Nowego Roku.**

— Tylko taki mnie urządza...

**Rozmawiał: DARIUSZ DOROŻYŃSKI**

## 1 Książki są w księgarni?

No, właśnie! Czy fakt, że książki są w księgarni, to dobrze, czy źle? Można byłoby zadać naiwne pytanie: a — przepraszam — gdzie mają być? Może w sklepie z żelazem, w piekarni, czy w tekstylnym, gdzie nie tak dawno była tylko herbata? Wydawałoby się, że księgarnia jest tym miejscem, w którym powinny być książki. I powinny leżeć na ladzie, stać na półce i czekać na klienta. Już widzę, jak się niektórzy łapią za głowę i wykrzykują, że piszę herezje. Spróbujmy zatem rzecz uporządkować.

Kryzys, jaki przeżywamy, charakteryzuje się tym, że nasze oczekiwania, pragnienia, potrzeby są większe od możliwości ich zaspokajania. Fakt ten, nie przez wszystkich do końca i w całości uświadamiany, spowodował całkowitą zmianę punktów odniesienia. Przywykliśmy bowiem, że wszystko, co ukazuje się na rynku musi natychmiast znikać. Mamy bowiem zjawisko nie nadprodukcji, a niedoprodukcji — jeśli można użyć takiego neologizmu. Kolorowe telewizory, choć drogie znikają szybko. Wiele dóbr materialnych sprzedaje się tylko na talony i nie tylko młodym małżeństwom, aby im umożliwić prawidłowy rozwój. Tak więc również książka znikała szybko, a niektóre tytuły w ogóle nie ukazywały się na księgarskiej ladzie.

Niemal jednocześnie ukazały się na przykład dwie książki debiutanta: Leonarda „Inkarnacja" i „Upiór". Wydane przez dwa różne wydawnictwa: MON i „Czytelnik". Książek tych nigdy nie było na żadnej ladzie, nie stały ani chwilę na półce. Rozeszły się wśród stałej klienteli księgarń, co uważam za zjawisko pozytywne, gdyż są to na ogół ludzie, dla których książka jest częścią ich warsztatu, a więc krytycy, pisarze, dziennikarze, artyści, naukowcy. Przy okazji książki takie dostają się w ręce spekulantów, ale są to niejako naturalne skutki braku czegoś. W takich warunkach zawsze powstaje spekulacja. Zresztą obie książki Leonarda ukażą się niebawem ponownie.

Są więc nadal książki, które znikają i są książki, które leżą. Ale, czy w tym jest coś dziwnego, nienaturalnego? Na przykład znane i cenione opowiadania Adolfa Rudnickiego leżą, a jego „Krakowskie Przedmieście pełne deseru" zniknęło i jest poszukiwane. Wiadomo też, że literatura historyczna cieszy się u nas ogromnym powodzeniem. Ale na przykład książka Jana Wróblewskiego „ARMIA „PRUSY" leży. Jej poprzedniczki: „Armia Pomorze" i „Armia Poznań" zniknęły niemal błyskawicznie, ale też i kosztowały o wiele mniej.

Podejrzewam, że pięknego albumu Państwowych Wydawnictw Rolniczych i Leśnych „Świat zwierząt" (Wydanie II) w cenie 1800 złotych, wydanego zresztą w Bratysławie, nikt chyba nie widział na księgarskiej ladzie. I tak można byłoby mnożyć przykłady. Encyklopedie, słowniki, leksykony znikają błyskawicznie. Zapotrzebowanie na tego rodzaju wydawnictwa jest ogromne. I to powinno cieszyć i trzeba z tego wyciągać wnioski. Chociaż przy okazji warto zwrócić uwagę, że „Encyklopedia seniora" leży, ale znów nie trzeba upatrywać w tym czegoś nienaturalnego.

Spróbujmy teraz doszukać się w tym wszystkim jakichś prawidłowości. Po pierwsze — rynek czytelniczy musi być różnorodny. Oferta księgarska powinna być maksymalnie wielostronna. Powinna składać się z pozycji popularnych, przeznaczonych dla szerokiego kręgu odbiorców i z pozycji specjalistycznych, adresowanych już do wybranych grup klientów, zarówno specjalistów, jak i ludzi interesujących się danymi dziedzinami wiedzy. Po drugie — zróżnicowane powinny być też ceny książek. Wydawnictwa popularne, drukowane w masowych nakładach, na których się zarabia, powinny mieć przystępne ceny. Wydawnictwa adresowane do węższych kręgów odbiorców — ceny wyższe, ale i powinny to być książki staranniej wydawane. Po trzecie — mechanizmy działania księgarń powinny być tak ustawione, aby księgarnie były zainteresowane w sprzedaży wszystkich pozycji i nie były karane za to, że niektóre pozycje muszą poleżeć i poczekać na klienta. Po czwarte — dziś już „Dom Książki" — a i wydawnictwa chyba też — powinny zrozumieć, że szybkość sprzedaży książek zależy również od dobrej informacji i reklamy. I o taką informację i reklamę powinni zabiegać. A to musi kosztować. Nic darmo w dobie reformy.

Trzeba chyba cieszyć się z faktu, że na ladach księgarskich pojawiły się nowe książki i nie znikają tak szybko. Ale też trzeba nauczyć się traktować rynek, jak rynek, a nie nieustannie wydziwiać, biadolić i narzekać. Z tego nie będzie żadnego pożytku. I jeszcze jedno. Encyklopedie, słowniki, leksykony i literatura klasyczna powinny być w ciągłej sprzedaży. Być może do tego też dojdziemy.

**WITOLD BOROWY**

## 2 Nagłe zastępstwo

## Anty-alkoholowa partyzantka

Któreś ze społecznych ciał zajmujących się zwalczaniem alkoholizmu wytoczyło proces „Skautom piwnym" za propagowanie pijaństwa i reklamę piwa, bo są to działania sprzeczne z prawem a w szczególności z przepisami ustawy o wychowaniu w trzeźwości. Paru publicystów i felietonistów natrząsało się z tego, toteż mogę sobie darować — przypomnę tylko, że skoro można skarżyć druha Borygo to z powodzeniem można też skarżyć wojaka Szwejka, Onufrego Zagłobę, Martina Edena itp. itd.

Telewizja pokazała przed kilkoma tygodniami pierwszy odcinek serialu kryminalnego, którego bohaterem jest adwokat-alkoholik, grany przez Emila Karewicza. Drugi odcinek został odwołany — było to w czasie Kongresu Związków Zawodowych, toteż przypuszczałem, że film został zatrzymany przez licznych (niegdyś) w TV „freudystów" czyli specjalistów od swobodnych skojarzeń. Państwo rozumiecie: tu ważny kongres, sprawozdanie z niego a zaraz potem jakiś kryminał... Trochę się zdziwiłem, bo myślałem, że etaty freudystów już w TV zlikwidowano. I miałem rację! Serial nie został wznowiony także w następnych terminach. Podejrzewam w tym rękę działaczy antyalkoholowych: — jakże to, wychowujemy naród w trzeźwości a pijanica ma być bohaterem pozytywnym? Po naszym trupie! Może się mylę, są to tylko moje przypuszczenia. Ale przypuszczenia uzasadnione — bardzo mi się to trzyma kupy, a mylić się nie lubię...

Działacze antyalkoholowi w naszym kraju prowadzą wojnę. Świętą wojnę o słuszną sprawę. Ale nie mają, niestety, kwalifikacji na dowódców. Gdyby je mieli, prowadziliby tę wojnę rozsądniej, a więc i skuteczniej.

Każdy, kto choć otarł się o szkolenie wojskowe powinien wiedzieć, że pierwszym i najważniejszym obowiązkiem dowódcy jest ocena sił przeciwnika, porównanie ich z siłami własnymi i dopiero potem wybór taktyki. Działacze różnych komitetów antyalkoholowych i im podobnych ciał głoszą wprawdzie, że pijaństwo i alkoholizm to straszliwe klęski (czyli doceniają przeciwnika), ale żadnych wniosków z tego nie wyciągają i zachowują się tak, jakby przeciwnik był właśnie słabiutki i przestraszony a oni, tj. wyżej wymienione komitety dysponowały potęgą niezmierzoną. Wróg się ukorzy dziś a najdalej jutro, trzeba tylko na niego huknąć.

Pijaństwa w Polsce nie wykorzeni się ani za rok, ani do końca naszego stulecia (obym się mylił!). Siły, jakie przeciwstawiają mu działacze antyalkoholowi tj. plakaty z hasełkiem: „Z pijanym nie tańczę!", pogadanki o szkodliwości picia, których wysłuchują wyłącznie abstynenci, to żadna broń. Zatem, zamiast przeceniać własne siły trzeba przyjąć taktykę, jaką dyktuje sytuacja. Nazwałbym ją taktyką partyzancką. Nie krzyczeć głosem wielkim, nie wytaczać procesów postaciom literackim, nie obiecywać sobie natychmiastowego sukcesu — pełnej, powszechnej i absolutnej abstynencji narodowej, którą raz dwa można osiągnąć, jeśli tylko w polskich filmach nie będzie scen pijackich.

Trzeba działać chytrze i podstępnie. Zamiast propagować pełną abstynencję — propagować inną kulturę picia. Właśnie piwa na przykład, albo niskoprocentowych coctaili, albo importowanego wina. (Właściwie niepotrzebnie dodaję słowo „importowane". Innego nie ma! Płyn, jaki sprzedaje się jako wino krajowe ma z prawdziwym winem tyle wspólnego co worek parciany z jedwabną suknią).

Co jakiś czas czytam w prasie, że dzięki interwencji społecznej zlikwidowano gdzieś kolejną pijalnię piwa. W związku z tym „margines" wyniósł się do innej pijalni, gdzie występuje liczniej i groźniej. A właśnie towarzystwa i komitety „do walki" powinny domagać się otwierania winiarni i pijalni z prawdziwego zdarzenia, gdzie można się napić kulturalnie, po ludzku.

Zamiast, powołując się na ustawę, domagać się zlikwidowania sprzedaży alkoholu tu i ówdzie, rozsądniej byłoby wywierać nacisk na producentów wódki i wina, aby zaprzestali produkcji straszliwej hary pod łacińsko-patriotyczną nazwą „Vistula" czy podstołowa", całkowitego zakazu produkcji wina marki „Wino" itp. itd.

Działacze antyalkoholowi oczywiście mnie nie posłuchają, może nawet podadzą do sądu za reklamę wina i piwa. I dalej będą organizować sympozja, wydawać broszurki, plakaty i folderki z budującymi opowiastkami. Sami je będą czytać i oglądać, bo żaden pijanica po te dzieła nie sięgnie. A że koniec roku się zbliża, więc pewnie najaktywniejsi w zwalczaniu kryptoreklamy alkoholu przydzielą sobie nagrody. Na zdrowie!

**ANDRZEJ KAROL**

## 3 Sport

## Niebo bez gwiazd

Zbliża się koniec roku i wszyscy zaczynają zbierać kandydatury do różnych plebiscytów. Namnożyło się tego sporo. Nie chcę się chwalić, ale pisałam kiedyś, że takie mnóstwo plebiscytów powoduje spadek ich znaczenia. Każde województwo chce mieć swego najlepszego sportowca i trenera. Gdy było jeszcze z czego wybierać, to połowa biedy. Ale nagle zrobił się deficyt kandydatów.

Katowicki „Sport" podjął w tej sytuacji męską decyzję i choć decyzja ta nie wszystkim przypadła do gustu, to postanowił w 1986 roku nie przyznać nikomu „Złotych Kolców". Nie było w mijającym roku sukcesów w naszej lekkiej atletyce, kogo tu więc honorować złotymi kolcami. Pochwalam tę decyzję „Sportu", bo po co utrzymywać fikcję i robić gwiazdy na siłę. Już kilka takich sztucznych gwiazd zrobiliśmy i tylko krzywda im się stała, bo uwierzyli w swoją sztuczną nadzwyczajność.

O tym, że kryzys mamy również w sporcie mówiło się i pisało od dawna, ale jakoś sport szedł dawnym rozpędem. Można było się zatem spodziewać, że dno ujawni się znacznie później. I oto słowo ciałem się stało. A już niektórym się wydawało, że jakoś się uda, że znów jakoś to będzie.

Andrzej Lewandowski w „Trybunie Ludu" ostrzega, że „mogą być w grudniu kłopoty z wyborem sportowca miesiąca". Wynikną one ze „stanu rodzimego sportu", gdyż między innymi „wyjdą na jaw (...) słabości sportów zimowych". Ładnie powiedziane. Elegancko. Wystarczy popatrzeć na listy zgłaszane do plebiscytu „Przeglądu Sportowego", aby wyszły na jaw słabości nie tylko sportów zimowych. I nie tylko słabości, ale kompletne dno.

Oczywiście, są dziedziny sportu, w których mimo kryzysu, mimo wielu rozmaitych trudności i przeszkód coś się dzieje. Na przykład w naszym lotnictwie sportowym. Uważam, że wysoko powinni się ulokować znakomici piloci: Janusz Darocha i Krzysztof Lenartowicz. Lotnictwo sportowe jest jednak mało widowiskowe. Największe emocje przeżywają piloci, a nie kibice i dlatego, choć nasi piloci mają wspaniałe wyniki, to ich szanse na prymat oceniam raczej średnio. Ale jestem za!

Mieli sukcesy zapaśnicy, ciężarowcy, gimnastycy i gimnastyczki. Lanie brali lekkoatleci, koszykarze, koszykarki, siatkarze, siatkarki, panowie i panie grający w piłkę ręczną. Mało słychać o naszych hokeistach. Kryzys — i to poważny — przeżywa nasza piłka nożna.

„Piłka Nożna" wzorem minionych lat zrobiła po jesiennej rundzie ligowych rozgrywek zestawienie najlepszych w 1986 roku. Dokonuje ona klasyfikacji w trzech kategoriach: w klasie międzynarodowej, reprezentacyjnej i krajowej. Otóż w klasie międzynarodowej mamy jednego piłkarza: Włodzimierza Smolarka, który jeszcze na początku roku grał w Widzewie. W klasie reprezentacyjnej znalazło się dwóch piłkarzy: Roman Wójcicki (podobnie jak Włodzimierz Smolarek przez część roku grał w Widzewie) i Jan Karaś z Legii.

Przy okazji warto sprawdzić, jak uplasowali się wśród najlepszych piłkarze Widzewa i ŁKS. I tak wśród bramkarzy na drugiej pozycji jest Henryk Bolesta, wśród „forstoperów" na pierwszej Kazimierz Przybyś, wśród prawych pomocników na czwartej Tadeusz Świątek, wśród środkowych pomocników na szóstej Leszek Iwanicki, wśród lewych pomocników na siódmej Wiesław Wraga. Wyróżniono czterech piłkarzy ŁKS: wśród prawych pomocników na ósmej pozycji Marek Chojnacki, wśród defensywnych pomocników na szóstej Juliusz Kruszankin, wśród środkowych pomocników na czwartej Grzegorz Więzik i wśród lewych pomocników na trzeciej Jacek Ziober. Przy okazji kibice mogą sobie zrobić przegląd słabych pozycji obu łódzkich drużyn. Zastanowić się nad tym powinni również specjaliści — trenerzy i działacze.

A więc najbardziej widowiskowa, budząca ogromne emocje gra dla tysięcy też ujawniła swoje słabości. Wśród kandydatów do plebiscytu „Przeglądu Sportowego" znalazło się tylko dwóch piłkarzy — i słusznie — obaj sklasyfikowani wysoko przez „Piłkę Nożną": Włodzimierz Smolarek — klasa międzynarodowa i Jan Karaś — klasa reprezentacyjna.

Smutno chyba będzie na balu sportowca w zbliżającym się karnawale. Będzie na tym balu dużo mało znanych ludzi. Czy zatem zawiesić plebiscyty? Nie. Tylko wyciągnąć z nich właściwe wnioski. Żeby to nie była zabawa dla zabawy. Żeby to był motor dla sportu. Żeby można było odbić się od dna. Najwyższa pora! Bo sportowe niebo jest już bez gwiazd.

**BOGDA MADEJ**

# Agonia w błysku stu słońc

## Jacek Sawaszkiewicz

**(30)**

Było to wczoraj, na tej samej polanie, na której teraz dobiegały końca przygotowania do rytuału agnihotry. Eccels stał w oddaleniu od stosu ułożonego tuż na skraju lasu, palił „Camela" i obserwował tych ludzi krzątających się cicho i sprawnie, pogodnych, pełnych wewnętrznego spokoju i ciepła. Wiedział, że pomiędzy nimi krążą tajniacy, ale nie zadawał sobie trudu, by wyłowić któregoś wzrokiem. Stał, palił papierosa i chłonął panującą tu atmosferę.

— Przybliżcie się, siostry i bracia! — powiedział Elias wyciągając przed siebie ręce. — Przybliżcie się i usiądźcie półkolem przy stosie! Niech zapłonie święty ogień agnihotry, który nas oczyści!

Eccels stał nadal, palił papierosa i czuł, że spływa na niego spokój.

W przeciwieństwie do Cedrica Eccelsa sierżanta Chipa Dennisa dręczyły obawy. No, wprowadzenie na teren „Trójkąta" osoby cywilnej jest poważnym uchybieniem wobec regulaminu, jest złamaniem rozkazu, a on przecież tam z tyłu wozu nakryte plandeką, wiezie kurwiszcze jak najbardziej cywilne i niech no Kolbie na bramie zechce się wsadzić nos pod tylne siedzenie, miesiąc paki murowany.

Wczoraj po południu Chip Dennis wziął przepustkę na dwa dni i gazikiem wypuścił się do miasta, żeby przyrżnąć coś elegancko, bo już mu pompę rozsadzało. Do wieczora łaził jak błędny po barach, buszował w zakazanych uliczkach i nic. Wszystkie dziwki z klasą wyniosły się gdzie indziej, zostały tylko stare pudła. Wreszcie wieczorem w „Muszli Pacyfiku" przyuważył niezgorszą sztukę, Twiggie miała na imię. Ale ledwie ją zagaił... „Pan Bliss pytał o ciebie, Twiggie" — powiedziała do niej jakaś upudrowana lampucera i obie zaraz się zmyły z tego baru, tak że on poszedł do łóżka, psiakrew, sam. Perkalowa pościel była chłodna i delikatna, materace miękkie, aż miał ochotę wyć do księżyca albo włożyć go między sprężyny, albo co... I dopiero dzisiaj wstrzelił się w cel. Gawędził z barmanem, takie tam dyrdymały na temat radioaktywnej plamy, kiedy przyfalował ten kociak.

— Samotny jesteś, żołnierzu?

— Piesko samotny, ślicznotko.

— To jest już nas takich dwoje.

— Czego się napijesz? Whisky, dżin, bourbon? Jak ci na imię, ślicznotko?

— Ira.

— Pięknie. A może weźmiemy butelkę i pójdziemy do mojego pokoju?

Dziewczyna niezachęcająco machnęła ręką.

— Na razie usiądźmy tutaj, żołnierzu.

— Mów mi Chip, skarbie.

No i klapnęli przy stoliku, potem była gadka-szmatka, a teraz wiózł tę cizię gazikiem, schowaną pod tylnym siedzeniem, żeby przemycić ją przez posterunki — tak jak stanęło w umowie. No, tam jej da do wiwatu, mamuniu, ale jej da popalić!

— Uważaj, ślicznotko— rzucił za siebie. — Dojeżdżamy. Ani mru-mru i przestań nawet oddychać.

Ira Buell leżąc między kartonem whisky a jutowym workiem wypchanym klekoczącymi puszkami piwa, jeszcze bardziej skuliła się pod brezentową plandeką. Serce waliło jej mocno, ale równomiernie i wolno. Podobnie jak słuchacze, adepci i wyznawcy Eliasa, którzy daleko stąd na polanie akurat odprawiali rytuał agnihotry, była pełna wewnętrznego spokoju i ciepła. Wiedziała, że dostanie się na teren „Trójkąta'", wiedziała o tym, od kiedy zobaczyła tego sierżanta w barze, w hotelu „Muszla Pacyfiku", gdzie spędziła z Nicholem parę upojnych nocy — tylko nocy, bo w dzień nie miał on chwili wytchnienia, pracując jako naganiacz dla handlarza nieruchomościami, a ona też nie traciła czasu: z determinacją, metodycznie szukała kogoś właśnie w rodzaju sierżanta Dennisa, który na jej widok zapytał w tym barze:

— Napijesz się ze mną, ślicznotko?

Zmierzyła go taksującym spojrzeniem. Był dojrzały jak banan na straganie.

— Dokucza ci samotność, żołnierzu?

— Teraz już nie — odrzekł dając znak barmanowi. — Wolisz whisky, dżin czy bourbon?

— Może być bourbon, żołnierzu.

— Mów mi Chip, ślicznotko. Ze szklaneczkami usiedli przy stoliku pod oknem.

— Posłuchaj — postawiła sprawę jasno — możemy się zabawić. Ale musisz zrobić dla mnie jedną rzecz.

— Zrobię tę rzecz, ile razy zechcesz, ślicznotko. Mogę ją z tobą robić do rana, ciągle tę samą rzecz.

— Posłuchaj — podjęła z naciskiem. — Posłuchaj... powiedziałeś, że jak ci na imię?

— Chip, skarbie.

— Posłuchaj, Chip. Mnie na forsie nie zależy. Chcę się tylko dostać na teren „Trójkąta".

Rozdziawił usta.

— Ocipiałaś?

— Nie myśl sobie, że jestem zwykłą knajpianą tuftą. W Denver faceci płacą mi... No, nie robię tego z każdym, nie muszę łapać okazji i jeszcze nigdy nie zeszłam poniżej dwóch stów. Ale już ci powiedziałam: nie chcę od ciebie forsy, chcę tylko żebyś mnie zawiózł...

— Coś ty za jedna? Jakaś chromolona dziennikarka?

— Nie jestem nikim takim, Chip — potrząsnęła głową. — To jest moja prywatna sprawa, bardzo osobista. Chcę znaleźć... obejrzeć pewne miejsce.

— Pewne miejsce?

Zmusiła się do uśmiechu i znów potrząsnęła głową. Nabrała przekonania, że on w końcu przyjmie jej warunki.

— Nie rozumiesz, Chip, mój chłopcze. To nie ma żadnego związku z tym, co się tam dzieje. Nic mnie nie obchodzą twoje rakiety, plamy radioaktywne czy co tam ukrywacie przed ludźmi, nic, ani trochę. I to by potrwało najwyżej kwadrans. A potem będziemy mogli pójść do ciebie.

— Pójść do mnie?

Odchyliła się na oparcie krzesła. Wysoko unosząc kolano założyła nogę na nogę i zaczęła obracać w palcach guzik przy bluzce. To zawsze zwraca uwagę klienta i pomaga uwydatnić kształty — raczej zgrabne, dorodne i ponętne.

— Żeby się zabawić — wyjaśniła. — Tam, tutaj, w samochodzie, w hotelu, pod namiotem czy pod gołym niebem... gdziekolwiek. Wiesz, ja nie robię tego z każdym, kto ma forsę, ale jeśli jakiś facet już mi się spodoba, chłopcze mój słodki, potrafię być dla niego niezmiernie miła i uszczęśliwić go jak żadna inna na świecie.

Siła bezwładu łagodnie pchnęła ją do przodu i Ira poczuła że gazik hamuje i staje. Leżąc pod tą plandeką cuchnącą benzyną i smarem, poprzez rytmiczne stukanie cylindrów i hałas rezonującej blachy usłyszała pojedyncze, urywane słowa wypowiadane falsetowym głosem:

— ...żancie... w mieście... dziwki...

— Uwierzysz — odparł Chip — jak ci powiem, Kolba, że cała ich kolejka stała pod moimi drzwiami?

— ...i... prędko...

— A ty byś stamtąd nie zwiał w mojej sytuacji? Żebyś widział, jak piszczały, jak przepychały w tej kolejce.

Coś zachrobotało metalicznie o drzwiczki wozu i Ira naprawdę wstrzymała oddech.

— Co tam wieziesz, sierżancie? — Ten sam falsetowy głos rozlegał się teraz gdzieś ponad nią, bliższy i wyraźniejszy.

— Lepiej ty, Kolba, nigdzie tam nie filuj, bo chwyci cię kurewskie pragnienie...

— Mniam-mniam, whisky, co?

— ...i piekielnie trudno będzie ci wytrzymać do końca służby.

— Organizujesz popijawę dziś w nocy?

— Tak, ale zachowaj to dla siebie, dobra? Bo mi się zwali na kark pół kompanii chromolonych rypańców.

— Chcesz przez to powiedzieć — głos zaczął się oddalać — że ja... zaproszenie...

— Nigdy nie zapominam o kumplach.

— W porządku... ...żancie... droga -olna...!

Gazik szarpnął do przodu i twardy kant czegoś-tam dźgnął Irę między łopatki. Około minuty jechali w milczeniu, po czym Chip rzucił za siebie:

— Dobra. Możesz już stamtąd wyleźć. Tylko nie wystawiaj za bardzo głowy.

Z ciemności o barwie khaki, z oparów benzyny Ira wynurzyła się na przedwieczorną światłość dnia, na aromatyczną świeżość powietrza. Brama, posterunek przy bramie i druty kolczaste — wszystko to pozostało daleko w tyle. Wóz toczył się po szosie, która szerokością swojej asfaltowej nawierzchni bezwzględnie przecinała dżunglę. Tam, pod koronami drzew o gęstych, pierzastych liściach panował półmrok — o barwie takiej jak pod brezentową plandeką. Słaby powiew niósł bagienną woń i szeleścił w kiębowisku gałęzi, lian oraz epifitów, gdzie aktywne, energiczne i wrzaskliwe życie wciąż jeszcze kipiało przed nadchodzącą porą spoczynku. Niżej, nad powierzchnią rozlewisk, wznosiła się plątanina grubych, łukowatych i rozkraczonych korzeni. Przypominały wykręcone reumatyzmem odnóża, które zbuntowana dżungla — można by odnieść wrażenie — wyciąga z mokradła, żeby w ostatecznym zrywie ruszyć przeciwko człowiekowi i jego cywilizacji.

Wreszcie na miejscu — pomyślała Ira.

W przeciwieństwie do Iry Buell Doreen Thornhill to samo zdanie powiedziała głośno:

— Wreszcie na miejscu!

— Niestety — dodał ciszej Jeremy Brown patrząc, jak jego koleżanka przekręceniem kluczyka w stacyjce gasi silnik, jak bierze torebkę, jak otwiera od swojej strony fiołkowe drzwiczki Chevroleta Accord Leila.

No bo z czego niby się cieszyć? — pomyślał. — Ze zmarnowanych tylu wspaniałych okazji? Zgoda, Saint Augustine można było sobie ewentualnie odpuścić, ale żeby nie zwiedzić nawet Centrum Lotów Kosmicznych, skoro przejeżdżali tuż obok Cape Canaveral — to już się we łbie nie mieści. Czyż nie przede wszystkim to Centrum powinni byli zobaczyć? — zwłaszcza że dla szerokiej publiczności odbywają się tam pokazy symulowanych podróży na Księżyc i w ogóle do różnych zakątków Układu Słonecznego. „Jeśli nadal mamy pisać o wyprawach międzygwiezdnych — perswadował Doreen — warto chyba, żebyśmy wyrobili sobie o nich jakie takie pojęcie". Ona jednak, od kiedy w Saint Augustine odebrała mu kierownicę, pomknęła autostradą na południe z prędkością rakiety balistycznej. Oczywiście zemściła się na nim za to, że z Lake City pojechał do Jacksonville, że zawiózł ją tam może odrobinkę wbrew jej woli.

— Wreszcie na miejscu! — Stojąc obok samochodu, podczas gdy Jeremy opróżniał bagażnik, Doreen przeciągnęła się i spojrzała na lodowatoniebieski neon rozbłyskujący w zmierzchu, nad wejściem do hotelu. — Czy mnie wzrok nie myli? „Muszla Pacyfiku"? Ci ludzie chyba nie wiedzą, nad jakim oceanem leży ich miasto.

— Och, nie bądź taka sakramencko drobiazgowa — odburknął Jeremy.

Teraz przynajmniej nie musiał jej ustępować ani dogadzać. I niech mnie diabli, pomyślał, jeśli pójdę z nią dzisiaj do łóżka.

No, żeby zmarnować taką okazję: Centrum Lotów Kosmicznych! Czyż pobyt w cudownym miejscu nie mógłby uskrzydlić ich fantazji, nasunąć im mnóstwo śmiałych, nowatorskich, błyskotliwych pomysłów fabularnych? Mmm... Co do pomysłów, to ten sprzedawca kiełbasek w Vera Beach powiedział, że są tu fermy aligatorów. Tresowanych i wybitnie inteligentnych. I pod ochroną. Ciekawe. Ktoś, kto potrafi inkarnować w dowolne zwierzę, jako aligator znalazłby pod tą szerokością geograficzną idealny azyl. Nietykalność zapewniona, wymarzone warunki klimatyczne, żarcie za darmo, rozrywki za darmo, towarzystwo za darmo, słońce za darmo, bagna za darmo, a w zamian trzy razy dziennie godzina igraszek z treserem dla rozruszania stawów i ku uciesze prymitywnej gawiedzi, której reakcje można tą metodą badać naukowo w celach poznawczych. Więc należałoby się zastanowić, jaka to obca cywilizacja obrała sobie Florydę za pozaplanetarne wczasowisko i za placówkę doświadczalną i nadużywa ludzkiej gościnności — niecnie i bezczelnie.

Ale... pomysł ten zawiera analogie do... zaraz, zaraz. No, tak, oczywiście... do opowiadania „Tom Edison's Shaggy Dog" Vonneguta. Znowu Vonnegut! Więc raczej należałoby się zastanowić, czy jednak nie zrezygnować z rozwijania tego pomysłu.

Doreen wstąpiła na schodek u wejścia do hotelu i pchnęła drzwi. Przez sekundę, ale doprawdy nie dłużej, miała przed sobą statyczną scenę: przy dźwiękach słów, które padały z radia, ludzie w hallu trwali w skamieniałych pozach. I nagle, jakby na odgłos filmowego klapsa, scena ta ożyła i ludzie ci zaczęli się poruszać, mówiąc jednocześnie i gestykulując.

Doreen podeszła do recepcjonisty.

— Przepraszam — powiedziała obojętnie, chociaż jej wyobraźnia już pracowała gorączkowo: oto świat przyłapany na dziwnym zniekształceniu, jakby ten, który animuje otaczającą ją rzeczywistość, zagapił się na sekundę, albo jakby ona wkroczyła w swoją przyszłość o sekundę za wcześnie, albo... och, ileż w tym epizodzie tkwi możliwości interpretacyjnych! — Chcemy wynająć dwuosobowy pokój.

Recepcjonista zwrócił na nią szkliste oczy.

— Słyszała pani? — zapytał. — Właśnie podali przez radio, że Elias nie żyje.

W przeciwieństwie do Doreen Thornhill sierżant Chip Dennis jeszcze nie wiedział o śmierci Eliasa. A gdyby nawet wiedział, niewiele by go ona obeszła. W myśl filozoficznej zasady, która głosi, że przeszłość nie istnieje, przyszłość nie ma znaczenia, a liczy się tylko tu i teraz, obchodziło go jedynie ciało tej młodej kobiety klęczącej w mroku u jego stóp — właśnie tu i teraz. Bardzo go ono obchodziło. Bardzo, bardzo. Bardzo, bardzo, bardzo.

— Starczy tej zabawy — powiedział cicho. — Kładź się!

Stał nad nią pochylony i niezręcznie odpinał pasek przy spodniach.

— Pomóż mi — jęknęła Ira znad dołu, który wygrzebała w ziemi.

— Jasne. Zaraz ci pomogę, no pewnie. Tylko przymknij gębę, bo obok są baraki dowództwa.

Dosyć tego, psiakrew! Jak błędny woził tę dziwkę gazikiem po bagnach, z miejsca na miejsce, ryzykując, że wpadną, bo tych podejrzliwych rypańców z patroli pęta się wszędzie do diabła i trochę, czas leciał, a ona ciągle nie mogła się zdecydować, aż w końcu dojechali do tego tu wzgórza i wtedy to kurwiszcze — łaps! za łopatkę saperską i dalej kopać w tym torfie. Co za siupy ona wyprawia, do ciężkiej cholery? Powinna już stąd wypierdalać — i to jak najszybciej. I on też powinien być już w namiocie, chłopaki czekają tam pewnie na swoją whisky i tylko tego brakuje, żeby wskoczyli do wozów i zaczęli go szukać.

Jeszcze raz rozejrzał się wokół, nastawiając uszu i usiłując przeniknąć wzrokiem gęstniejącą ciemność. Spuścił spodnie i opadł na kolana przy dziewczynie. Z wprawą weterynarza, który bada ciężarną klacz, wsadził jej od tyłu rękę pod spódnicę, przesunął dłonią po gładkiej skórze w górę i bezbłędnie trafił na opaskę jedwabiu wilgotną od potu.

— Zostaw! — zawołała Ira. — Nie teraz!

— Stul gębę, ślicznotko. Bo jak się chłopaki zwiedzą, przerżną cię na wylot.

Szarpnięciem ściągnął jej figi do połowy ud i znów przesunął dłoń w górę, przy czym jego gruby paluch wśliznął się w nią głęboko. Przez minutę Chip Dennis walczył zawzięcie z wypiętym tyłkiem dziewczyny rozmajtanym w obronnych ruchach, potem przygniótł ją własnym ciężarem do ziemi.

— Stul gębę, powiedziałem — powtórzył dysząc. — Dałem ci dziesięć razy po kwadransie.

Jej nagie pośladki pod nim, ciepłe i jędrne, nadal poruszały się krnąbrnie i Denis poczuł, że musi się pośpieszyć. Ostrożnie cofnął rękę, wbił kolano między nogi dziewczyny i rozepchnął je na boki.

— Nie teraz! — krzyknęła Ira. — Puść mnie, puść! Trzeba go pochować! Proszę!

— Zamknij się, siostro! — wysapał Dennis. Chwycił ją za włosy i wdusił jej twarz w świeżo wykopany kopiec torfu. — Właśnie chcę to zrobić. Pochować go w twojej dziurce.

Przywarł do niej szczelniej, szukając na oślep wejścia, licząc, że w tej szamotaninie przyjdzie mu z pomocą zbawczy przypadek, było to jednak beznadziejne. Sierżant Dennis sięgnął do swojego podbrzusza, tam, gdzie ciążyło mu jego rozognione brzemię, zacisnął na nim palce, ale wówczas Ira zdołała uwolnić głowę i na nowo podniosła krzyk, więc ponownie przydusił ją do ziemi, tym razem mocniej.

— Zamknij się! — wysapał Przetarł jej twarzą po sypkim torfie. — Zamknij *się*, ty kurwo!

*Napierał* na nią, stękał niemal ekstatycznie i czekał, aż przestanie się ona bronić. Czuł, jak w żabich, kurczowych podrygach dziewczyna wciąga pod siebie rozłożone nogi, jak wygina plecy i unosi w górę krzyż, dźwigając na nim jego tułów, jak mu się nadstawia, jak nieruchomieje rozwarta przed nim na oścież... I raptem stężał na niej, wstrząsany spazmami, podczas gdy nasienie tryskało z niego w pustkę. A po upływie kilku sekund, tak samo raptownie, niczym walący się most, upadli oboje na ziemię, jakby wyczerpani po wspólnie przeżytym orgazmie.

Nieco później sierżant Chip Dennis wrzucił niedopałek papierosa do dołu wygrzebanego w torfie przez Irę i — skoro już leżał blisko tego dołu — odlał się tam, jak to miał w zwyczaju. Wstał, podszedł do samochodu, wyjął z niego ważącą sześćdziesiąt funtów metalową skrzynię z zestawem narzędzi oraz ośmiostopowy kawałek łańcucha i zataszczył to na szczyt pagórka, którego północne zbocze, podmywane wodą rozlewiska i strome, kruszyło się i odpadało jak chałwa. Długimi krokami wrócił na dół, wydobył spod plandeki butelkę whisky i przepłukał usta dławiącym łykiem, przyglądając się dziewczynie skurczonej na trawie, w poświacie księżyca.

**C.D.N.**

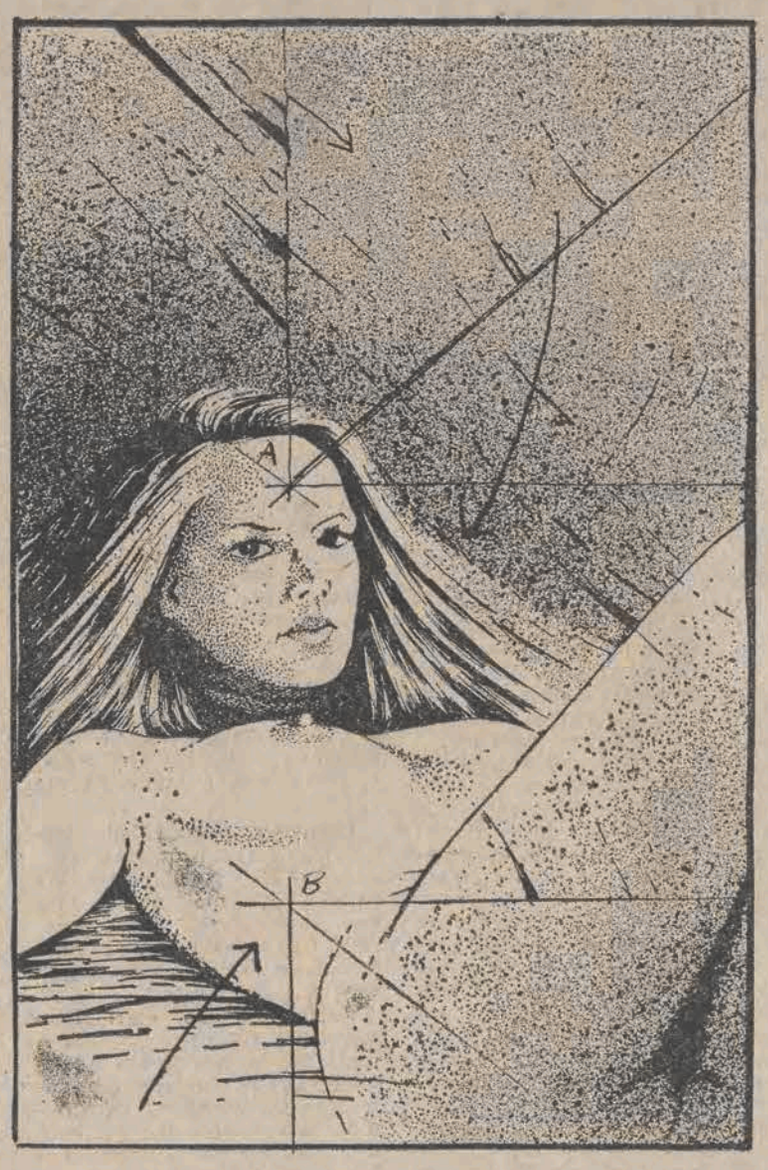

*Rys. Janusz Szymański-Glanc*

**Tytuł pochodzi od redakcji. Tytuł autora „Stan zagrożenia".**